Vladimir Nabokov

Tamte brzegi

Другие берега

Przedmowa do wydania rosyjskiego

Autobiografia, którą przedkładam czytelnikowi, obejmuje okres niemal czterdziestu lat - od pierwszych lat stulecia po maj 1940 roku, kiedy autor przeniósł się z Europy do Stanów Zjednoczonych. Celem jej jest opisanie z maksymalną dokładnością przeszłości i odszukanie w niej pełnych znaczenia konturów, a więc rozwoju i powtarzalności utajonych tematów w odsłoniętym już losie. Próbowałam nadać Mnemosyne nie tylko wolę, ale również prawo.

Osnową a po części oryginałem tej książki stało się jej wydanie amerykańskie Conclusive Evidence. Władając doskonale od dzieciństwa zarówno językiem angielskim jak francuskim, bez najmniejszych trudności przeszedłbym dla potrzeb literackich z języka rosyjskiego na obcy, gdybym byl, powiedzmy, Josephem Conradem, który, zanim zaczął pisać po angielsku, żadnego śladu w ojczystej (polskiej) literaturze nie zostawił, w wybranym zaś języku (angielskim) posługiwał się zręcznie gotowymi formułami. Kiedy w roku 1940 postanowiłem przejść na język angielski, moje nieszczęście polegało na tym, że przedtem przez ponad piętnaście lat pisałem po rosyjsku i przez te lata nałożyłem na swoje narzędzie, swego pośrednika - własne piętno. Przechodząc na inny język odrzekałem się więc nie języka Awwakuma, Puszkina, Tołstoja - czy też Iwanowa, niani, rosyjskiej publicystyki - słowem nie języka wspólnego, ale indywidualnego, najbardziej własnego narzędzia. Długoletni nawyk wyrażania się po swojemu nie pozwalał poprzestać w nowo wybranym języku na szablonach - zarówno potworne trudności zamierzonego przeistoczenia jak zgroza rozstania z żywą, oswojoną istotą wprawiły mnie początkowo w stan, nad którym nie ma sensu się rozwodzić; powiem tylko, że żaden pisarz określonego poziomu nie doświadczył tego przede mną.

Widzę nieznośne wady takich moich utworów angielskich, jak np. *The Real Life of Sebastian Knight*; odpowiadają mi pewne rzeczy w *Bend Sinister* i kilku odrębnych opowiadaniach drukowanych od czasu do czasu w piśmie „The New Yorker". Książkę *Conclusive Evidence* pisałem długo (1946-1950) ze szczególnie dręczącym wysiłkiem, pamięć bowiem nastrojona była wedle jednego, kamertonu - muzycznie niedopowiedzianego - rosyjskiego, narzucałem zaś jej inny - angielski i rzeczowy. W powstałej książce wytrzymałość pewnych drobnych części mechanizmu budziła wątpliwości, wydawało mi się jednak, że całość działa dość sprawnie: wydawało się dopóty, dopóki nie podjąłem się szaleńczego zadania przełożenie

Conclusive Evidence na poprzedni, podstawowy swój język. Wyszły wtedy na jaw takie wady, tak ohydnie wysterczalo to czy inne zdanie, tak wiele było luk i zbędnych wyjaśnień, że dokładny przekład na język rosyjski byłby karykaturą Mnemosyne. Zachowując wspólny kontur wiele zmieniłem i uzupełniłem. Ta rosyjska książka ma się do angielskiego tekstu tak jak majuskuła do kursywy, albo jak do stylizowanego profilu ma się na wprost spoglądająca twarz: „Pan pozwoli, że się przedstawię - powiedział bez uśmiechu mój towarzysz podróży - nazywam się N.“. Nawiązała się rozmowa. Noc podróży minęła niepostrzeżenie. „Tak, tak, proszę pana“, zakończył z westchnieniem. Za oknem wagonu snuł się już dżdżysty dzień, przesuwały się smutne leśne polanki, nad jakimś przedmieściem bielało niebo, tu i ówdzie świeciły jeszcze albo też rozświeciły się już okna w odległych domach...

Rozdział pierwszy

1

Kolebka kołysze się nad przepaścią. Zdrowy rozsądek, głusząc szept natchnionych zabobonów, mówi nam, że życie jest tylko szczeliną słabego światła pomiędzy dwiema idealnie czarnymi wiecznościami. Ich czarność jest absolutnie jednakowa, ale w przepaść przedżycia wpatrujemy się z mniejszą trwogą niż w tę, ku której pędzimy z szybkością czterech tysięcy pięciuset uderzeń serca na godzinę. Znałem zresztą wrażliwego młodzieńca, który cierpiał na chronofobię także wobec bezgranicznej przeszłości. Oglądając rodzinny film, nakręcony na miesiąc przed jego urodzeniem, patrzył z paniczną wprost udręką na doskonale znany sobie świat, to samo umeblowanie, tych samych ludzi, ale świadom był, że

jego w tym świecie nie ma w ogóle, że nikt nie spostrzega jego nieobecności i nie cierpi z jej powodu. Szczególnie natrętny i przerażający był widok kupionego właśnie dziecinnego wózka, stojącego na ganku z dufną nieruchomością trumny: wózek był pusty, jak gdyby „w trakcie przemiany czasu w pozorną wielkość minionego“, i - jak trafnie spostrzegł mój młody człowiek - znikły nawet jego kości.

Młodość jest, oczywiście, bardzo podatna na te diabelstwa. Powiedzmy też sobie: jeśli swobodnej myśli nie wspomaga jakiś solenny dogmat, we wzmożonej wrażliwości na przedwieczność lub oczekującą wieczność jest coś z dziecinady. W wieku dojrzałym zaś przeciętny czytelnik tak przyzwyczaja się do niezrozumiałości powszedniego życia, że obojętnie traktuje obie czarne nicości, spomiędzy których uśmiecha się doń miraż, mylnie uważany przezeń za krajobraz. Ograniczmy więc wyobraźnię. Jej cudownymi i dręczącymi darami mogą rozkoszować się z trudem zasypiające dzieci albo jakaś genialna ruina. Ażeby człowiek mógł wytrzymać oczarowanie życiem, trzeba mu (powiada czytelnik) narzucić miarę.

Buntuję się przeciw temu z całą mocą. Gotów jestem przed swoją własną, ziemską naturą spacerować po deszczu z prostackim transparentem, niczym skrzywdzony subiekt. Ileż to razy o mało nie zwichnąłem sobie mózgownicy, próbując wypatrzyć spośród bezosobowego mroku po obu krańcach życia najmniejszego bodaj promyka tego, co stanowi osobę. Gotów byłem zostać współwyznawcą najmarniejszego szamana, byleby tylko nie wyrzec się wewnętrznego przekonania, że w wieczności nie dostrzegam siebie wyłącznie za sprawą ziemskiego czasu, otaczającego życie ślepym murem. Przedostawałem się myślą w dal szarą od gwiazd - ale dłoń ześlizgiwała się ciągle po tej samej nieprzeniknionej gładziźnie. Próbowałem. chyba wszystkich rozwiązań poza samobójstwem. Wyrzekałem się własnej indywidualności, ażeby jako bezosobowe widmo przeniknąć do świata, który istniał przede mną. Zgadzałem się na uwłaczające sąsiedztwo powieściopisarek, paplających o różnych jogach i atlantydach. Wytrzymywałem nawet odczyty o mediumistycznych przeżyciach jakichś angielskich pułkowników służących w Indiach, dość wyraźnie pamiętających swe poprzednie wcielenie pod wierzbami Lhassy. Szukając kluczy i rozwiązań przeszukiwałem swoje najwcześniejsze sny - a skoro już mowa o snach, proszę pamiętać, że całkowiecie odrzucam freudowszczyznę i całe jej mroczne, średniowieczne podglebie wraz z maniakalną pogonią za symboliką płciową, za ponurymi embrioniątkami, podpatrującymi z naturalnych zasadzek ponurą rodzicielską kopulację.

Na początku moich studiów nad przeszłością nie całkiem rozumiałem, że czas, na pierwszy rzut oka bezgraniczny, jest w istocie okrągłą twierdzą. Nie umiejąc przedrzeć się do własnej wieczności, zacząłem badać jej pas przygraniczny - swoje własne dzieciństwo. Przebudzenie świadomości widzę jako rozbłyski następujące w coraz krótszych odstępach. Rozbłyski zlewające się w barwne prześwity, w geograficzne kształty. Rachunku i słowa nauczyłem się nieomal jednocześnie i odkrycie, że ja, to ja, a moi rodziece to oni, wiązało się bezpośrednio ze zrozumieniem stosunku ich wieku do mojego. Włączam ów prąd i - sądząc z nasycenia słonecznego światła, natychmiast zatapiającego moją pamięć, z jego łapokształtnego zarysu, najoczywiściej uzależnionego od przemieszczania się kołyszących łopatkowatych dębowych liści, pomiędzy którymi przesącza się ono na piasek - przypuszczam, że moje odkrycie siebie nastąpiło na wsi, latem, kiedy zadawszy rozmaite pytania, zestawiłem w myśli dokładne odpowiedzi, udzielone przez matkę i ojca - pomiędzy którymi pojawiam się nagle na parkowej ścieżce. Wszystko to zgadza się z ontogenetyczną teorią powtórzeń rzeczy przeżytych. Filogenetycznie zaś, gdy pierwszy człowiek uświadomił sobie sam siebie, musiało jednocześnie narodzić się poczucie czasu.

Tak więc, zaledwie świeżo uzyskana formuła mojego wieku, soczyście zielona trójka na złotym tle, spotkała się w słonecznym nurcie ścieżki z liczbami rodziców - cienistymi trzydziestoma trzema i dwudziestoma siedmioma, doznałem ożywczego wstrząsu. Podczas tego powtórnego chrztu, skuteczniejszego niż pierwszy (dokonany przy płaczu na wpół utopionego pół-Wiktora - moja matka dźwięcznym głosem spoza drzwi zdążyła poprawić nieporadnego protojerieja Konstantina Wietwienickiego) poczułem, że zanurzony zostałem w połyskliwe i ruchliwe otoczę, w czysty żywioł czasu, który dzieliłem - jak pluskając się dzielimy błyszczącą morską wodę - z innymi kąpiącymi się w niej istotami. Wtedy zrozumiałem nagłe, że dwudziestosiedmioletnia istota w czymś białoróżowym i miękkim, władająca moją lewą ręką - to moja matka, zaś istota trzydziestotrzyletnia w czymś biało-złotym i twardym - trzymająca mnie za prawą rękę - to ojciec. Szli, a ja szedłem między mmi to energicznie drepcząc, to z jednej podkówki słońca przestępując na następną i znowu drepcząc pośrodu ścieżki, w której teraz z budzącego śmiech oddalenia rozpoznaję jedną z alei - długą, prostą, wysadzoną młodymi dąbkami, przecinającą „nową“ część ogromnego parku w naszym petersburskim majątku. Było to w dniu urodzin ojca - według naszego kalendarza - dwudziestego pierwszego lipca 1902 roku: i zaglądając tam ze straszliwie odległego, nieomal bezludnego wzniesienia czasu - widzę siebie z zachwytem świętującego tego dnia narodziny uczuć. Przedtem obaj moi przewodnicy - z lewej i z prawej pojawiali się tam jedynie incognito, jako czułe anonimy: teraz jednak, we współbrzmieniu trzech liczb mocny, ciepły, ozdobnie lśniący kawaleryjski kirys, obciskający pierś i plecy ojca, wszedł jak słońce, a po lewej, niczym dzienny księżyc, zawisła parasolka mojej matki; potem przez wiele lat żywo interesowałem się wiekiem rodziców, pytając o to, niczym niespokojny pasażer, który sprawdzając nowy zegarek, pyta towarzyszy podróży o godzinę.

Dodam tu nawiasem, że mój ojciec, który odbył służbę wojskową na długo zanim się urodziłem, tego uroczystego dnia - zapewne dla świątecznego żartu - włożył swe pułkowe insygnia. Żartowi więc zawdzięczam pierwszy przebłysk pełnej świadomości, co także ma rekapitulacyjny sens, bowiem pierwsze istoty, które odczuły bieg czasu, były też zapewne pierwszymi, które potrafiły się uśmiechać.

2

Pierwotna jaskinia, a nie modne łono, oto (wiedeńskim mistykom na przekór) obraz moich zabaw, kiedy miałem trzy albo cztery łata. Wyrasta przede mną ogromna kanapa, cała w koniczynkach na białym kretonie w jednym z salonów naszego wiejskiego domu: jest to masyw spiętrzony w prehistorycznej epoce. Historia rozpoczyna się nieopodal, od flory wspaniałego archipelagu, tam, gdzie ogromna hortensja w wielkim wazonie ze śladami ziemi na poły przesłania chmurami swoich bladoniebieśkich i bladozielonych kwiatostanów piedestał marmurowej Diany, na której siedzi mucha.

Dokładnie nad kanapą, wyznaczając jeszcze jeden historyczny etap, wisi batalistyczny sztych w hebanowej ramie. Stojąc na sprężynującym kretonie wyławiam z mieszaniny epizodów i alegorii różne postacie, których znaczenie odsłaniało mi się z latami: ranionego dobosza, trofea, powalonego konia, wąsali z bagnetami i nietykalnego w tym zastygłym rozgardiaszu, gładko wygolonego cara w polowym surducie na de wspaniałego sztabu.

Przy pomocy dorosłego domownika (który musiał najpierw posłużyć się obydwiema rękami, a następnie potężnym kolanem) kanapę nieco odsuwało się od ściany (witajcie dziurki

gniazdka elektrycznego). Z wałków kanapy budowało się dach: ciężkie poduszki służyły jako zasłony z obydwu końców. Było bajeczną rozkoszą pełznąć na czworakach przez ten nie rozjaśniony żadnym błyskiem tunel. Robiło się duszno i strasznie, w kolano wpijał się odłamek skorupki orzecha, ale ciągle jeszcze nie opuszczałem tych dławiących ciemności, nasłuchując tępego dzwonienia W uszach, rozważnego dzwonienia samotności, tak znanego malcom, których zabawa wciąga w zakurzone, smutnie zaciszne kąty. Ciemność stawała się ślepa, ślepota iskrzyła się własnym blaskiem: cały od wewnątrz rozjarzony w dygocie słodkiego przerażenia, stukając kolankami i dłońmi, spieszyłem czym prędzej do wyjścia i strącałem poduszkę. Bardziej marzycielska i wyrafinowana była inna jaskiniowa zabawa - kiedy to obudziwszy się wcześniej niż zazwyczaj, budowałem namiot z prześcieradła i poduszki, puszczając wodze wyobraźni wśród bladego światła płóciennych i flanelowych lawin, w których fałdach zwidywały mi sie dręczące, przedpotopowe dale, sylwety sennych zwierząt. Zmartwychwstaje jednocześnie widok mojego dziecinnego łóżka, mającego po bokach podnoszone siatki z puszystego sznura, ażeby autor nie wypadł: ten obraz z kolei kieruje pamięć ku innej porannej przygodzie. Jakże upajałem się zachwycająco mocnym, czerwonym, nasyconym barwą granatu, kryształowym jajkiem, ocalałym po którejś z pradawnych Wielkanocy! Possawszy rożek prześcieradła, tak żeby porządnie nawilgł, ciasno owijałem w nie graniasty skarb i liżąc ciągle jego spowinięte płaszczyzny patrzyłem, jak gorejący rumieniec przesiąka przez wilgotną tkaninę, coraz bardziej nasycając się czerwienią. Rzadko udawało mi się podziwiać piękno z większą bezpośredniością.

Być może jestem nadmiernie przywiązany do swoich najwcześniejszych doznań: jakże jednak nie mam być im wdzięczny? Utorowały mi drogę do prawdziwego raju dotykowych i wzrokowych objawień. Ciągle więc klęczę - klasyczna poza dzieciństwa! - na podłodze, na łóżku, nad zabawką, nad niczym. Pewnej abstrakcyjnej nocy podczas którejś z zagranicznych podróży tak właśnie klęczałem na poduszce przy oknie sypialnego przedziału; było to, zapewne, w 1903 roku pomiędzy niegdysiejszym Paryżem a niegdysiejszą Riwierą, w nieistniejącym od dawna, ciężko-dźwięcznym *train de luxe*, którego wagony pomalowane były u dołu na kolor kawowy, a u góry - na śmietankowy. Udało mi się zapewne odpiąć i podsunąć do góry sztywną, tłoczoną zasłonę u wezgłowia mojego posłania. Z niepojętym olśnieniem patrzyłem przez szybę na przygarść dalekich, diamentowych świateł, które migotały w czarnej mgle odległych wzgórz, a potem nagle jakby ześlizgnęły się do aksamitnej kieszeni. Już później rozdawałem takie klejnoty bohaterom swoich książek, ażeby uwolnić się jakoś od brzemienia tego bogactwa. Zagadkowa bolesna rozkosz nie rozpłynęła się w ciągu półwiecza, skoro i dzisiaj powracam do tych pierwotnych uczuć. Należą one do harmonii mego absolutnie doskonałego, niezwykle szczęśliwego dzieciństwa - i za sprawą tej harmonii z czarodziejską łatwością same z siebie, bez udziału poezji nawarstwiają się w pamięci, jak od razu przepisane na czysto brudopisy. Wybredzać i wybrzydzać Mnemosyne zaczyna dopiero wówczas, kiedy docieramy do rozdziałów młodości. 1 jeszcze jeden domysł: wydaje mi się, że jeśli chodzi o to wczesne wchłanianie świata, rosyjskie dzieci mego pokolenia i kręgu obdarzone były wrażliwością iście genialną, jak gdyby los w przewidywaniu katastrofy, mającej usunąć za jednym zamachem i na zawsze pełną wdzięku dekorację, próbował uczciwie wynagrodzić przyszłą stratę, obdarzając ich dusze i tym także, co z wieku jeszcze się im nie należało. Kiedy zaś wszystkie zapasy zostały nagromadzone, genialność ulotniła się, jak się to dzieje z cudownymi dziećmi w wąskim tego słowa znaczeniu - z jakimś kędzierzawym, ładniutkim chłopczykiem, dyrygującym orkiestrą albo na oświetlonej jak Afryka scenie poskramiającym grzmiący, olbrzymi fortepian, ale później przeistaczającym się w normalnego drugorzędnego, łysawego muzyka o smutnych oczach, który cierpi na jakiś rzadki wewnętrzny nowotwór i w zarysie eunuchowatych bioder ma coś ciężkiego i niejasno potworkowatego. Niechże będzie i tak, ale tajemnica indywidualności istnieje i nadał droczy

się z pamiętmkarzem. Ani w środowisku, ani w dziedziczności nie mogę dopatrzeć się tajemniczego przyrządu, który na początkach mojego życia odcisnął ów niepowtarzalny znak wodny, dostrzegalny nawet dla mnie tylko wówczas, gdy spoglądam nań pod światło sztuki.

3

Ażeby właściwie rozmieścić w czasie niektóre moje wczesne wspomnienia, muszę liczyć według komet i zaćmień, jak to robi historyk datujący urywki sag. Zdarza się jednak, że chronologia układa się u stóp z miłością. Widzę na przykład taką scenę: gramolę się jak żaba na mokre, czarne skały nadmorskie: miss Norcott, melancholijna i smutna guwernantka, sądząc że idę za nią, oddala się z moim bratem brzegiem morza; gramoląc się powtarzam, niczym jakieś największe, najbardziej wymowne i kojące zaklęcie zwyczajne angielskie słowo *childhood* (dzieciństwo); znajomy dźwięk stopniowo staje się nowy, dziwny, aż czarodziejski, kiedy w moim małym, wypełnionym po brzegi i wrącym mózgu przyłączają się do niego inne „hudy" - *Robin Hood*, *Little Red Riding Hood* (Czerwony Kapturek) i brązowy kaptur (*hood*) garbatej wróżki. W skale są małe wgłębienia, stoi w nich ciepła morska woda, a ja, coś mamrocząc, czaruję nad tymi bławatkowymi chrzcielnicami.

Miejscem tym jest oczywiście Abbacja nad Adriatykiem. Poprzedniego dnia w kawiarni koło fiumejskiej przystani, kiedy podawano nam już to, co zostało zamówione, mój ojciec spostrzegł przy sąsiednim stoliku dwóch japońskich oficerów - więc wyszliśmy natychmiast; zdążyłem jednak chwycić małą kulkę cytrynowych lodów i uniosłem ją w ustach, które nabrzmiewały bólem dziąseł. Był to więc rok 1904, a ja miałem pięć lat. Londyński tygodnik, abonowany przez miss Norcott, z lubością reprodukował szkice japońskich korespondentów, przedstawiających - jeśli Rosjanom przyjdzie chętka przeciągnąć szyny przez lody Bajkału - jak będą tonąć ich parowozy, tak podobne dzięki stylowi japońskiego malarstwa do dziecinnych zabawek.

Mam zresztą w pamięci wcześniejsze skojarzenia z tą wojną. Pewnego razu na początku tegoż roku w naszym petersburskim domu sprowadzono mnie z dziecinnego na dół do gabinetu, ażeby pokazać ganerałowi Kuropatkinowi, z którym ojciec był w bliskich stosunkach. Gość, krępy pan, chcąc mnie zabawić wysypał obok siebie na kanapę kilka zapałek i ułożył je w poziomą linię, powtarzając kilka razy: „To jest morze przy bezwietrznej pogodzie". Potem szybko zsunął pod kątem każdą parę zapałek, tak, aby horyzont zmienił się w linię łamaną i powiedział: „A to jest morze podczas burzy". Po czym zmieszał zapałki i szykował się, żeby pokazać inną, być może lepszą sztuczkę - ale nam przeszkodzono. Służący wprowadził jego adiutanta, który o czymś mu zameldował. Stęknąwszy z zaaferowania, Kuropatkin ciężko wstał z kanapy, przy czym podskoczyły rozrzucone na niej zapałki. Tego dnia mianowany został naczelnym dowódcą Armii Dalekowschodniej.

Po piętnastu latach drobny, magiczny epizod z zapałkami miał własny, szczególny epilog. Podczas ucieczki ojca na południe, z zajętego przez bolszewików Petersburga, gdzieś, śnieżną nocą, kiedy przechodził przez jakiś most, zatrzymał go siwobrody chłop w baranicy. Stary poprosił o ogień, ale ojciec nie miał ognia. Nagle poznali się. Chodzi nie o to, czy przeobrażonemu w chłopa Kuropatkinowi udało się, czy też nie udało uniknąć sowieckiego końca (encyklopedia milczy, jakby nabrała krwi w usta). Mnie interesuje tu logiczne rozwinięcie tematu zapałek. Te niegdysiejsze, czarodziejskie, które mi pokazywał, dawno się zatraciły, zginęła też jego armia; wszystko się zapadło, zapadło tak, jak zapadały się przez mikę cienkiego lodu moje nakręcane parowoziki, kiedy, pamiętam, zimą z 1904 na 1905 rok

w ogrodzie wiesbadeńskiego hotelu próbowałem puszczać je przez zamarznięte kałuże. Myślę, że moim najważniejszym zadaniem jako pamiętnikarza jest odnalezienie i prześledzenie we własnym życiu rozwoju takich tematycznych motywów.

4

Każdej jesieni jeździliśmy do rozmaitych wód, morskich i mineralnych, nigdy jednak nie bawiliśmy tak długo - cały rok - za granicą jak wtedy, ja zaś, sześcioletni, po raz pierwszy naprawdę doświadczyłem wówczas przenikniętej drzewnym dymem szalonej radości z powrotu do ojczyzny - znowu więc - z łaski losu, doszło do jednej z szeregu pięknych repetycji, które zastąpiły przedstawienie, jakie, sądzę, może już się nie zdarzyć, chociaż muzyczny układ życia wydaje się tego wymagać.

Przechodzimy więc do lata 1905 roku: matka jest z trojgiem dzieci w petersburskim majątku; ojca zatrzymują w stolicy sprawy polityczne. Podczas jednego ze swoich krótkich pobytów u nas, w Wyrze, zauważył, że obaj z bratem czytamy i piszemy po angielsku, nie znamy jednak rosyjskiego alfabetu (pamiętam, że nie potrafiłem przeczytać po rosyjsku nieczego prócz takich słów jak kakao). Postanowiono zatem, że wiejski nauczyciel będzie przychodził co dzień, żeby dawać nam lekcje i prowadzić na spacery,

Jakże wesołym dźwiękiem, zgodnym ze słoneczną i słoną nutą gwizdka zdobiącego moją białą marynarską bluzę, moje cudowne dzieciństwo wzywa mnie ponownie na spotkanie z dziarskim Wasilijem Martynowiczem! Miał po tołstojowsku szeroką twarz, puszyste, przerzedzone włosy, jasne wąsy i jasnoniebieskie oczy - koloru mojej filiżanki do mleka - z interesującą, niewielką narośla na jednej powiece. Uścisk jego dłoni był mocny i wilgotny. Nosił czarny krawat zawiązany na liberalną kokardę i luStrynową marynarkę. Do mnie, dziecka, zwracał się per pan, jak dorosły do dorosłego - to jest zupełnie po nowemu bez dziwnie nieprzyjemnej intonacji naszej służby i oczywiście bez tej szczególnej, dojmującej czułości, dźwięczącej w glosie matki (kiedy gorliwie szukałem malutkiego pasażera, albo miałem gorączkę, przechodziła na „wy“[1], jakby kruche „ty“ nie było zdolne wytrzymać ciężaru jej uwielbienia). Był, „czerwony“, jak mawiały moje ciotki, sykiem swojej zgrozy oblewając człowieka niczym wrzątkiem; mój ojciec wyciągnął go z jakichś politycznych kłopotów (potem, za Lenina, rozstrzelano go za eseryzm). Oczarowywał mnie cudami kaligrafii, kiedy wyprowadzając „p“ albo „l“ nadawał jakąś organiczną giętkość temu czy innemu zakrętasowi, jakby to były zdolne ożyć gangliony, czy jakieś atramentonośne naczynia. Podczas spacerów po polach, na widok kosiarzy, dźwięcznym barytonem wołał do nich „Szczęść Boże!“. W gąszczach naszych, lasów, gestykulując, rozprawiał z żarem o umiłowaniu człowieka, o wolności, o potworności wojny i o dręczącej konieczności wysadzania tyranów dynamitem. Kiedy częstował mnie cytatami z *Precz z orężem*, pełnej dobrej woli, ale nie obdarzonej talentem Berty von Suttner[2], gorąco broniłem przelewu krwi, ratując swój dziecinny świat sprężynowych pistolecików i rycerzy króla Artura.

Przy pomocy Wasilija Martynowicza Mnemosyne może pójść sobie dalej prywatnym poboczem historii powszechnej. Mniej więcej w półtora roku po Apelu Wyborgskim (1906) ojciec spędził trzy miesiące w Krestach[3], w wygodnej celi, ze swymi książkami, gimnastyką

[1] Na ogół odpowiada polskiemu „pan“, używane też w ceremonialnych stosunkach rodzinnych i przyjacielskich.
[2] Bertha von Suttner - *Die Waffen nieder!*
[3] Kresty - więzienie w Petersburgu.

systemu Mullera i składaną gumową wanną, ucząc się języka włoskiego i utrzymując z moją matką korespondencję (na wąskich pasemkach papieru toaletowego), którą przekazywał oddany przyjaciel rodziny A. Kaminka. Gdy go wypuszczono, byliśmy na wsi. Wasilij Martynowicz kierował uroczystym powitaniem, przyozdobiwszy polną drogę łukami triumfalnymi z zielonych gałęzi i jawnie czerwonymi wstęgami. Matka jechała z ojcem ze stacji Siwierskaja, a my, dzieci, wyruszyliśmy na ich spotkanie; i wspominając ten właśnie dzień, z odświętną jasnością odtwarzam rodzoną, niczym własny krwiobieg, drogę z naszej Wyry do wsi Rożdiestwieno po drugiej stronie Oredży: czerwonawą drogę - najpierw biegnącą pomiędzy Starym a Nowym Parkiem, pomiędzy kolumnadą grubych brzóz obok nie skoszonych pól - potem był zakręt, zjazd ku rzece, iskrzącej się złotogłowiem rzęsy, most rozgadujący się nagle pod kopytami, oślepiający połysk blaszanki pozostawionej przez wędkarza, gorący, biały dwór wuja na trawiastym pagórku, następny most przez odnogę Oredży, następny pagór z lipami, różową cerkwią, marmurowym grobowcem Rukawisznikowów, wreszcie brukowana droga przez wieś, obramiona po rosyjsku jeżem jasnej trawy z łysinami piachu i krzewami bzu pod omszałymi chałupami, flagi przed nowym murowanym budynkiem szkoły wiejskiej stojącym obok starego, drewnianego; widzę też, gdy tak przejeżdżaliśmy pędem, czarnego, białozębego psiaka, który wyskoczył skądeś z niewiarygodną szybkością, ale w zupełnym milczeniu, oszczędzając szczekanie na chwilę, gdy zrówna się z powozem.

5

W tym pierwszym, niezwykłym dziesięcioleciu naszego stulecia splątało się fantastycznie to co nowe i co stare, co liberalne i patriarchalne, fatum nędzy z fatalizmem bogactwa. Zdarzało się nieraz, że podczas śniadania w wielkookiennej, wykładanej orzechową boazerią jadalni wyrskiego domu, kredensowy Aleksiej pochylał się z cierpiętniczą miną ku ojcu, zawiadamiając go szeptem (przy gościach szept stawał się szczególnie sepleniący), że przyszli chłopi i proszą pana, ażeby do nich wyszedł. Ojciec, przełożywszy szybko serwetkę z kolana na obrus i przeprosiwszy matkę, wstawał od stołu. Jedno ze wschodnich okien wychodziło na kraniec ogrodu przy paradnym wejściu; docierał stamtąd pełen szacunku pomruk, niewidoczna gromada witała pana. Okna były zamknięte z powodu gorąca i nie można było dosłyszeć, czego dotyczą pertraktacje: chłopi prosili zapewne o pozwolenie skoszenia czy wyrąbania tego czy owego i jeśli, jak się to często zdarzało, ojciec niezwłocznie się zgadzał, pomruk głosów narastał i wedle starego rosyjskiego obyczaju duże ręce rozhuśtywały go i po kilkakroć podrzucały do góry.

W jadalni tymczasem braciszkowi i mnie kazano jeść dalej. Mama, szykując się, by dwoma paluszkami zdjąć z widelca kawałeczek wołowiny, zaglądała w dół, pod fałdy obrusa, czy jest tam jej gniewna i kapryśna jamniczka. *Un jour ils vont le laisser tomber* stwierdzała Mlle Golay, sztywna stara pesymistka, dawna guwernantka matki, która nadal mieszkała w naszym domu, zawsze skwaszona, zawsze w okropnych stosunkach z Angielkami i Francuzkami do dzieci. Nagle spojrzawszy ze swego miejsca przez wschodnie okno, oglądałem na własne oczy niezwykły przypadek lewitacji. Tam, za szybą na sekundę pojawiała się w leżącej pozycji uroczyście i wygodnie rozpostarta w powietrzu postać mego ojca, jego biały garnitur trochę się wydymał, piękna spokojna twarz zwrócona była ku niebu. Wzbijał się tak ze dwa albo trzy razy przy okrzykach „uh“ i „hura“ niewidocznych podrzuca czy, przy czym trzeci wzlot był wyższy niż drugi i oto po raz ostatni widzę go spoczywającego na wznak i jakby na zawsze na ciemnoniebieskim tle skwarnego południa, niczym jednego z tych pokaźnych rozmiarów niebian, którzy w swobodnych pozach, szatach

zdumiewających obfitością i trwałością fałd polatują na cerkiewnych sklepieniach pośród gwiazd, podczas gdy w dole W rękach śmiertelników zapalają się jedna po drugiej woskowe świece, tworząc w falowaniu kadzidła rojowisko płomyków, a kapłan wypowiada wersety o odpoczynku i pamięci, i połyskliwie żałobne lilie przesłaniają twarz tego, co leży wśród płonących świateł w nie zamkniętej jeszcze trumnie.

Rozdział drugi

1

Zawsze miewałem coś w rodzaju lekkich, ale nieuleczalnych halucynacji. Jedne z nich były słuchowe, inne wzrokowe - ale pożytku nie mam z nich żadnego. Wieszcze głosy, które powstrzymywały Sokratesa i ponaglały Joannę d'Arc, sprowadzają się w moim przypadku do owych urywkowych głupstw, które podniósłszy słuchawkę telefoniczną, przytrzaskuje się od razu, żeby nie podsłuchiwać cudzej paplaniny. Tak właśnie, zanim zasnę, ale jeszcze w pełni świadomości słyszę często, jak w przyległej części mózgu toczy się jakaś dziwna, swobodna, jednostronna rozmowa, nie mająca żadnego związku z rzeczywistym biegiem moich myśli. Włącza się, innymi słowy, nieznany abonent, bezosobowy pasożyt; jego trzeźwy, najzupełniej obcy głos wypowiada słowa i zdania nie zwrócone do mnie i tak płaskie w treści, że nie ważę się podać przykładu, aby niechcący bodaj odrobiną sensu nie wyklarować tej tępej gadaniny. Ma ona również swój odpowiednik wzrokowy - w przedsennych wizjach oblegających mnie zwłaszcza po żmudnej pracy. Mam na myśli oczywiście nie „fotografię wewnętrzną" - twarz zmarłego rodzica, z fizyczną wyrazistością pojawiającą się w ciemności po żarliwym, heroicznym wysiłku przywołania; nie mówię też o tak zwanych muscae volitantes - cieniach mikroskopijnych drobin pyłu w szklistej zawiesinie oka, w postaci przejrzystych węzełków przepływających na ukos przez pole widzenia i zaczynających swoje od tego samego kąta jeśli się mrugnie. Bliżej nich – tych hipnogogicznych rozrywek, o których nieprzyjemnie mi mówić - można chyba umieścić barwną w mroku ranę przedłużonego wrażenia, jaką zadaje, zanim upadnie, światło dopiero co zgaszonej lampy. Z rubinowych optycznych stygmatów wyrastały mi Rubensy, i Rembrandty, i całe płonące miasta. Nie trzeba jednak szczególnego impulsu, ażeby pojawiły się te malownicze widma, powoli i równomiernie rozrastające się przed zamkniętymi oczyma. Ich ruch i przepływanie odbywają się całkiem niezależnie od woli patrzącego i od widzeń sennych odróżnia je tylko swoista lepka świeżość, cechująca kalkomanię i może oczywiście jeszcze to, że we wszystkich ich fantastycznych fazach zachowuje się świadomość. Niekiedy bywają odrażające: czasami prześladował mnie średniowieczny, grubo ciosany profil, rozbuchany od wina karzeł, bezczelnie rozrastające się ucho albo przykre nozdrze. Czasem jednak, tuż przed zaśnięciem, na kolory nakłada się miękki popiół i wtedy moje fotyzmy rozpływają się uspokajająco, ktoś w pelerynie chodzi pośród uli, spoza żagla liliowieją mgliste wyspy, sypie śnieg, odlatują ciężkie ptaki.

Prócz tego w niezwykłym stopniu obdarzony jestem *audition colorée* (barwnym słyszeniem). Niewiarygodnymi szczegółami mógłbym tu najłagodniejszego czytelnika wprawić w furię, ograniczę się jednak do kilku jedynie słów o rosyjskim alfabecie, łaciński zanalizowałem w angielskim oryginale tej książki. Nie wiem zresztą czy należy tu mówić o „słyszeniu";

wrażenie barwy powstaje moim zdaniem poprzez dotyk, przez wargi, nieomal przez zmysł smaku. Ażeby określić należycie ubarwienie litery, muszę, wyobrażając sobie wzrokowy jej odpowiednik, posmakować go, pozwolić mu spęcznieć albo roztopić się w ustach. To niezwykle złożona kwestia jak i dlaczego najdrobniejsza różnica w kształcie graficznym litery tak samo brzmiącej w różnych językach zmienia także jej barwne odbicie (innymi słowy: jakim sposobem zapalają się w odbiorze litery jej dźwięk, ubarwienie i kształt), może być związana w jakiś sposób z pojęciem „strukturalnych" barw w naturze. Ciekawe, że litera rosyjska, mająca inny kształt, ale oznaczająca ten sam dźwięk, jest w porównaniu z łacińską przytłumiona w tonacji.

Do grupy czarniawych należą: gęste, bez galijskiego połysku A; P (r) dosyć wyrównane (w zestawieniu z poszarpanym R); sprężyste, kauczukowe Г (g); Ж (ż), różniące się od francuskiego J jak gorzka czekolada od mlecznej; ciemnobrązowe polerowane Я (ja). Należące do białawych JI (L), H (n), O (o), X (h), З (e) stanowią w tym układzie dosyć bladą w tonacji dietę złożoną z makaronu, smoleńskiej kaszy, mleczka migdałowego, ususzonej bułki i szwedzkiego chleba. Grupę mętnych pogranicznych odcieni tworzą Ч (cz), barwy gruszki do lewatywy, puszyście szaroniebieskie Ш (sz) i takież, z nalotem żółcizny Щ (szcz).

Przechodząc ku spectrum znajdujemy: grupę czerwoną z wiśniowoceglastym Б (b) - gęstszym niż B (w), flanelowo-różowe M i różowawo-cieliste B (w), nieco żółtsze niż V; grupę żółtą z oranżowym Ё (jo), E (je) barwy ochry, paliowym Д (d), jasno-paliowym И (i), złocistym У (u) i tombakowym Ю (ju); grupę zieloną z gwaszowym П (p), zakurzonym olszynowym Ф (f) i pastelowym T (wszystkie suchsze niż ich łacińskie odpowiedniki brzmieniowe); wreszcie grupę błękitną przechodzącą w fiolet z blaszanym Ц (c), wilgotno niebieskim C (s), K - niczym czarne jagody i З (z) - jak połyskliwe bzy. Taka jest tęcza mego alfabetu.

Spowiedź syntety uznają za pretensjonalną ci, którzy są chronieni od takich przenikań i przemieszczania zmysłów mocniejszymi niż ja przegrodami. Mojej matce jednak, kiedy się te moje właściwości ujawniły po raz pierwszy, wydały się one całkiem naturalne. Rozpocząłem szósty czy siódmy rok życia, budowałem właśnie zamek z różnokolorowych klocków alfabetu i mimochodem powiedziałem jej, że są niewłaściwie pomalowane. Od razu ustaliliśmy, że moje litery nie zawsze są tego samego koloru co jej; spółgłoski widziała dość niewyraźnie, ale za to nuty muzyczne były dla niej rodzajem żółtych, czerwonych, fioletowych szkiełek, podczas gdy we mnie nie budziły żadnych cnromatyzmów. Muszę dodać, że moi rodzice mieli słuch absolutny; dla mnie niestety muzyka zawsze była i będzie dowolnym spiętrzeniem barbarzyńskich dźwięków. Mogę w moim ubóstwe zrozumieć i zaakceptować cygańskie skrzypce albo jakiś wilgotny pasaż harfy w *Cyganerii*, może jeszcze różne hiszpańskie spazmowania i dzwonienia - ale koncertowy fortepian z fałdami i absolutnie wszystkie dęte słoniowe trąby i anakondy budzą we mnie w niewielkich dawkach nudę, a w dużych - powodują obnażenie wszystkich nerwów, a nawet biegunkę.

Moja czuła i wesoła matka pobłażała memu nienasyconemu wzrokowi we wszystkim. Ileż barwnych akwarelek namalowała przy mnie i dla mnie! Jakież to było objawienie, kiedy z lekkiego przemieszania czerwieni i granatu wyrastał kwitnący jak w raju krzew perskiego bzu! Jakich mąk i rozpaczy doznawałem, kiedy moje próby, moje nawilgłe mętnie fioletowo-zielone obrazy okropnie się marszczyły albo zwijały, jakby kryjąc się przede mną w innym, niedobrym wymiarze! Jakże kochałem pierścionki na ręku matki, jej bransolety! Czasem w petersburskim domu, w najodleglejszym ze swoich pokojów wyjmowała ze skrytki w ścianie cały stos kosztowności, żeby mnie zająć nimi przed snem. Byłem wtedy bardzo mały i te

przelewne diademy i naszyjniki w swym zagadkowym czarodziejstwie nie ustępowały w moim pojęciu iluminacjom w dni cesarskich uroczystości, kiedy w watowanej ciszy zimowej nocy gigantyczne monogramy i korony, ułożone z różnokolorowych żarówek - szafirowych, szmaragdowych, rubinowych płonęły głucho nad obramowanymi śniegiem gzymsami domów.

2

Częste dziecięce choroby szczególnie zbliżały mnie z matką. W dzieciństwie do dziesięciu chyba lat ciążyły mi niezwykłe, nawet przerażające zdolności matematyczne, które w latach szkolnych szybko zblakły i zanikły całkowicie w okresie mojej wyjątkowo wyzutej z wszelkich talentów młodości (od piętnastego do dwudziestego piątego roku życia). Matematyka odgrywała groźną rolę w moich anginach i szkarlatynach, kiedy wraz z rozszerzaniem się rtęci w termometrze bezlitośnie nabrzmiewały w moim mózgu ogromne kule i wielocyfrowe liczby. Nieostrożny guwerner objaśnił mi zbyt wcześnie - gdy miałem osiem lat - logarytmy, a w jednym z moich dziecięcych angielskich pism znalazłem artykulik o fenomenalnym Hindusie, który w ciągu dokładnie dwóch sekund potrafił wyciągnąć pierwiastek siedemnastego stopnia z takiej powiedzmy sympatycznej liczby jak 352947114576027513230189734205586617139 2 (wypadało zdaje się 212, ale to nieważne). Tych potworów utuczonych na mojej gorączce, które zdawały się wypierać mnie z własnego wnętrza, nie sposób się było pozbyć, więc podczas beznadziejnej walki unosiłem znad poduszki głowę, usiłując wytłumaczyć matce co się ze mną dzieje. Spoza moich słów. przeinaczonych przez logikę gorączki, dostrzegała to wszystko, co sama pamiętała z dzieciństwa, z własnej walki ze śmiercią, i jakimś sposobem pomagała mojemu rozpadającemu się wszechświatowi powrócić do klasycznego newtonowskiego wzorca.

Przyszły wąsko wyspecjalizowany literaturoznawca z zainteresowaniem prześledzi zapewne, jakim zmianom uległ przekazany bohaterowi literackiemu (w mojej powieści *Dar*) przypadek, który przydarzył się autorowi w dzieciństwie. Rozbity i osłabły po długotrwałej chorobie leżałem w łóżku, gdy nagle opanowało mnie cudowne poczucie lekkości i spokoju. Matka, o czym wiedziałem, pojechała żeby kupić mi kolejny prezent: systematyczność codziennych darów przydawała powolnemu zdrowieniu czaru i sensu. Nie mogłem odgadnąć, co tym razem miałem otrzymać, ale poprzez magiczny kryształ mego nastroju z nadczułą wyrazistością widziałem jej sanki oddalające się wzdłuż Wielkiej Morskiej w kierunku Newskiego (obecnie Bulwar jakiegoś Października, do którego wpada zdumiony Hercen). Rozróżniałem wszystko: gniadego kłusaka, jego parskanie, rytmiczne granie jego moszny i twarde uderzenia grud zmarzniętej ziemi i śniegu o przód sań. Przed moimi oczami, podobnie jak przed oczami matki, szerzył się ogromny zad stangreta w granatowym fałdzistym waciaku, z przywieszonym u pasa zegarkiem w skórzanej oprawie, wskazującym dwadzieścia po drugiej. Matka w woalce i w fokowym futerku unosiła mufkę do twarzy wdzięcznym rycinowym gestem strojnej petersburskiej damy mknącej otwartymi saniami; pętlice niedźwiedziego fartucha umocowane były z tyłu do obu rogów niskiego oparcia, którego trzymał się, stojąc na tylnym stopniu, foryś w czapce z bączkiem.

Nie wypuszczając sanek z ogniska jasnowidzenia, zatrzymałem się wraz z nimi przed sklepem Treumanna na Newskim, gdzie sprzedawano przybory piśmienne, ponętne karty do gry i tandetne drobiazgi z metalu i kamieni. Po kilku minutach matka wyszła stamtąd odprowadzona przez służącego: niósł za nią sprawunek, który wydał mi się zwyczajnym faberowskim ołówkiem, tak że zdziwiłem się zarówno błahości prezentu, jak i temu, że nie

może unieść sama takiego drobiazgu. Przez czas gdy foryś zapinał znowu fartuch przyglądałem się parze, którą wydychali wszyscy z koniem włącznie. Dostrzegłem też znajomy grymas matki: miała zwyczaj wydymać nagle wargi, ażeby odlepiła się zbyt mocno przylegająca woalka i oto teraz, gdy o tym napisałem, ta delikatna siateczka, którą czuję na jej policzku pod moimi wargami powraca ku mnie, frunie ze śnieżnoniebieskiej, niebieskookiennej (jeszcze nie zapuszczono rolet) przeszłości.

Oto matka weszła do mnie, do sypialni i zatrzymała się z przebiegłym półuśmiechem. W objęciach trzyma duży, podługowaty pakiet. Rozmiary jego dlatego, być może, uległy w mojej wizji tak wielkiemu skróceniu, że podświadomie brałem poprawkę na ohydną możliwość: po niedawnej malignie przedmioty mogły zachować pewną skłonność do gigantyzmu. Ale nie: ołówek pokazał się naprawdę żółto-drewnianym gigantem długości około dwóch arszynów i odpowiedniej grubości. Ten reklamowy potwór wisiał na wystawie Treumanna niczym balon i matka wiedziała, że od dawna marzyłem o nim, jak marzyłem o wszystkim, czego nie można było albo niezupełnie można było dostać za pieniądze (subiekt musiał najpierw porozumieć się z jakimś doktorem Libnerem, jakby była to rzeczywiście kwestia lekarska). Pamiętam sekundę straszliwej wątpliwości czy ostrze jest z grafitu, czy to tylko imitacja? Nie, grafit był prawdziwy. Co więcej, kiedy w kilka lat później wywierciłem w boku giganta dziurkę, przekonałem się z radością, że grafitowy rdzeń idzie przez całą długość: trzeba oddać sprawiedliwość Faberowi i Hibnerowi, była to z ich strony prawdziwa „sztuka dla sztuki".

„No pewnie" - mawiała matka, kiedy dzieliłem się z nią tym czym innym niezwkłym uczuciem albo spostrzeżeniem - „no pewnie, dobrze to znam,..". I z trochę niesamowitą prostotą wdawała się w rozważania o telepatii i snach, o potrzaskujących stolikach i dziwnych wrażeniach, że „już raz się coś takiego wdziało" *(le déjà vu*). Wśród jej odległych przodków, syberyjskich Rukawisznikowów (których nie należy mylić ze znanymi moskiewskimi kupcami tego samego nazwiska) byli starowiercy i coś uparcie sekciarskiego pobrzmiewało w jej niechęci do obrzędów prawosławnej cerkwi. Pismo Święte kochała jakąś natchnioną miłością, ale nie potrzebowała oparcia w żadnym dogmacie. Przerażającą bezbronność duszy w wieczności i jej wyzucie tam z własnego kąta - wcale jej nie interesowały. Jej głęboka i niewinna wiara godziła się jednak na istnienie wieczności i na niemożliwość zrozumienia jej wobec przemijania. Wierzyła, że dusza ludzka zdolna jest jedynie uchwycić daleko przed sobą, poprzez zasłonę i sen życia, przebłyski czegoś prawdziwego. Tak właśnie ludzie, których myślenie dzienne jest szczególnie nieuchwytne, wyczuwają niekiedy także we śnie, gdzieś za łączącą plątaniną i bezsensem przywidzeń - harmonijną rzeczywistość minionej i przyszłej jawy.

3

Kochać z całej duszy, a we wszystkim innym - zdać się na los; taka była jej prosta zasada. „Więc zapamiętaj" - mówiła z tajemniczym wyrazem twarzy, polecając mojej uwadze drogocenny szczegół: skowronka, wzbijającego się W mętnoperłowe niebo bezsłonecznego wiosennego dnia, eksplozje nocnych błyskawic, fotografujących z różnych pozycji odległy zagajnik, kolory klonowych liści na palecie mokrego tarasu, klinowe pismo ptasich łapek na świeżym śniegu. Jak gdyby przeczuwając, że materialna część jej świata ma wkrótce zginąć, z niezwykłą pieczołowitością odnosiła się do wszelkich znaków orientacyjnych przeszłości, rozsypanych po jej rodowym majątku, a także po sąsiednim - należącym do jej świekry - i po gruntach brata za rzeką. Oboje jej rodzice zmarli na raka wkrótce po jej ślubie, przedtem

zmarło młodo siedmioro z dziewięciorga ich dzieci i pamięć o tym bujnym, odległym życiu, przeplatając się z wesołymi rowerami i krykietowymi kabłączkami jej lat panieńskich, zdobiła mitologicznymi winietami Wyrę, Batowo i Rożdiestwieno na osobliwej, ale trochę nierzeczywistej mapie. Odziedziczyłem tym sposobem zachwycającą fatamorganę, wszystkie piękności niezbywalnych bogactw, widmową majętność - co okazało się znakomitym sposobem uodpornienia się na straty, jakie były mi przeznaczone. Zakarbowane przez matkę znaki były mi równie drogie jak jej samej, tak że teraz w mojej pamięci rysuje się i pokój, niegdyś oddany Jej matce na laboratorium chemiczne, i znaczony wówczas młodą, a dziś sześćdziesięcioletnią lipą podjazd do wsi Griazno, przed skrętem na wielki trakt Dajmiszczeński - podjazd tak stromy, że rowerzyści musieli zsiadać z welocypedów - i gdzie, idąc razem z nią pod górę, oświadczył się jej mój ojciec, i stary kort tenisowy z czasów nieomal kareninowskich, świadek stosownie godnej wymiany piłek, a za mojego dzieciństwa porośnięty już kąkolem i psiarkami.

Nowy kort tenisowy na końcu wąskiej i długiej szkółki młodych dąbków, o których już wspominałem - wykonany został wedle wszelkich reguł robót ziemnych przez robotników sprowadzonych z Prus Wschodnich. Widzę matkę posyłającą piłkę w siatkę i przytupującą stopą w białym pantofelku bez obcasa. Wiaterek kartkuje leżący na zielonej ławeczce podręcznik do gry w lawn tennisa Wallisa Myersa. Białe kapustniki z rzetelnym i głupim wysiłkiem szukają przejścia w drucianym ogrodzeniu otaczającym kort. Cieniutka bluzka i wąska pikowa spódnica matki (gra ze mną w jednej parze przeciwko ojcu i bratu, i ja złoszczę się na jej pudłowanie) należy do tej samej epoki, co flanelowe koszule i spodnie mężczyzn. Opodal, za kwitnącą łąką otaczającą kort, przejeżdżający chłopi spoglądają z pełnym szacunku zdziwieniem na rozbawienie państwa, podobnie jak w osiemnastym wieku patrzyli na wolanta lub serso. Ojciec ma mocne, proste podania w klasycznym stylu angielskich tennisistów tego czasu, i sprawdzając we wspomnianej już książce, raz po raz pyta mnie i mego brata, czy spłynęła na nas łaska i czy, jak być powinno, czujemy swój drajw od przegubu aż po ramię.

Matka lubiła również wszelkie inne gry, zwłaszcza łamigłówki i karty. Pod jej zręcznie polatującymi rękami z tysięcy wyciętych kawałeczków stopniowo powstawała na stoliku do iombra scenka z angielskiego polowania i to, co najpierw wydawało się nogą konia, okazywało się częścią wiązu, a nigdzie nie pasujący pępeczek (nazwa, którą mama nadawała każdemu okrągłemu drobiazgowi) nagle przystawał do nakrapianego zadu zadziwiająco porządnie zapełniając ostatnią białą, a ściślej niebieską plamę, bowiem sukno stolika było niebieskie. Dokładność tych uzupełnień mnie, widzowi, dostarczała zarówno abstrakcyjnej, jak fizycznej wręcz przyjemności.

Na początku lat dwudziestych nabrała pasji do gier hazardowych, zwłaszcza do pokera; ten ostatni zawleczony został do Petersburga za sprawą korpusu dyplomatycznego, ale przeszedłszy po drodze z odległej Ameryki przez stosunkowo bliski Paryż, dotarł do nas wyposażony we francuskie nazwy układów, jak na przykład breton i couleur. Określając rzecz technicznie był to tak zwany draw poker z dość częstymi zmianami puli i dżokerem zastępującym dowolną kartę. Matka grała czasem do czwartej rano i potem wspominała z naiwnym przerażeniem, jak to szofer czekał na nią przez całą mroźną noc; a tak naprawdę herbata z rumem w pełnej zrozumienia kuchni znacznie osładzała te nocne czuwania.

Latem jej największą przyjemnością były wyprawy na grzyby. W angielskim oryginale tej książki musiałem podkreślić oczywisty dla rosyjskiego czytelnika brak w tym zajęciu podniety gastronomicznej. Jednakże rozmawiając z moskwiczanami i innymi rosyjskimi

prowincjuszami spostrzegłem, że i oni nie wyznają się na pewnych subtelnościach tej dziedziny, jak na tym choćby, że znawcy lekceważyli najzupełniej surojadki czy powiedzmy rydze, a w ogóle wszystkie nizinne bedłkowate z blankowatymi strzępiastościami i zbierali tylko klasycznie i okrągło zbudowane egzemplarze z gatunku Boletus - borowiki, kozaki i czerwone koźlarze. W dżdżysty dzień, zwłaszcza w sierpniu, mnóstwo tych cudownych tworów wyrastało w gąszczach parku, nasączając je tą wilgotną sycącą wonią - mieszaniną mchów, zbutwiałych liści i fiołkowej próchnicy - która sprawiała, że mieszkaniec Petersburga pociągał nosem i rozdymał nozdrza. Czasami jednak trzeba było długo wypatrywać i wymacywać, zanim znalazło się rodzinkę prawdziwków w mocno nasadzonych czapeczkach albo marmurkowatego „huzara“, albo bagienną odmianę anemicznego jasnego koźlaka.

Mżył deszcz, a matka wziąwszy koszyk - wiecznie poplamiony wewnątrz na fioletowo po zbieraniu jagód - wyruszała samotnie na długą wyprawę. Po mniej więcej trzech godzinach można było dostrzec z gazonu jej drobną postać w pelerynie z kapturem, wynurzającą się z mglistej alei; paciorki kropelek na zielonobrunatnej wełnie peleryny tworzyły wokół niej jakby lekką aureolę. Oto wyszedłszy spod kapiącej i szeleszczącej osłony parku dostrzega mnie i twarz jej przybiera natychmiast dziwny wyraz zmartwienia, które zdawałoby się, powinno oznaczać niepowodzenie, ale w gruncie rzeczy pokrywa tylko zazdrośnie hamowane uszczęśliwienie, triumf grzybobrania. Doszedłszy do mnie wydaje westchnienie zmęczenia, ręka i ramię zwisają naraz bezwolnie, opuszczając koszyk nieomal do ziemi, aby podkreślić jego ciężar, jego bajeczne wypełnienie.

Przy białej, śliskiej od deszczu ogrodowej ławeczce z oparciem matka wyjmuje swoje grzyby na okrągły żelazny stół z otworem ściekowym pośrodku, układając je w koncentryczne kręgi. Liczy i sortuje, Stare z rozmiękłym spodem zostają wyrzucone; młode i mocne doznają wszelkiego starania. Po chwili ktoś ze służby zabierze je w nieznane i nieinteresujące dla matki miejsce, ale teraz można przystanąć i w spokoju je podziwiać. Czasem słońce wypadając tuż przed zachodem z deszczowych chmur w złotoczerwoną otchłań zapuszczało ostry promień w ogród i grzyby na stole lśniły: do któregoś czerwonego albo bursztynowo-brązowego kapelusza przystało źdźbło trawy; do któregoś pokreskowanego, wygiętego korzenia przywarł mech z jego gniazda; i maleńka gąsienniczka geometridae, pełznąc po skraju stołu, wydawała się cały czas mierzyć coś dwoma palcami dziecinnej dłoni i z rzadka wyciągała się w górę, szukając nie znanego nikomu krzaka, z którego ją strącono.

4

Wszystko, co dotyczyło gospodarstwa, interesowało moją matkę nie więcej, niż gdyby mieszkała w hotelu. Ojciec też nie miał gospodarskiej żyłki. Co prawda dysponował śniadania i obiady. Obrządek ten odbywał się przy stole po deserze. Kredensowy przynosił czarny albumik. Ojciec otwierał go z lekkim westchnieniem i po chwili zastanowienia swym eleganckim, równym pismem notował menu na jutro. Jak zwykle, gdy obmyślał następnął falkę słów, chemiczny ołówek lub wieczne pióro szybko trzepotało w powietrzu tuż nad kartką. Na pytająco wymieniane nazwy dań matka odpowiadała nieokreślonymi skinięciami albo krzywiła się. Oficjalnie klucznicą była Helena Borysowna niegdyś niania matki, prastara, podobna do przygnębionego żółwia, bardzo niska staruszka o ogromnych stopach i małej głowie, z zupełnie zagasłym mętnie karym spojrzeniem i skórą chłodną jak zapomniane w spiżami jabłuszko. Bajek o królewiczu Bowie jakoś mi nie opowiadała, ale i nie piła, jak popijała Arina Rodionowna (wzięta zresztą do Oleńki Puszkin z niezbyt odległej

od nas Sujdy). Była ode mnie o siedemdziesiąt lat starsza, szła od niej lekka, ale nieznośna woń - mieszanina kawy i martwizny - w ciągu ostatnich lat zaś popadła w patologiczne skąpstwo i w miarę jego narastania w sekrecie przed nią wprowadzony został w domu nowy porządek, ustanowiony w pokoju kredensowym. Serce by jej pękło, gdyby dowiedziała się, że władza jej bełta sięrw przestrzeni jej własnego kółka od kluczy i matka serdecznością usiłowała odżegnać podejrzenia, lęgnące się w słabnącym umyśle staruszki. Rządziła więc niepodzielnie jakimś własnym, dalekim, zatęchłym małym królestwem - całkiem wyimaginowanym oczywiście, bo w przeciwnym wypadku pomarlibyśmy z głodu i widzę, jak cierpliwie drepcze tam po długich żółtych korytarzach, pod ironicznym spojrzeniem służby, unosząc do potajemnej spiżarni znalezionego gdzieś na talerzu pokruszonego petit beurre'a. Tymczasem, brak jakiegokolwiek nadzoru nad służbą, liczącą przeszło pół setki osób sprawiał, że zarówno w domu na wsi, jak w domu petersburskim toczył się wesoły złodziejski kołomąt. Wedle tego, co twierdziły wścibskie stare krewniaczki, pierwsze skrzypce grali kucharz Mikołaj Andrieicz i stary ogrodnik Jegor - obaj na pozór niezwykle solidni, w okularach, z siwizną na skroniach - słowem znakomicie ucharakteryzowani na wiernych służących. Donosom starych krewniaczek nikt nie dawał wiary, ale niestety mówiły one prawdę. Mikołaj Andrieicz był mistrzem zakupów i, jak to pewnego razu wyszło na jaw, medium, dość znanym w kołach petersburskich spirytystów. Jegor (dotychczas słyszę jego czarnoziemiście-szpinakowy bas, kiedy w ogrodzie usiłował zwekslować moją żarłoczną uwagę z ananasowych poziomek na zwyczajne truskawki) handlował w ogólnym zamęcie pańskimi kwiatami i owocami tak umiejętnie, że dorobił się nowiuteńkiego domu przy Siwierskiej: mój wuj Rukawisznikow pojechał pewnego razu obejrzeć ten dom i wrócił ze zdziwioną miną. Potworne i niewytłumaczalne rachunki napływały z taką regularnością, że mego ojca jako prawnika i męża stanu szczególnie irytowała własna nieumiejętność rozwiązania kłopotów ekonomicznych w swoim domu. Za każdym razem jednak, gdy wychodziło na jaw oczywiste nadużycie, zawsze coś uniemożliwiało porachowanie się z delikwentem. Kiedy zdrowy rozsądek nakazywał wyrzucić łobuza kamerdynera, okazywało się zarazem, że jego syn, czarnooki chłopiec w moim wieku leży śmiertelnie chory i wszystko ustępowało wobec konieczności zwołania konsylium najlepszych stołecznych lekarzy. Mój ojciec, którego pochłaniały różne inne zajęcia, pozostawił w końcu gospodarstwo w stanie chwiejnej równowagi i nauczył się nawet traktować to z humorem, podczas gdy matka cieszyła się, że ta pobłażliwość ratuje od zagłady zwariowany świat jej starej niańki, unoszącej we własną wieczność po mroczniejszych korytarzach już nawet nie herbatnik, ale garstkę suchych okruchów. Matka rozumiała dobrze ból unicestwionych złudzeń. Najmniejsze rozczarowanie przybierało dla niej wymiar okrutnego nieszczęścia.

Pewnego razu w Wigilię, na jakieś trzy miesiące przed narodzinami jej czwartego dziecka, pozostała w łóżku z powodu lekkiej niedyspozycji. Według angielskiego obyczaju guwernantka w noc Bożego Narodzenia, kiedy już spaliśmy, przywiązywała do naszych łóżeczek po pończosze wypełnionej prezentami, a w świąteczny ranek budziła nas sama matka i dzieląc radość nie tylko z dziećmi, ale i ze wspomnieniami własnego dzieciństwa, rozkoszowała się naszymi okrzykami zachwytu podczas szelestliwego rozwijania wszelkich czarodziejskich drobiazgów od Pettou. Tym razem jednak kazała dać sobie słowo, że o dziewiątej rano nie napoczęte pończochy przyniesiemy na rozpakowanie do jej sypialni. Szło mi na siódmy rok, bratu na szósty i obudziwszy się rano szybko się z nim naradziłem, zawarłem szaleńczy alians i obaj rzuciliśmy się do pończoch powieszonych w nogach łóżka. Ręce poprzez jedwab naciągnięty na kanty i grudy, wymacały segmenty zawartości chrzęszczącej tłoczonym pakunkowym papierem. Wszystko to wyciągnęliśmy, rozwiązaliśmy, rozwinęliśmy, obejrzeliśmy przy smagłe śnieżnym świetle, przenikającym przez fałdy rolet i - ponownie zapakowawszy - upchnęliśmy z powrotem w pończochach, z którymi o stosownej

porze zjawiliśmy się u matki. Siedząc u niej na oświetlonym łóżku, niczym nie osłonięci przed jej rozradowanymi oczami, Spróbowaliśmy dać spektakl, jakiego domagała się publiczność. Tak jednak wymiętosiliśmy jedwabiście różowy papier, tak okropnie pozawiązywaliśmy wstążeczki i tak po amatorsku odgrywaliśmy zdumienie i zachwyt (jak dziś widzę brata przewracającego oczami i wykrzykującego z intonacją naszej Francuzki *Ah, que c'est beau!*), że przyjrzawszy się nam przez chwilę biedna widownia wybuchnęła łkaniem.

Upłynęło dziesięć lat. Podczas pierwszej wojny światowej (Poincare w sztylpach, plucha, *zdrawija żełajem*, nieszczęsny następca tronu w czerkiesce, jego rosłe, okropnie ubrane siostry w dużych, nieśmiałych kapeluszach, z tysiącem swoich żarcików) moja matka bardzo sumiennie, ale dosyć niewprawnie urządziła, za przykładem innych petersburskich pań, własny lazaret - i oto pamiętam ją w nienawistnym jej uniformie, szlochającą takimi samymi dziecięcymi łzami nad fałszem modnego miłosierdzia, nad dręczącą, kamienną, nieprzeniknioną łagodnością okaleczonych chłopów. A jeszcze później - o, znacznie później - na wygnaniu, przypominając sobie przeszłość, często oskarżała siebie (sądzę, że niesłusznie), że mniej była czuła na bezmiar ludzkiego nieszczęścia na ziemi niż na brzemię uczuć, które człowiek spycha na wszystko co pokorne, choćby na stare aleje, stare konie, stare psy.

Moje ciotki krytykowały jej upodobanie do brązowych jamników. W albumach fotograficznych, szczegółowo ilustrujących jej młode lata, pośród pikników, krykietów - to zdjęcie nie wyszło - sportsmenek w bufiastych rękawach i słomkowych kapeluszach, starych służących z rękami wyciągniętymi wzdłuż tułowia, jej samej w kołysce, jakichś zamglonych choinek, perspektyw jakichś pokojów, rzadko która grupa obywała się bez jamnika z rozrośniętą od temperamentu tylną częścią giętkiego tułowia i zawsze z tym dziwnym psychopatycznie gwiaździstym spojrzeniem, jakie miewa owa rasa na rodzinnych fotografiach. We wczesnym dzieciństwie zastałem jeszcze w ogrodowym słońcu Loulou i Boksa Pierwszego, matkę i syna, tak otłuszczonych, że dawno już został zapomniany ich kazirodczy związek, który wywołał swego czasu konsternację dawnych dzieci. Około roku 1904 ojciec przywiózł z Wystawy Monachijskiej rudego szczeniaka, z którego wyrosła zdumiewającej jamniczej urody Tramy. W 1915 Toku tylne łapy poraził jej paraliż i zanim matka zdecydowała się ją uśpić, biedna suka ponuro przesuwała się po parkietach jak *cul-de-jalte*. Potem ktoś podarował nam wnuka czy też prawnuka czechowowskiej Chininy i Broma. Ten finalny jamniczek (stanowiący jedno z niewielu ogniw pomiędzy mną a rosyjskimi klasykami) towarzyszył nam na wygnaniu i jeszcze w 1930 roku w Pradze, gdzie moja owdowiała matka żyła z niewielkiej państwowej renty, można było zobaczyć kuśtykającego po szarej zimowej ulicy, z dala za swą zamyśloną panią, tego starego, ale wciąż jeszcze skorego do gniewu Boksa Drugiego - emigracyjnego pieska w długim drucianym kagańcu i łatanym paltociku.

Mieszkałem daleko od matki w Niemczech albo we Francji i nie mogłem jej często odwiedzać. Nie było mnie przy niej także wtedy, gdy umarła, w maju 1939 roku. Za każdym razem, kiedy udawało mi się odwiedzić Pragę, doznawałem w pierwszej sekundzie spotkania tego bólu, tej konsternacji, tego poczucia zapaści, kiedy trzeba dokonać wysiłku, ażeby dopędzić czas, który podczas rozłąki wybiegł naprzód, i odtworzyć kochane rysy wedle nie starzejącego się w sercu pierwowzoru. Mieszkanie, które dzieliła z wnukiem i Eugenią Konstantynowną H *, jej najbliższą przyjaciółką, było niesłychanie ubogie. Ceratowe zeszyty, do których przepisywała przez wiele lat wybrane wiersze, leżały na byle jak skompletowanych zniszczonych meblach. Okropnie szybko strzępiące się tomiki wydań emigracyjnych sąsiadowały z odlewem ojcowskiej ręki. Przy jej kanapce, na której również

sypiała, skrzynka ustawiona do góry dnem i okryta zieloną materią służyła za stolik, na nim zaś stały małe, zmętniałe fotografie w rozpadających się ramkach. Chyba ich zresztą nie potrzebowała, bo nie został zgubiony oryginał życia. Jak wędrowna trupa wozi ze sobą wszędzie - dopóki pamięta role - i diuny w czasie burzy, i zamek we mgle, i czarodziejską wyspę - tak i ona niosła w sobie wszystko, co dusza zaoszczędziła na tę szarą godzinę. Widzę ją bardzo wyraźnie, gdy siedzi przy stoliku do herbaty, łagodnie kontynuując jakąś fazę pasjansa; druga ręka wsparta jest łokciem o stół i w tej ręce, przycisnąwszy w zgięciu duży palec do podbródka, trzyma w pobliżu ust własnoręcznie nabitego papierosa. Na czwartym palcu prawej dłoni - teraz kładącej kartę - lśnią dwa złote pierścienie - obrączka mojego ojca, za duża na nią, przywiązana czarna nitką do jej własnej.

Kiedy śnią mi się umarli, są zawsze milczący, zafrasowani, niejasno czymś przygnębieni, chociaż w życiu właśnie uśmiech był istotą ich drogich rysów. Spotykam się z nimi bez zdziwienia w miejscach i okolicznościach, w których za życia nigdy nie byli - na przykład w mieszkaniu kogoś, kogo poznałem dopiero później. Siedzą z boczku chmurnie spuściwszy oczy, jak gdyby śmierć była ciemną plamą, Wstydliwą rodzinną tajemnicą. I oczywiście nie tam i nie wtedy, nie w tych kosmatych snach dana jest śmiertelnikowi rzadka okazja zajrzenia poza własny kres, a okazja taka zostaje nam nastręczona na jawie, w pełnym blasku świadomości, w chwilach rozradowania, siły, sukcesu - na maszcie, na grani, przy stole roboczym. I choć niewiele dostrzega się we mgle, ma się błogie przeświadczenie, że patrzy się tam, gdzie się patrzeć powinno.

Rozdział trzeci

1

W osiemnastym roku życia opuściwszy Petersburg (oto przykład galicyzmu), zbyt młody w Rosji, aby okazać bodaj trochę zainteresowania własnym rodowodem, teraz żałuję tego - ze względów technicznych: przy wyrazistości pamięci własnej, niewyrazistośc rodowej zakłóca równowagę słów. Rozmaitych ciekawych wiadomości udzielił mi, już na emigracji, mój powinowaty Władimir Wiktorowicz Gołubcow, wielki amator takich znalezisk. Według niego stary szlachecki ród Nabokowów wiedzie się nie od jakichś żyjących gdzieś na uboczu Pskowian i nie od krzywobokiego „nabokiego“ - jak by się prosiło - ale od zruszczonego przed sześciuset laty tatarskiego książątka Naboka. Moja babka, matka ojca, z domu baronówna Korff, pochodziła ze starej niemieckiej (westfalskiej) rodziny i uważała za urocze, że na cześć jej przodka - krzyżowca otrzymała ponoć swą nazwę wyspa Korfu. Korffowie ci zruszczyli się już w wieku osiemnastym i encyklopedie odnotowują wśród nich wielu ludzi wybitnych. Po mieczu jesteśmy na różne sposoby spokrewnieni i spowinowaceni z Aksakowami, Szyszkowami, Puszczynami. Danzasami. Myślę, że było już całkiem ciemno, kiedy po skrzypiącym śniegu wniesiono rannego do karety Heckerena. Wśród moich przodków wielu jest ludzi dużych zasług; są obsypani brylantowymi odznaczeniami uczestnicy słynnych wojen: jest syberyjski właściciel kopalni złota i milioner (Wasilij Rukawisznikow, dziadek mojej matki Heleny Iwanowny); jest uczony prezes Akademii Medycyny i Chirurgii (Mikołaj Kozłow, drugi jej dziadek); jest bohater bitwy pod Friedlandem, Borodinem, Lipskiem i wielu innych bitew, generał piechoty Iwan Nabokow (brat mego pradziada), zarazem dyrektor Czesmieńskiego Przytułku dla Starców i komendant

twierdzy Sankt-Petersburskiej - tej, w której siedział zbrodzień Dostojewski (raporty dobrego Iwana Aleksandrowicza dla cara wydrukowane są zdaje sie w periodyku „Krasnyj Archiw“); jest minister sprawiedliwości Dymitr Nikołajewicz Nabokow (mój dziad); jest wreszcie znany działacz społeczny Władimir Dymitrowicz (mój ojciec).

Herb Nabokowów przedstawia coś w rodzaju szachownicy z dwoma niedźwiedziami podtrzymującymi ją Z boków: zaproszenie na partię szachów przy kominku po polowaniu z nagonką w majorackim borze; natomiast rukawisznikowski jest świeższej daty i przedstawia stylizowany wkłkj piec hutniczy. Ciekawe, że kiedy uralskie kopalnie złuta. zakłady Ałapajewskie, ich akcje dawno runęły, w latach trzydziestych naszego stulecia w Berlinie licznym potomkom kompozytora Grauna (przeważnie jakimś niemieckim baronom i włoskim hrabiom, którym udało się nieomal przekornie sąd, że wszyscy Nabokowowie wymarli) przypadło po wszystkich dewaluacjach - coś niecoś z porządnie zamarynowanych dochodów z jego drogocennych tabakierek. Ten mój przodek, Karl-Heinrich Graun (1701-1759), utalentowany karierowicz, autor znanego oratorium Śmierć Jezusa, uważany przez współczesnych mu Niemców ta nieprześcignionego artystę, i pomocnik Fryderyka Wielkiego w pisaniu oper, sportretowany został wraz z innymi przybocznymi (był wśród nich Wolter), gdy słuchają królewskiego fletu na sławetnym obrazie Manzela, który mnie, emigranta, prześladował w kolejnych berlińskich pensjonatach. W młodości Graun obdarzony byl wspaniałym tenorem; pewnego razu, występując w jakiejś operze, napisanej przez brunszwickiego kapelmistrza Schurmana, zastąpił na premierze miejsca, które mu się nie podobały, ariami własnego autorstwa. Tutaj tylko czuję rozbłysk pokrewieństwa pomiędzy sobą, a tym dobrze urządzonym działaczem muzycznym. O wiele bliższy jest mi inny mój przodek, Mikołaj Iłłarionowicz Kozłow (1814-1889), patolog, autor takich prac, jak *O rozwoju pojęcia choroby* albo *Zwężenie otworu żyły szyjnej u obłąkanych i samobójców* - w jakimś sensie stanowiący zabawny prototyp moich prac literackich i lepidopterologicznych. Jego córka Olga była moją babką; byłem niemowlęciem, kiedy umarła. Druga jego córka Praskowia wyszła za znakomitego syfilitologa i sama wiele pisała o problematyce płci. Umarła w roku 1913, a jej dziwne, wyraźnie wypowiedziane słowa brzmiały: „Teraz rozumiem - wszystko jest wodą“. O niej i o różnych dziwnych, a czasem strasznych Rukawisznikowach matka zachowała wiele wspomnień... Lubię sprzężenie czasów: kiedy gościła jako dziewczynka u swego dziadka, starego Wasilija Rukawisznikowa w jego krymskim majątku, Ajwazowski, bardzo mierny, ale bardzo znany marynista owych czasów, opowiadał w jej obecności, jak w młodych swych latach widział Puszkina i jego wysoką żonę, a przez czas, kiedy to opowiadał, przelatujący ptak wypróżnił się biało na szary cylinder artysty; jego morza błękitniały ciemno po różnych kątach domu w Petersburgu (a później na wsi) i Aleksander Benois przechodząc obok nich i obok martwizn swego brata Alberta - członka Akademii, i obok Topnienia śniegu Kryżyckiego, gdzie nic nie topniało, i obok olbrzymiego, ulizanego *Przypływu* Pierowa w salonie, robił z rąk szory i jakoś ciemno-muzykalnie myczał „*Non, non, non, c'est affreux*, co za bzdura, zasłońcie to czymś“ - i z ulgą przechodził do gabinetu mojej matki, gdzie jego rzeczywiście cudowne płótna, nabrzmiała deszczem *Bretania* i rudozielony *Wersal* sąsiadowały ze „smacznymi“, jak wtedy mawiano, *Turkami* Baksta i akwarelową *Tęczą* wśród nawilgłych brzóz Somowa.

Dwie baronowe Korff pozostawiły ślad w kronikach sądowych Paryża: jedna - kuzynka mojego pradziadka, ożenionego z córką Grauny - była tą właśnie damą rosyjską, która przebywając w Paryżu w 1791 roku użyczyła swego paszportu i podróżnej karocy (zrobionej właśnie na zamówienie wspaniałej sześcioosobowej berlinki na wysokich czerwonych kołach, obitej wewnątrz białym utrechckim aksamitem, z zielonymi zasłonami i wszelkimi wygodami) rodzinie królewskiej na słynną ucieczkę do Varennes (Maria Antonina jechała

jako Madame de Korff lub jako jej pokojowa, król - czy to jako guwerner jej dwojga dzieci, czy to jako kamerdyner). Inna moja prababka w pół wieku później maczała palce w innej mniej tragicznej maskaradzie, a historyjkę tę wyczytałem z dość trywialnego francuskiego pisma „Illustration“ za rok 1859 na str. 251. Hrabia de Morny wydawał bal maskowy; zaprosił nań - cytuję źródło - „*une noble dame que la Russie a prêtée cet hiver à la France*“, baronową Korff z dwiema córkami. Męża, Ferdynanda Korffa (1805-1869, praprawnuka Grauna po kądzieli), nie było zapewne w pobliżu, za to znajdował się tu przyjaciel domu i narzeczony jednej z córek (Marii Ferdynandowny, 1842-1926), a mój przyszły dziad Dymitr Nabokow (1827-1904). Dla panien zamówione zostały na bal kostiumy kwiaciarek po 225 franków każdy, co wówczas stanowiło wedle wyraźnie buntowniczo-marksistowskiej uwagi reportera równowartość sześciuset czterdziestu trzech dni „*de nourriture, de loyer et d'entretien du père Crépin*“ (kosztów wyżywienia, mieszkania i obuwia); najwidoczniej człowiek pracy mógł się wówczas utrzymać bardzo tanio. Baronowej jednakże kostiumy wydały się zbyt wydekoltowane i odmówiła ich przyjęcia. Krawcowa przysłała „huissifer“ (komornika) po czym moja prababka, kobieta gwałtownego usposobienia (i nie tak cnotliwa, jak można by wnioskować z jej oburzenia na głęboki dekolt) wniosła do sądu skargę na krawcową, uskarżając się, że zuchwałe mamzele, które przyniosły stroje, w odpowiedzi na jej słowa, że takie dekolty nie przystoją szlachetnie urodzonym pannom, „*se sont permis d'exposer des théories égalitaires du plus mauvais goût*“ (pozwoliły sobie wygłosić niesłychanie wulgarne teorie demokratyczne). Dodawała tu, że było za późno na zamawianie innych kostiumów i szlochające córki nie poszły na bal; że komornik i jego pomocnicy rozparli się na fotelach pozostawiwszy damom krzesła; a co najważniejsze, że ten komornik poważył się grozić aresztem panu Nabokow «*Conseiller d'État, homme sage et plein de mesure*“ (radcy stanu, człowiekowi rozsądnemu i zrównoważonemu) tylko dlatego, że próbował on wyrzucić komornika przez okno. Nie wiem, jak się to stało, że krawcowa sprawę przegrała, przy czym nie tylko musiała zwrócić pieniądze, ale ponadto wybulić powódce tysiąc franków za straty moralne. Rachunek zaś za cudowną kolasę, przesłany przez karetnika na wiosnę 1791 roku (5944 liwry) pozostał ostatecznie nie zapłacony.

W 1878 roku Dymitr Nikołajewicz mianowany został ministrem sprawiedliwości. Za zasługę poczytywana mu jest między innymi ustawa z 12 czerwca 1884 roku, która przez pewien czas powstrzymywała presję reakcjonistów na sąd przysięgłych. Kiedy w roku 1885 przeszedł on w stan spoczynku, Aleksander Trzeci dał mu do wyboru - tytuł hrabiowski albo gratyfikację pieniężną; rozsądny Nabokow wybrał to drugie. W tym samym roku „Wiestnik Jewropy“ wyraził się o jego działalności w sposób następujący: „Postępował jak kapitan okrętu podczas gwałtownej burzy - wyrzucił za burtę część ładunku, aby uratować resztę“, co na zasadzie kontrapunktu wiąże się w sposób pełen wdzięku z początkiem jego kariery, kiedy to przyszły prawnik w złości o mało nie wyrzucił przedstawiciela prawa za okno.

Pod koniec życia Dymitrowi Nikołajewiczowi pomieszało się w głowie. Rozumiał, że jest ciężko chory, ale wierzył, że wszystko obróci się ku lepszemu, jeśli wkrótce zamieszkają na Riwierze; lekarze zaś utrzymywali, że niezbędny jest mu klimat górski lub pomocny. Gdzieś we Włoszech wymknął się spod nadzoru lekarza i dość długo błąkał się niczym Lear, pomstując na swe dzieci, ku uciesze przypadkowych przechodniów. W 1903 roku moja matka, jedyna osoba, której opiekę akceptował, pielęgnowała go w Nicei, brat i ja - on zaczął czwarty, a ja piąty rok życia - mieszkaliśmy tam z Angielką miss Norcott. Pamiętam, jak w blasku poranka dzwoniły okiennice pod sprężystym morskim wiatrem i jaki to był okropny, z niczym nie dający się porównać ból, gdy kropla roztopionego laku upadla mi na rękę. Przy pomocy świeczki, której płomyk wydawał się zadziwiająco blady w słońcu zatapiającym kamienne płyty, zajmowałem się przed chwilą z wielką przyjemnością przeistaczaniem

topliwych malowniczych laseczek w przedziwnie pachnące karminowe i brązowe kleksy. Miss Norcott była w ogrodzie z moim bratem; na mój przeraźliwy ryk przybiegła z szelestem mama, a gdzieś opodal na tym albo na sąsiednim tarasie mój dziad w fotelu na dwóch kółkach uderzał końcem laski w dźwięczne płyty. Nie było jej z nim łatwo. Wymyślał najgorszymi słowami. Służącego, który woził go po Promenade des Anglais brał ciągle za nielubianego współpracownika - Loris-Mielikowa, który umarł przed piętnastu laty właśnie tu, w Nicei. „*Qui est cette femme? Chassez-la*!“ krzyczał do mojej matki wskazując trzęsącym się palcem na królową belgijską albo holenderską, gdy zatrzymywały się, ażeby zapytać o jego zdrowie. Jak przez mgłę widzę siebie podbiegającego do jego fotela, aby pokazać mu ładny kamyczek, który on powoli ogląda i powoli wkłada sobie do ust. Okropnie mi żal, że za mało wypytywałem później matkę o ten dziwny okres graniczny u początku mojej świadomości i u kresu świadomości mojego dziada.

Ataki zamroczenia stawały się coraz dłuższe. Podczas jednego z takich zaćmień wszystkich zmysłów przewieziono go do Rosji. Moja matka ucharakteryzowała jego pokój na sypialnię w Nicei. Znaleziono podobne meble, do wazonów wstawiono sprowadzone z południa kwiaty, załom muru (ten szczegół najbardziej mi się podoba szczególnie), który można było ukosem dostrzec z okna, pomalowano lśniącą bielą tak, że ilekroć chory na jakiś czas odzyskiwał świadomość, widział, że jest bezpieczny wśród blasku i mimoz iluzorycznej Riwiery, artystycznie imitowanej przez moją matkę, i umarł spokojnie, nie słysząc nagich rosyjskich brzóz, szumiących dookoła domu marcowym szelestem witek.

3

Ojciec wyrósł w apartamentach służbowych naprzeciwko Pałacu Zimowego. Miał trzech braci, Dymitra (ożenionego w pierwszym małżeństwie z panną Falz-Fein), Sergiusza (ożenionego z Tuczkową) i Konstantego (obojętnego wobec kobiet, czym uderzająco różnił się od swych braci). Z pięciu ich sióstr Natalia była za Petersonem, Wiera za Pychaczowem, Nina za baronem Rauschern von Traubenberg (a następnie za admirałem Kołomiejcewem), Elżbieta za księciem Wittgenstein, Nadieżda - za Wonlarlarskim. Na początku drugiej dekady naszego stulecia miałem, by tak rzec, danych, to jest włączonych w obręb mojej rodowej świadomości i ustalonych tam w znanym gwiaździstym ornamencie, trzydziestu stryjecznych braci (z większością z nich przyjaźniłem się w rożnych okresach) i sześć stryjecznych sióstr (w większości z nich kochałem się potajemnie albo otwarcie). Z niektórymi z tych rodzin, za sprawą wzajemnej sympatii czy sąsiedztwa majątków, widywaliśmy się o wiele częściej niż z innymi. Pikniki, spektakle, głośne zabawy, nasz tajemniczy park w Wyrze, śliczne Batowo braci, wspaniałe majątki Wittgensteinów - Drużnosielje za Siwierską i Kamienka w guberni podolskiej - wszystko to pozostało tłem sielankowych rycin w pamięci, która teraz znajduje podobne rysunki tylko w bardzo starej literaturze rosyjskiej.

4

Ze strony matki miałem zaledwie jednego bliskiego krewnego - jej jedynego pozostającego przy życiu brata Wasilija Iwanowicza Rukawisznikowa; był dyplomatą, podobnie jak jego szwagier Konstanty Dymitrowicz Nabokow, o którym wspomniałem wyżej i którego teraz chcę dokładniej wskrzesić w pamięci - zanim wywołam żywszą, ale w smutnym i ukrytym znaczeniu przynależną do jednego żywiołu postać Wasilija Iwanowicza.

Konstanty Dymitrowicz był szczupłym, sztywnym, dosyć melancholijnym starym kawalerem o niespokojnych oczach, mieszkał w mieszkaniu klubowym w Londynie, pośród zdjęć jakichś młodych angielskich oficerów, i niezbyt fortunnie wojował o ambasadzkie pierwszeństwo ze swym rywalem Sablinem. Odpowiedziawszy kiedyś „Nie, dziękuję, ja tu o krok", a w innym przypadku zmieniwszy plany i zwróciwszy bilet - dwukrotnie w życiu uniknął niezwykłej śmierci: po raz pierwszy w Moskwie, kiedy wielki książę Sergiusz Aleksandrowicz, któremu przeznaczone było za chwilę spotkanie za Kalajewem, zaproponował mu, że go odwiezie, i po raz drugi, gdy wybierał się w podróż do Ameryki na „Titanicu", któremu przeznaczone było spotkanie z lodowcem. Umarł w latach dwudziestych wskutek przeciągu w londyńskim szpitalu, gdzie wracał do zdrowia po lekkiej operacji. Ogłosił drukiem dość interesujące *Niemiłe przygody dyplomaty* i przetłumaczył na język angielski *Borysa Godunowa*. Pewnego razu, w 1940 roku, w Nowym Jorku, gdzie od razu po przyjeździe do Ameryki udało mi się pogrążyć w prawdziwy raj badań naukowych, zjeżdżałem windą z czwartego piętra Amerykańskiego Muzeum Przyrodniczego, gdzie całe dnie spędzałem w laboratorium entomologicznym, i nagle - myśląc, że to skutek przemęczenia mózgu - zobaczyłem w głównym westybulu własne nazwisko wypisane wielkimi złotymi literami na ozdobionej freskiem ścianie. Gdy wpatrzyłem się uważniej, nazwisko nałożyło się na postać Konstantego Dymitrowicza; młody, wymuskany, z hiszpańską bródką uczestniczy wraz z Wittem, Korostowcowem i delegatami japońskimi w podpisaniu pokoju w Portsmouth pod dobrotliwą egidą Teodora Roosvelta, ku którego pamięci wzniesiono muzeum. Wasilij Iwanowicz Rukawisznikow jednakowoż nigdzie nie został sportrelowany, kolej więc na to, bym go bodaj naszkicował moim kolorowym atramentem.

Jego dwór z czasów Aleksandra, biały, o symetrycznych skrzydłach, z kolumnami wzdłuż fasady i antyfrontonem, wznosił się pośród lip i dębów na stromym trawiastym wzgórzu za rzeką Oredż, naprzeciwko naszej Wyry. We wczesnym dzieciństwie wuj Wasia i wszystko, co do niego należało, mnóstwo porcelanowych łaciatych kotów w lustrzanym antyszambrze jego domu, jego pierścienie i spinki, niebywałe goździki w jego oranżerii, urny w romantycznym parku, cały gaj czereśni, chroniony szkłem przed klimatem guberni petersburskiej i sam jego cień, który przy pomocy tajemniczej, rzekomo egipskiej sztuczki potrafił zmusić do tego, sam nie czyniąc najlżejszego ruchu, ażeby ten zwijał się na piasku - wszystko to wydawało się czymś nie ze świata dorosłych, a ze świata moich pociągów, klownów, książek z obrazkami, wszelkich dziecinnych ożywionych przedmiocików i było to tak, jak bywa, kiedy w strojnym zagranicznym mieście, pod deszczem tęczującym w blasku ulicznych świateł, nagle, będąc dzieckiem w brązowych glansowanych rękawiczkach, natrafi się na zupełnie bajkowy sklep z zabawkami albo motylami. Do Rosji przyjeżdżał tylko w lecie, i to nie co roku, a wtedy na jego domu wywieszano flagę o fantastycznych barwach i niemal codziennie, powracając ze spaceru, mogłem patrzeć, jak jego powozik przejeżdża most na naszą stronę i pędzi wzdłuż Świerkowego zagajnika parku. Do śniadania zasiadało u nas zwykle mnóstwo osób, później wszyscy przechodzili do salonu albo na werandę, a on zatrzymawszy się w opustoszałej słonecznej jadalni siedział na wiedeńskim krześle, stojącym na swym siatkowym cieniu, brał mnie na kolana i wypowiadając różne śmieszne słówka pieścił mile dziecko; ale nie wiedzieć czemu bywałem rad, kiedy ojciec wolał z daleka „*Wasia, on vous attend*" - i od razu służba z zuchwałymi minami sprzątała ze stołu, a Helena Borysowna, znosząc męczarnie usiłowała wyciągnąć spod ręki sprzątającym, aby unieść i schować, pól jabłka, bułeczkę, samotnie moknącą w kałuży rzodkiewkę. Kiedyś po półtorarocznej chyba przerwie wyjechałem z bratem i guwernerem po niego na stację. Szło mi chyba na jedenasty rok, i oto z westchnieniem przystanęły długie szare wagony Nord Expressu, który wuj przekupywał, ażeby zatrzymywał się na letniskowej stacji, potem z

niesłychaną szybkością wynoszono z wagonu bagażowego mnóstwo jego kufrów - aż wreszcie on sam zszedł po przystawionych wyścielanych schodkach i spojrzawszy na mnie mimochodem, powiedział: „*Que vous êtes devenu jaune et laid, mon pouvre garçon*!“ (jakżeś pożółkł i zbrzydł, mój biedny chłopcze). W dniu zaś piętnastych moich imienin wziął mnie na bok i dość chmurnie, w swojej porywistej, dokładnej, staromodnej francuzczyźnie oznajmił, że uczynił mnie swoim spadkobiercą. Dodał, że doszczętnie spali dom, jeśli Niemcy - było to w roku 1914 - dojdą kiedykolwiek do naszych stron. „A teraz - powiedział - możesz sobie iść, posłuchanie skończone, je n'ai plus rien à vous dire“.

Widzę jak na obrazie jego niedużą, szczupłą, zadbaną postać, smagłą twarz, szarozielone oczy z rdzawą iskrą, ciemne gęste wąsy, ciemnego jeża; widzę też bardzo ruchliwe pomiędzy krochmalonymi wyłogami kołnierzyka jabłko Adama, a wokół węzła jasnego krawata wężokształtną obrączkę z opalem. Opale nosił na palcach, zaś na czarno owłosionym przegubie łańcuszek. W butonierce marynarki bladopopielatej albo jakiegoś innego delikatnego koloru prawie zawsze miał goździk, który czasem wąchał - ruchem ptaka, gdy przychodzi mu ochota przebrać dziobem puch w skrzydle. Jak już wspomniałem, pojawiał się u nas na wsi tylko latem (nie pamiętam, żebyśmy za granicą spotkali się z nim więcej niż dwa, albo trzy razy) i ukazuje mi się teraz przez to gorące polśniewanie szlachetnego kamienia przeszłości - oto przysiadł na stopniu werandy do jeszcze jednej fotografii (jakże lubiano się wtedy fotografować, jak próbowano powstrzymać to, co już umykało!) i siedzi z cieniem lauru na białej flaneli spodni, z rękami złożonymi na rękojeści laski, ze słońcem na wypukłym piegowatym czole, w aureoli zsuniętego aż na tył głowy słomkowego kapelusza.

Jesienią wracał za granicę, do Rzymu, Paryża, Biarritz, Londynu, Nowego Jorku, do swoich posiadłości na południu - włoskiej willi, zamku w Pirenejach koło Pau; słynna w kromkach mego dzieciństwa była jego podróż do Egiptu, skąd wysyłał mi codziennie lakierowane widokówki z siedzącymi rzędem faraonami o ogromnych stopach, z wieczornymi odbiciami sylwetek palm w różowym Nilu, przez które ostro i niestarannie przebijało jego dziwnie brzydkie, kanciaste, dziwaczne, rozkrzyczane - jakieś zupełnie do niego nie pasujące pismo. I znowu w czerwcu na przepięknej północy, kiedy wesoło kwitła mleczna czeremcha nosząca imię szalonego Batiuszkowa i słońce przypiekało po kolejnej ulewie, duże, błękitnoczarne, biało przepasane motyle (wschodni podrodzaj nimfy topolowej) nisko i koliście pływały nad ponętnym błotem drogi, z której je płoszył jego pędzący do nas powóz. Zapowiadając brzmieniem głosu cudowny prezent, ze zmanierowaniem przestępując stopami w białych bucikach na wysokich obcasach, podprowadzał mnie do najbliższej lipki; z gracją zerwawszy listek wyciągnął go ku mnie ze słowami: „*Pour mon neveu, la chose la plus belle au monde - une feuille verte*“. Albo też przywoził mi z Nowego Jorku oprawione w tomy kolorowe serie - śmieszne przygody Buster Browna, zapomnianego teraz chłopca w czerwonym ubranku z dużym wykładanym kołnierzem i czarną kokardą; gdy patrzyło się z bliska, można było dostrzec poszczególne malinowe kropki, z których składał się kolor jego bluzy. Każda przygoda kończyła się dla małego Browna fenomenalnym skórobiciem, przy czym jego matka, dama o talii osy i ciężkiej ręce, chwytała co popadło - pantofel, szczotkę do włosów, łamiący się od uderzeń parasol, a nawet pałkę usłużnego policjanta. - i cóż za tumany kurzu wybijała z ofiary przerzuconej na płask przez swoje kolana! Ponieważ nikt mi w życiu nie dał klapsa męki te wydawały mi się dziwaczną, egzotyczną, ale dość monotonną torturą - o wiele mniej interesującą niż, powiedzmy, zakopywanie po samą szyję wroga o wymownych oczach w piasku kaktusowej pustym, jak to ukazywała tytułowa akwaforta jednego z londyńskich wydań Mayne Reida.

5

Wasilij Iwanowicz prowadził bezczynne i bezładne życie. Jego dyplomatyczne zajęcia, głównie przy naszej ambasadzie w Rzymie, miały charakter dość nieokreślony. Mówił zresztą, że jest mistrzem rozwiązywania szyfrów w pięciu językach. Pewnego razu poddaliśmy go próbie i rzeczywiście bardzo szybko przemienił „15.13 24.11 13.16 9.13.5 5.13 24.11“ w pierwsze słowa znanego monologu Hamleta. W różowym fraku, dosiadając przelatującej przez przeszkody ogromnej gniadej klaczy, uczestniczył w polowaniach na lisa we Włoszech i w Anglii. Okutany w futra próbował pewnego razu przejechać samochodem z Petersburga do Pau, ale ugrzązł w Polsce. W czarnej pelerynie (spieszył się na bal) leciał aeroplanem ze sklejki i drutu i o mało nie zginął, gdy aparat rozbił się o skały biskajskie (ciągle wypytywałem, jak odzyskawszy przytomność zareagował nieszczęsny pilot, który wynajmował maszynę. „Il sanglo-tait“ - powiedział wuj po namyśle). Pisał romanse, melancholijnie szemrzącą muzykę i francuskie wiersze, przy czym obojętnie ignorował wszelkie zasady dotyczące niemego „e“. Był karciarzem i wyjątkowo dobrze blefował w pokerze.

Jego słabostki i dziwactwa drażniły mego pełnego życia i prostolinijnego ojca, który gniewał się bardzo, gdy dowiedział się, że w pewnym zagranicznym domu gry, gdzie szuler ograł młodego G“ niedoświadczonego i niezbyt zamożnego przyjaciela Wasilija Iwanowicza. Wasilij Iwanowicz, który znał się na różnych sztuczkach, zasiadł z szulerem do gry i najspokojniej w świecie szachrował aby poratować przyjaciela. Ponieważ jąkał się przy wymawianiu wargowych spółgłosek, bez wahania zmienił swemu stangretowi imię z Piotra na Lwa i mój ojciec zwymyślał go za pańszczyźniane obyczaje. Po rosyjsku Wasilij Iwanowicz wypowiadał się z ostentacyjną trudnością i wolał rozmawiać dziwaczną mieszaniną francuskiego, włoskiego i angielskiego. Każde zaś przejście na język rosyjski stanowiło rodzaj kpiny, zmierzało do tego, żeby przekręcić jakiś ludowy zwrot, porzekadło czy słówko albo użyć ich niewłaściwie. Pamiętam, jak przy stole, bilansując wszystkie swoje zmartwienia - umęczył go katar sienny, odfrunął jeden z pawi, zginął ulubiony wyżeł - wzdychał i mówił „*Je suis comme une bylinka w polie*!“ z takim wyrazem twarzy, jakby owo przysłowie rzeczywiście mogło istnieć.

Twierdził, że cierpi na nieuleczalną chorobę serca i że podczas ataku ulgę przynosi mu tylko leżenie na wznak na podłodze. Nikt, nawet moja przesadnie troskliwa matka, nie brał tego na serio i kiedy zimą 1916, w wieku zaledwie czterdziestu pięciu lat zmarł rzeczywiście na anginę pectoris - zupełnie sam, w ponurej lecznicy pod Paryżem - z jakim dławiącym uczuciem wspominaliśmy to, co wydawało się czystym dziwactwem, głupią sceną - kiedy, bywało, wchodził z poobiednią kawą na malowanej w peonie tacy nie uprzedzony kredensowy i mój ojciec z niechęcią spoglądał z ukosa na rozpostarte na dywanie ciało szwagra, a potem z ciekawością na rozpoczynający się taniec tacy w rękach służącego, wciąż jeszcze zachowującego spokojny wyraz twarzy.

Przed innymi, bardziej ukrytymi rozterkami, które go nękały, szukał ucieczki - jeśli dobrze rozumiem te dziwne sprawy - w religii: najpierw zdaje się w jednej z pomniejszych sekt, a potem chyba w katolicyzmie. Mniej więcej na pięć lat przed jego śmiercią moja matka i kuzynka ojca Katarzyna Dmitriewna Danzas nie mogły pewnego razu zasnąć w swoim przedziale, tak głośno grzmiały i huczały łacińskie psalmy, zagłuszające dudnienie pociągu - i trochę byty stropione, dowiedziawszy się, że to w sąsiednim przedziale śpiewa przed zaśnięciem Wasilij Iwanowicz. Pomoc zaś była mu, przy jego usposobieniu, wręcz niezbędna. Jego malowniczej neurastenii przystałaby domieszka geniuszu, ale był tylko

światowcem. i dyletantem. W młodych latach wiele wycierpiał od Iwana Wasiljewicza, swego dziwacznego, trudnego, bezlitosnego ojca. Na starych fotografiach był to czcigodny pan z łańcuchem sędziego pokoju, a w życiu niespokojny dziwak o szerokim geście, zapalony do szaleństwa myśliwy, człowiek miewający różne fantazje, utrzymujący własne gimnazjum dla swoich synów, gdzie uczyli najlepsi petersburscy profesorowie, prywatny teatr, w którym grywali Warłamow i Dawydow, galerię obrazów w trzech czwartych wypełnioną wszelkim mrocznym śmieciem. Według późniejszych opowiadań matki, jego gwałtowność zagrażała nieomal życiu syna, a w jego ciemnym gabinecie rozgrywały się ponure sceny. Dwór Rożdiestwieński - kupiony właściwie dla starszego, wcześnie zmarłego syna - zbudowany był podobno na ruinach pałacu, w którym Piotr Pierwszy, dobrze obeznany z metodami odrażającej tyranii, uwięził Aleksieja. Teraz był to czarujący, niezwykły dom. Po upływie prawie czterdziestu lat bez trudu odtwarzam w pamięci zarówno ogólne wrażenie, jak szczegóły: szachownicę marmurowej podłogi w chłodnym i dźwięcznym salonie, płynące z góry światło nieba, białe galeryjki, w jednym rogu bawialni sarkofag, a w drugim organy, wszędzie przenikliwa woń cieplarnianych kwiatów, w gabinecie liliowe zasłonki, przedraiocik z kości słoniowej w kształcie dłoni do drapania pleców - i przynależną już do drugiego rozdziału tej książki, niezapomnianą kolumnadę tylnej fasady, w której romantycznym cieniu skupiły się W roku 1915 najszczęśliwsze godziny mojej szczęśliwej młodości.

Po roku 1914 nie widziałem go więcej. Wyjechał wówczas za granicę po raz ostatni i w dwa lata później umarł tam, zostawiając mi milionową fortunę i swój petersburski majątek Rożdiestwieno z tym biały dworem na zielonym wzgórzu i gęstym parkiem za domem, z jeszcze gęstszym lasem błękitniejącym za polami i z kilkustoma dziesięcinami wspaniałych torfowych bagien, gdzie żyły cudowne odmiany północnych motyli i wszelaka aksakowowsko-turgieniewowsko-tołstojowska zwierzyna. Nie wiem jak jest teraz, ale do drugiej wojny światowej dom, wedle doniesień podróżników, stał wciąż jeszcze na artystyczno-historyczny pokaz dla zagranicznych turystów, przejeżdżających obok mojego wzgórza szosą warszawską, gdzie - w odległości sześćdziesięciu wiorst od Petersburga, za jedną odnogą rzeki Oredż leży wieś Rożdiestwieno, a za drugą - nasza Wyra. Rzekę miejscami powleka brokat rzęsy i lilii wodnych, a dalej, z jej krętym biegiem w obłocznie niebieską wodę wydają się wrastać zupełnie ciemne odbicia świerkowych głuszy na szczytach stromych, czerwonych brzegów, skąd wylatują ze swoich nor jerzyki i płynie zapach czeremchy; jeśli zaś pójść dołem, wzdłuż naszego wysokiego parku, dochodzi się w końcu do stawideł wodnego młyna - i tu, gdy patrzy się sponad poręczy na burzliwie przepływającą pianę, doznaje się uczucia, jakby, stojąc na samej rufie czasu, płynęło się do tyłu, ciągle od tyłu.

6

W tym miejscu amerykańskiej i angielskiej wersji tej książki, ku pouczeniu lekkomyślnego obcokrajowca, który swego czasu, za sprawą mądrych propagandzistów i durniów-poputczyków, przyswoił sobie sowieckie pojecie o naszej rosyjskiej przeszłości (albo po prostu stracił pieniądze w jakimś lokalnym bankowym krachu, i dlatego sądzi, że mnie „rozumie“), pozwoliłem sobie na niewielką dygresję, którą przytaczam tu jedynie w imię integralności tekstu; sens jej wyda się rosyjskiemu czytelnikowi zbyt oczywisty - w każdym bądź razie wolnemu rosyjskiemu czytelnikowi mojego pokolenia.

„Mój zadawniony rozbrat z sowiecką dyktaturą nie jest w żaden sposób związany ze sprawami majątkowymi. Gardzę zacietrzewionym w swym zacofaniu Rosjaninem, nienawidzącym komunistów dlatego, że ukradli mu, jak powiada, pieniążki i dziesięciny. Moja tęsknota za ojczyzną jest tylko swoistą hipertrofią tęsknoty do utraconego dzieciństwa.“

I jeszcze jedno: zawarowuję sobie prawo tęsknoty do ekologicznej niszy - prawo, by w górach mojej Ameryki wzdychać do północnej Rosji.

7

Miałem siedemnaście lat, druga miłość i pierwsze wiersze zajmowały mi cały czas wolny, o materialnej stronie życia nie myślałem w ogóle - zresztą wobec ogólnej zamożności rodziny żaden spadek nie mógł zyskać nadzwyczajnego znaczenia; teraz jednak na obczyźnie ze zdziwieniem, a nawet pewną odrazą myślę, że przez ten krótki rok władania owym skazanym na przepadle dziedzictwem zbyt pochłonięty byłem powszechnymi doświadczeniami młodości - zatracającej już swój pierwotny blask - aby czerpać jakieś przyjemności z materialnego władania domem i ostępami, którymi i tak władało moje serce, albo doznawać przykrości, kiedy przewrót bolszewicki w jedną noc unicestwił to materialne władanie. Jest mi to wstrętne - jakbym okazał się niewdzięczny wobec wuja Wasi, spoglądał na niego, dziwaka, z pobłażliwym uśmiechem, z jakim spoglądali nawet ci, co go kochali. A z prawdziwą już przykrością wspominam, jak nasz szwajcarski guwerner, przysadzisty i dobroduszny zazwyczaj Noisier, ział jadowitym sarkazmem, analizując pewnego razu francuskie wiersze i muzykę wuja - Octobre - jego najlepszy romans. Ułożył ten może banalny, ale śpiewny utwór pewnej jesieni, w swoim zamku koło Pau w Dolnych Pirenejach, nieopodal, o ile pamiętam, majątku Rostanda, obok którego przejeżdżaliśmy po drodze z Biarritz. Majątek nazywał się Perpinia, zapisał go jakiemuś Włochowi. Spoglądając z tarasu na winnice, żółciejące w dole na stokach, na liliowiejące w oddali góry, udręczony astmą, arytmią serca, dreszczami, jakimś proustowskim obnażeniem wszystkich zmysłów (z twarzy podobny był trochę do Prousta) - biedny Ruka, jak nazywali go nierosyjscy przyjaciele - złożył bolesny hołd barwom jesieni - „*chapelle ardente de feuilles aux tons violents*“, jak mu się wyśpiewało, a jedynym człowiekiem, który zapamiętał romans od początku do końca był mój brat, mało pociągający wówczas niezgrabiasz w okularach, którego Wasilij Iwanowicz ledwie dostrzegał i który, ponieważ umarł, nie może teraz pomóc mi w odtworzeniu zapomnianych przeze mnie słów.

L’air transparent fait monter de la plaine...

- śpiewał wysokim tenorem Wasilij Iwanowicz, gdy przyjeżdżał na śniadanie i przysiadał na chwilę przy białym fortepianie w połowie odbijającym się w pakowym parkiecie bawialni w Wyrze, a jeśli ja ze swoją siatką na motyle z zielonego tiulu wracałem właśnie do domu przez park (wzdłuż którego po łamanej linii młodego zagajnika przemknął przed chwilą asyryjski profil wujowego stangreta - aksamitne popiersie, malinowe rękawy - i wujowski słomkowy kapelusz), okropnie żałośliwe i rozlewne dźwięki:

un vol de tourterelles strie le ciel tendre,
les chrysanthèmes se parent pour la Toussaint...

dobiegały mnie w splątanych cieniach dyszącej w takt alei, a na jej końcu odsłaniał mi się czerwony piasek ogrodowego gazonu z narożnikiem zielonego dworu, skąd z bocznego okna, jak z ramy, wypływała ta muzyka i ten śpiew.

8

Zaklinać i ożywiać przeszłość nauczyłem się, Bóg raczy wiedzieć, w jak wczesnych latach - jeszcze wtedy, kiedy w gruncie rzeczy żadna przeszłość nie istniała. Ta żarliwa energia pamięci nie pozbawiona jest, jak sądzę, podkładu patologicznego - jakoś za wyraziście odtwarzają mi się w rozsłoneczaionym mózgu różnokolorowe szybki werandy i gong, wzywający na śniadanie, i to, że przechodząc zawsze dotyka się sprężynującego okrągłego miejsca w błękitnym suknie karcianego stolika, które pod naciskiem dużego palca z przyjemnym zachłyśnięciem błyskawicznie wypycha ukrytą szufladkę, gdzie leżą czerwone i zielone żetoniki i jakiś kluczyk, odłączony na wieki wieków od zapomnianego przez wszystkich, być może już wówczas nie istniejącego zamka. Sądzę ponadto, że moja zdolność zatrzymywania przy sobie przeszłości jest cechą dziedziczną. Mieli ją Rukawisznikowie i Nabokowowie. Było pewne miejsce w lesie na jednej ze starych ścieżek do Batowa i był tam mostek przez strumień, i była na skraju nadpróchniala belka, był na tej belce punkcik, gdzie piątego, według starego stylu, sierpnia 1883 roku usiadła nagle, rozłożyła jedwabiście ogniste skrzydła z pawimi oczkami i została schwytana przez zręcznego Niemca, guwernera owych poprzednich nabokowowskich chłopców, wyjątkowo rzadka w tych stronach rusałka. Mój ojciec jakoś się nawet gorączkował, kiedy obaj zatrzymywaliśmy się na tym mostku, przypominał i odgrywał od początku całą scenę, jak to motyl siedział składając skrzydła, jak ani on, ani bracia nie decydowali się na uderzenie siatką, i jak w napiętej ciszy Niemiec omackiem wyjmował mu siatkę z rąk nie spuszczając oczu ze szlachetnego owada.

W adriatyckiej willi, którą w lecie 1904 roku dzieliliśmy z Petersonami (dotychczas na widokówkach z Abbacji rozpoznaję ją po dużej białej wieży), oddając się podczas sjesty marzeniom przy zapuszczonych roletach w moim dziecinnym łóżeczku, przewracałem się czasami na brzuch i, pięcioletni wygnaniec, starannie, z czułością, beznadziejnie, z artystyczną dokładnością szczegółów, (trudnych do pogodzenia z bezsensownie małą liczbą świadomie przeżytych lat) palcem kreśliłem na poduszce drogę wzdłuż wysokiego parku, kałużę z szypułkami i martwym chrabąszczem, zielone słupki i dach ganku, wszystkie jego stopnie i zawsze, dlaczegoś, błyszczącą miedzy koleinami drogocenną podkowę końską, podobną do tej, jaką udało mi się raz znaleźć - a serce mi przy tym pękało, tak samo jak pęka dzisiaj. Niech no dzisiejsi błaznujący psycholodzy wyjaśnią mi tę przejmującą repetycję nostalgii!

Pamiętam jeszcze i to. Mam osiem lat. Wasilij Iwanowicz podnosi z kanapki w naszym pokoju lekcyjnym książkę z serii *Bibliothèque Rose*. Nagle jęknąwszy z uszczęśliwienia odnajduję w niej swój ulubiony z dzieciństwa fragment: *Sophie n'était pas jolie...* w czterdzieści lat później jęknąłem zupełnie tak samo, kiedy w cudzym dziecinnym pokoju trafiłem przypadkiem na tę właśnie książkę o chłopcach i dziewczynkach, którzy sto lat temu żyli we Francji, tym stylizowanym *vie de château*, na które Mme de Ségur née Rastopchine solennie przekładała własne dzieciństwo w Rosji, i stąd właśnie, wbrew pospolitemu sentymentalizmowi wszystkich tych „Les Malheurs de Sophie", „Les Petites Filles Modèles", „Les Vacances", jej delikatny związek z życiem rosyjskiego dworu. Moja sytuacja jednak jest bardziej złożona niż była sytuacja wuja, kiedy bowiem na nowo czytam jak Sophie ostrzygła sobie brwi, albo jak jej matka, na dołączonym obrazku wyobrażona w niezwykłej krynolinie,

niesłychanie apetycznymi manipulacjami przywróciła lalce wzrok, a potem w drodze do Ameryki zginęła z krzykiem na tonącym okręcie, zaś kuzynek Paul pod bezludną palmą wyssał z nogi kapitana jad żmii - kiedy znowu czytam wszystkie te bzdury, nie tylko przeżywam dojmująco upojenie, jakiego doznawał wuj, ale osadza się w mym sercu jeszcze wspomnienie o tym, jak on to przeżywał. Widzę nasz wiejski pokój lekcyjny, turkusowe róże tapet, róg kaflowego pieca, otwarte okno: odbija się ono wraz z fragmentem zewnętrznej rynny w owalnym lustrze nad otomaną, gdzie siedział wuj Wasia, nieomal szlochając nad zniszczoną różową książką. Poczucie zupełnej beztroski, błogostan gęstego letniego ciepła zatapia pamięć i ustanawia rzeczywistość tak olśniewającą, że w porównaniu z nią parkerowskie pióro w mojej dłoni i sama dłoń o połyskującej piegowato już skórze wydają mi się dość topornym falsyfikatem. Lustro nasycone jest lipcowym dniem. Cienie liści migocą na białym piecu z niebieskimi młynami. Trzmiel, który wleciał tu jak piłeczka na gumce, uderza o wszystkie ozdobione gipsaturą rogi pokoju i pomyślnie odskakuje do okna. Wszystko jest takie, jak być powinno, nic się nigdy nie zmieni, nikt nigdy nie umrze.

Rozdział czwarty

1

W obyczaju takich rodzin jak nasza leżała zadawniona skłonność do wszystkiego, co angielskie: słowo to, nawiasem mówiąc, wymawiało się u nas z klasycznym akcentem (na pierwszej sylabie), zaś babcia Nabokowa mówiła już całkiem po staremu: *aglicki*. Londyńskie dziegciowe mydło, w suchej postaci czarne jak smoła, a po zmoczeniu bursztynowe pod światło - było śliskim współuczestnikiem corannych ablucji, do których służyły rozkładane gumowe wanny - również z Anglii. Służący mydlił całego chłopca od uszu po pięty przy pomocy specjalnej oranżowoczerwonej gąbki, a potem kilka razy oblewał ciepłą wodą z dużego białego dzbanka, wokół którego owijał się czarny fajansowy pęd winorośli. Ten mój gumowy tub wziąłem ze sobą na emigrację i właśnie on, już połatany, był dla mnie prawdziwym ratunkiem w niezliczonych europejskich pensjonatach: nie ma na świecie nic brudniejszego niż francuska wspólna łazienka, wyjąwszy łazienkę niemiecką.

Podczas breakfastu jaskrawy syrop z patoki, golden syrup, namotywało się lśniącymi pierścieniami na łyżkę i stamtąd wąż spełzał na czarny rosyjski chleb posmarowany wiejskim masłem. Zęby czyściliśmy angielską pastą, która wychodziła z tubki w postaci płaskiej taśmy. Nieskończony szereg wygodnych, solidnych wyrobów - wszelkie poręczne przedmioty do rozmaitych gier, a także wiktuały płynęły do nas ze Sklepu Angielskiego na Newskim. Były tu keksy, wonne sole, karty pokerowe, kakao, sportowe marynarki z flaneli w kolorowe pasy, wspaniałe skrzypiące skórzane piłki futbolowe i białe jak talk, pokryte dziewiczym puszkiem piłki tenisowe w opakowaniu godnym najrzadszych owoców. Rajski ogród wyobrażałem sobie jako angielską kolonię.

Wcześniej nauczyłem się czytać po angielsku niż po rosyjsku; kiedy rozmawiam po rosyjsku pewien rodzaj nieprzyjemnej dla petersburskiego ucha pogardliwej wymowy nieprzyjemnej też dla mnie, kiedy słuchałem własnego głosu z płyty - zachowałem po dziś dzień (pamiętam, że przy pierwszym spotkaniu, chyba w 1945 roku w Ameryce, biolog Dobżanskij naiwnie mnie strofował: „Ależ zapomniał pan własnego języka“). Pierwszymi moimi angielskimi przyjaciółmi byli nieskomplikowani bohaterowie gramatyki - brązowe książki z sińcem kleksa na całą okładkę: Ben, Dan, Sam i Ned. Wiele było dziwacznego zamieszania z ustaleniem ich tożsamości i miejsca pobytu „Who is Ben?“, „He is Dan“, „Sam is in bed“, „Is Ned in bed?“ i temu podobne. Autorowi przeszkadzała na początku konieczność trzymania się jednosylabowych słów, wiec pojęcie o tych osobach wyrobiłem sobie chwiejne i suche; potem jednak przyszła z pomocą wyobraźnią i zobaczyłem ich: nicponie o tępych twarzach, o płaskich stopach, skryci, chorobliwie dumni ze swoich nielicznych narzędzi (Ben has an axe), leniwym, powolnym krokiem przechodzą powoli wzdłuż najdalej zepchniętego do tyłu scenicznego tła mojej pamięci; i oto przed moim dalekowzrocznym spojrzeniem wyrastają litery gramatyki, niczym oszalały alfabet na tablicy u optyka.

Pokój lekcyjny porysowany jest łamanymi promieniami słońca. Brat pokornie wysłuchuje reprymendy Angielki. W zapotniałym szklanym słoju pod gazą kilka kolorowych gąsiennic pasie się metodycznie na liściach pokrzyw, z rzadka wydzielając zabawne zielone cylinderki odchodów. Kraciasta cerata na okrągłym stole pachnie klejem. Atrament pachnie suszonymi śliwkami. Wiktoria Arturowna pachnie Wiktorią Arutrowną. Krwawoczerwony spirytus w słupku dużego zewnętrznego termometru z entuzjazmem wskazuje 24 stopnie Reamura w cieniu. Przez okno widać robotnice w chustkach pielące na klęczkach, w kucki albo na czworakach ogrodowe ścieżki; do kopania państwowych kanałów jest“ jeszcze daleko. Wilgi w zieleni wydają swój złoty, pospieszny, czterotonowy krzyk.

Oto przyszedł Ned, niezbyt udatnie odgrywając młodego ogrodnika. Na dalszych stronach słowa wydłużały się, a pod koniec gramatyki w nagrodę dla małego czytelnika rozwijało się w dorosłych zdaniach prawdziwe, sensowne opowiadanko. Słodko przejmowała mnie myśl, że i ja zdołam dojść kiedyś do tej oszałamiającej doskonałości. Uroki te nie zwietrzały i kiedy teraz natrafiam na podręcznik, przede wszystkim zaglądam na koniec - w przyszłość pilnego ucznia.

2

Letni zmierzch (sumierki - cóż za zamyślone i wypełnione bzami słowo!). Czas akcji: znikający punkt w pierwszym dziesięcioleciu naszego wieku. Miejsce: pięćdziesiąty dziewiąty stopień szerokości północnej od równika, i setny długości wschodniej, licząc od czubka mojego pióra. Czerwcowy dzień potrzebował całej wieczności, żeby zagasnąć: niebo,

wysokie kwiaty, nieruchome wody - wszystko to jakby zawisało w nieskończonym zamieraniu wieczoru, które nie kończyło się, ale wydłużało w tęsknym ryku krowy na dalekiej łące albo w pełnym niezwykłego smutku krzyku ptaka za doliną rzeki, płynącym z szerokiego, mgliście mszystego bagna tak niedosiężnego i tajemniczego, że jeszcze dzieci Rukawisznikowów nazwały go Ameryką.

Brata ułożono już do snu; matka w bawialni czyta mi przed snem angielską bajkę. Skradając się do strasznego miejsca, gdzie Tristana czeka za wzgórzem niezwykłe, może śmiertelne niebezpieczeństwo, czyta wolniej, znacząco oddzielając słowa i, zanim przewróci stronę, tajemniczo kładzie na niej białą drobną dłoń z pierścieniem ozdobionym diamentem i różowym rubinem; w ich przejrzystych szlifach, gdybym się wtedy uważniej w nie wpatrywał, mógłbym zobaczyć szereg pokoi, ludzi, światła, deszcz, plac - całą erę emigracyjnego życia, które miała przeżyć za pieniądze uzyskane ze sprzedaży tego pierścionka.

Były książki o rycerzach, którym w grotach młode damy obmywały okropne rany, zdumiewająco niepodatne na infekcję. Ze skały, na średniowiecznym wietrze młodzieniec w trykocie i dziewica o falujących włosach patrzyli w dal na okrągłe Wyspy Szczęśliwe. Był tam jeden budzący we mnie lęk obrazek przedstawiający jakieś lustro, od którego tak szybko się zawsze odwracałem, że go teraz dobrze nie pamiętam! Były rozmyślnie wzruszające, wzniosłe alegoryczne opowieści, skrojone przez mało znane Angielki dla swoich siostrzeńców i siostrzenic. Szczególnie lubiłem, kiedy tekst prozą lub wierszem tylko komentował obrazki. Żywo pamiętam na przykład przygody amerykańskiego Golliwogga. Była to duża lalka płci męskiej w malinowych pantalonach i niebieskim fraku, o czerwonej twarzy, szerokich wargach z czerwonej bai i z dwoma bieliźnianymi guzikami zamiast oczu. Jego skromny harem stanowiło pięć drewnianych stawonogich lalek. Dwie starsze porobiły sobie sukienki z amerykańskiej flagi: Peggy wzięła amerykańskie pasy, a Sara Jane wdzięczne gwiazdy, i tu poczułem romantyczne ukłucie, bowiem bladoniebieski materiał kobieco obciskał jej neutralną kibić. Dwie inne lalki, bliźniaczki, i piąta, maleńka Midget pozostały całkiem nagie, a więc bez płci.

W noc wigilijną obudziły się zabawki i tak dalej. Sarę Jane przestraszył i chyba uderzył jakiś kudłaty zuchwalec, który wzbił się na sprężynach ze swego wymalowanego pudełka i to było nieprzyjemne (czasem na zabawie w obcym domu jakaś dziewczynka, która mi się podobała przydawszy sobie palec albo przewrócona przemieniała się nagle w strasznego, purpurowego potwora: wrzeszczące usta, zmarszczki). Potem spotkały przygnębionego człowieczka ze Wschodu, któremu w obcej Ameryce było smutno. Wyszedłszy na ulicę nasi przyjaciele bawili się w śnieżki. W innych seriach odbywali rowerową wyprawę do kraju beżowych ludożerców, albo przejażdżkę długim jakby kij połknął czerwonym automobilem z tych czasów (około 1906 roku), przy czym Sara Jane przystrojona była w szmaragdową woalkę, którą ostatecznie podbijała moje serce. Pewnego razu Goiliwogg zbudował dla siebie i czterech swoich lalek sterowiec z żółtego jedwabiu, a dla miniaturowej Midget - osobny maleńki balon. Choć podróż grupy Goiliwogga była niezmiernie interesująca, najbardziej poruszało mnie co innego: z namiętną zawiścią spoglądałem na lilipuciego aeronautę, bowiem w śmiertelnej, czarnej przepaści, wśród śnieżnych płatków i gwiazd ten szczęśliwiec płynął zupełnie osobno, zupełnie sam.

3

Widzę potem: pośród domu, wyrastając z długiego podobnego do sali pomieszczenia albo wewnętrznej galerii, bezpośrednio za westybulem, szeroko i łagodnie wznoszą się na piętro żelazne schody; parkietowy podest pierwszego piętra niczym pokład otacza z czterech stron ową lukę, w górze zaś jest szklane sklepienie i bladozielone niebo. Matka prowadzi mnie za rękę ku schodom, a ja zostaję w tyle, usiłuję jechać za nią, szurając i ślizgając się po płytach; ona śmieje się podciąga mnie do balustrady; tu lubiłem przełazić między pierwszym a drugim balaskiem i każdego kolejnego lata ramiona i grzbiet trudniej się mieściły, bardziej bolały, a teraz chyba nawet mój duch by się tamtędy nie przecisnął.

Następnym punktem wieczornego rytuału było wchodzenie po schodach z zamkniętymi oczami: „Step“ (stopień) mówiła matka, powoli prowadząc mnie w górę. „Step, step“ - i w ciemnościach własnej fabrykacji owo podnoszenie i stawianie stóp miało w sobie lunatyczną słodycz. Czar stawał się coraz bardziej niepokojący, nie wiedziałem bowiem, nie chciałem wiedzieć, gdzie kończą się schody. „Step“ mówiła matka takim samym tonem i zwiedziony nim, o jeden raz nadto - wysoko, bardzo wysoko, ażeby się nie potknąć - podnosiłem nogę i za moment zapierało mi dech od widmowej giętkości brakującego stopnia, od niespodziewanej głębi osiągniętego podestu. Aż strach pomyśleć, jak „zinterpretowałby“ ponury, skretyniały freudysta te czułe dziecinne natchnienia.

Ze zdumiewającą systematycznością umiałem odwlekać chwilę położenia się do łóżka. Na górnym podeście, po którego czterech stronach bielały drzwi licznych pokojów, matka przekazywała mnie Wiktorii Arturownie albo Francuzce. W domu było pięć łazienek, a prócz tego mnóstwo komodopodobnych umywalek z pedałami: pamiętam, jak czasem spłakany, wstydząc się zaczerwienionych oczu, odszukiwałem taką staruchę w jej ciemnym kącie i jak po naciśnięciu narożnego pedału ślepa fontanka z kranu delikatnie wymacywała moje opuchnięte powieki i zatkany nos. Klozety, jak wszędzie w Europie, były oddzielone od łazienek, a jeden z nich, na dole, w służbowym skrzydle domu był wręcz zaskakująco wspaniały, ale też ponury ze swoją dębową boazerią, tronowym stopniem i grubym purpurowo-aksamitnym sznurem, gdy się więc pociągnęło za chwast, w głębi z powściągliwą muzykalnością coś bulgotało i szemrało; przez gotyckie okno można było zobaczyć gwiazdę wieczorną i usłyszeć słowiki w starych nieendemicznych topolach za domem; tam właśnie w latach bzów i odurzenia układałem wiersze, a potem przeniosłem całą konstrukcję do swojej powieści, jak przewozi się przez ocean rozebrane zamczysko. Ale we wczesnych latach, o których teraz mowa, miejsce przeznaczone dla mnie było o wiele skromniejsze, na pierwszym piętrze, dość niespodziewanie ulokowane w niszy korytarzyka, między plecionym koszem na bieliznę z pokrywą (jakże wyraźnie przypomniałem sobie jej skrzypienie!), a drzwiami do łazienki przy pokoju dziecinnym. Drzwi te trzymałem na wpół uchylone i bawiłem się nimi spoglądając sennymi oczami na parę unoszącą się z przygotowanej wanny, na malowane okno za nią z dwoma rycerzami składającymi się z kolorowych prostokątów, na przedlinneuszowską ćmę tłukącą się o blachę odblaskową lampy naftowej, której żółte światło poprzez unoszącą się parę bajkowo oświetlało flotyllę w wannie - duży, miły pływający termometr w drewnianej oprawie z nawilgłym sznurem przewleczonym przez rączkę, celuloidowego łabędzia, łódeczkę, a w niej mnie z tristanowską harfą. Pochylając się z wysiedzianej deski przyciskałem czoło do niezwykle wygodnego kantu drzwi i lekko nimi w ten sposób poruszałem. Przenikał mnie na wskroś rytm snu; kapał kran; bębniła ćma; mocno sprzęgając desenie dźwiękowe z wizualnymi wpierałem wzrok w linoleum i w schodkowym wzorze jego labiryntu odnajdywałem tarcze, chorągwie, blankowane mury i hełmy z profilu. Apeluję do wszystkich rodziców i wychowawców: nigdy nie mówcie dziecku „Pospiesz się!“

Ostatni etap mojej podróży następował wtedy, kiedy umyty, wytarty, dopływałem wreszcie do wysepki pościeli. Z werandy, gdzie beze mnie toczyło się ponętne życie, matka przychodziła, żeby powiedzieć mi dobranoc. Klęcząc na poduszce, w której za pół minuty miała zatonąć moja dzwoniąca od senności głowa, bezmyślnie powtarzałem angielską modlitwę dla dzieci, ułożoną trocheicznym wierszem z parzystymi rymami i zachęcającą łagodnego Jezusa, ażeby pobłogosławił małą dziecinę. W połączeniu z prawosławną ikoną u wezgłowia, na której w szparze ciemnej folii widniał smagły święty, wszystko to stanowiło dość poetyczną mieszaninę. Paliła się jedna świeca, przede mną, nad ikoną, na chwiejnej ścianie kołysały się cienie wyplatanego parawanu i to osnuwał się mgłą, to leciał ku mnie akwarelowy widoczek - baśniowy las, zaś przez jego wysmukłą zieleń wiła się tajemnicza ścieżka; chłopiec w bajce przeniósł się na taką malowaną ścieżkę prosto z łóżka i na drewnianym koniku zagłębił się w głusz; drobiąc modlitwę, przysiadając na własnych łydkach, zamierając w przyprószonej, przedsennej. cudownej swojej mgle, przemyśliwałem, jak przedostać się z łóżka na obrazek, do zaczarowanego lasu - dokąd zresztą w swoim czasie zawędrowałem.

Niewspółmiernie długi szereg angielskich bon i guwernantek - jedne bezsilnie załamują ręce, inne uśmiechają się zagadkowo - wita mnie, gdy przechodzę przez rzekę lat, jakbym był przyodzianym w czerń baudelaire'owskim Don Juanem. Byłem trudnym, samowolnym, do cudownej ostateczności rozpieszczonym dzieckiem (rozpieszczajcie dzieci, moi państwo, nie wiecie co je czeka!). Wyobrażam sobie, jak tym nieszczęsnym nauczycielkom bywało czasem ze mną nudno, jakie długie listy pisywały w zaciszu swoich nudnych pokojów. Na amerykańskim uniwersytecie wykładam teraz literaturę europejską trzystu studentom.

Miss Rachel, prostą, tęgą kobietę w fartuchu pamiętam tylko z angielskich biskwitów (w blaszanym, oklejonym niebieskim papierem pudełku, ze smacznymi migdałowymi na wierzchu i przaśno-sucharkowatymi na spodzie), którymi nas - trzyletniego i dwuletniego - karmiła przed snem (słowo „karma", „karmić" wzbudza w moich ustach posmak jakiejś ciepłej, słodkiej papki, to pewnie prastare, rosyjskie, niańczyne przypomnienie). Wspomniałem już o dość surowej miss Clayton, Wiktorii Arturownie: kiedy siadałem czasem rozparty albo garbiłem się, trącała mnie kostkami dłoni w grzbiet, albo też wstrętnie prostowała i wyginała plecy, pokazując w ten sposób, jak należy się trzymać. Była między nimi marzycielska, piękna miss Norcott o oczach niebieskomorskiego koloru, która pewnego razu na plaży w Nicei zgubiła białą glansowaną rękawiczkę, a ja długo jej potem szukałem wśród kolorowych kamyczków, muszelek i idealnie obtoczonych i uszlachetnionych przez morze kawałeczków butelkowego szkła; okazała się lesbijką i odprawiono ją z Abbacji. Była niewysoka, kwaśna, anemiczna i krótkowzroczna miss Hunt, której niedługi pobyt u nas w Wiesbadenie zakończył się w dniu, kiedy obaj - pięcioletni i czteroletni - umknęliśmy spod jej nadzoru i jakimś sposobem wraz z tłumem turystów weszliśmy na statek, który uwiózł nas dość daleko z biegiem Renu, dopóki nie przychwycono nas na jednej z przystani. Potem była znowu Wiktoria Arturowna. Pamiętam jeszcze okropną staruszkę, która czytała mi na głos opowieści Marii Corelli Potężny Atom o tym, co stało się z dobrym chłopcem, z którego źli rodzice chcieli zrobić bezbożnika. Były też inne. Szereg ich sięga za róg i ginie, moja edukacja przechodzi w ręce francuskie i rosyjskie. Nieliczne godziny, które pozostawiono żywiołowi angielskości, poświęcone były lekcjom z mister Burnessem i mister Cummingesem, którzy u nas nie mieszkali, a przychodzili do domu w Petersburgu, gdzie przy ulicy Morskiej (nr 47) mieliśmy piętrowy, licowany granitem dom z barwnym paseczkiem mozaiki nad górnymi oknami. Po rewolucji wprowadziła się tam jakaś duńska agencja, ale czy dom nadal istnieje, nie wiem. Tam się urodziłem - w ostatnim (jeśli liczyć w kierunku do placu, pod prąd numerów) pokoju na pierwszym piętrze - tam, gdzie znajdowała

się skrytka z kosztownościami matki. W listopadzie 1917 roku odźwierny Ustin osobiście poprowadził ku niej przez wszystkie pokoje zbuntowany lud.

5

Burness był rosłym, jasnookim Szkotem o prostych słomianych włosach i twarzy barwy surowej szynki. Rankami wykładał w jakiejś szkole, a na resztę czasu brał więcej prywatnych lekcji, niż dzień mógł ich pomieścić. Przejeżdżając z jednego krańca miasta na drugi uzależniony był całkowicie od nieszczęsnych, wlokących się stępa dorożek i dobrze, jeśli na pierwszą lekcję spóźniał się o kwadrans, a na następną dwakroć więcej; na lekcję o czwartej docierał już około wpół do szóstej. Wszystko to utrudniało oczekiwanie; lekcje jego były niezmiernie nudne i zawsze miałem nadzieję, że przynajmniej tym razem nadludzki upór spóźnionego pasażera nie przemoże szarego muru gęstniejącej przed nim śnieżnej zamieci. Było to jedynie owo stosowne w porze lat ośmiu uczucie, którego odrodzenia w dojrzałych latach człowiek się niemal nie spodziewa, tak się jednak złożyło, że doznałem czegoś podobnego w ćwierć wieku później, kiedy w obcym, znienawidzonym Berlinie, sam zmuszony do udzielania lekcji angielskiego, siedziałem u siebie i czekałem na pewnego szczególnie upartego i niezdolnego ucznia, który z kamienną nieuchronnością pojawiał się wreszcie (i niezwykle starannie składał na krześle w rodzaj pakunku solidnie wywatowany płaszcz) pomimo wszelkich barykad, jakie w myśli budowałem w poprzek jego długiej i żmudnej drogi.

Sama ciemność zimowego zmierzchu zasnuwającego ulicę wydawała mi się produktem ubocznym owych wysiłków, które czynił mister Burness, ażeby do nas dotrzeć. Przychodził kamerdyner, głośno zapalał elektryczne światło, bezszelestnie zapuszczał niebieskie rolety, z pobrzękiem kółek zaciągał barwne zasłony i odchodził. Wyraźne tykanie solennego zegara z mosiężnym wahadłem w naszym pokoju lekcyjnym nabierało stopniowo nużącej intonacji. Krótkie spodenki uwierały w pachwinie, a czarne prążkowane pończochy tarły pod kolanami i przyłączała się do tego mała potrzeba, której leniłem się uczynić zadość. Powinienem był - jak wyrażała się niania moich sióstr, naśladując ich Angielkę w kwestiach technicznych - pójść na „nabawan“ (number one) w odróżnieniu od bardziej gruntownego „nabatu“ (number two) - niechże wysztywniony rosyjski czytelnik nie wydziwia na nadmiar w tym rozdziale szczegółów higienicznych: bez nich nie ma dzieciństwa. Cała godzina upływała na mdłej nudzie - Burnessa wciąż nie było. Brat odchodził do pokoju *Mademoiselle*, a ona czytała mu tam Generała Durakina, którego już znałem. Opuszczałem górne „dziecinne“ piętro, leniwie obejmowałem lakierowaną balustradę i w mętnym transie, z na wpół otwartymi ustami ześlizgiwałem się w dół po rozgrzewającej się poręczy schodów na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się apartamenty rodziców (ciekawe, czy uchwyci się tego freudysta o przegniłej mózgownicy).

O tej porze nie było ich zazwyczaj w domu - matka wiele bywała w świecie, ojciec był w redakcji albo na posiedzeniu i w zmroczniałym znieruchomieniu jego gabinetu moje młode uczucia podlegały - nie wiem jak to określić - teleologicznemu, „uwarunkowanemu przez cel“ oddziaływaniu, jakby zgromadzone w półmroku znajome przedmioty usiłowały wytworzyć ten określony obraz, który teraz mam wyryty w mózgu; owego niedostrzegalnego oddziaływania rzeczy doznawałem często w chwilach, kiedy mój wolny czas był pusty i nieokreślony. Zegar na stole patrzył na mnie wszystkimi swymi fosforyzującymi oczyma. Tu i ówdzie, blikiem na brązie, bielmem na hebanie, lśnieniem na szkle fotografii, połyskiem na płótnie obrazów odbijał się w ciemności przypadkowy promień, przenikający z ulicy, gdzie

płonęły już księżycowe globusy gazu. Po suficie przesuwały się cienie - jakby cienie samej zamieci. Suche stuknięcie o marmur stolika, wywołane upadkiem płatka podstarzałej chryzantemy rozpalało na mgnienie nerwy.

Przy buduarze matki był wykusz, tak zwany świetlik, skąd widać było ulicę Morską aż do placu Maryjskiego. Przyciskając wargi do delikatnej, wzorzystej firanki napawam się powoli poprzez tiul chłodem szkła. Zaledwie w dziesięć lat później, w początkowych dniach rewolucji, z tego właśnie wykuszu obserwowałem uliczną strzelaninę i po raz pierwszy zobaczyłem zabitego człowieka: ludzie go nieśli, zwisała mu noga, ktoś żywy usiłował ściągnąć z tej nogi but i tego kogoś gniewnie odpędzano; teraz jednak nic tam nie było do oglądania oprócz przygłuszonej ulicy, fiołkowociemnej mimo linii zwisających nad nią jasno świecących księżyców; wokół najbliższego przepływały śnieżynki, wirujące prawie niedostrzegalnie pełnym wdzięku, jakby z rozmysłu spowolnionym ruchem, żeby pokazać, jak się to robi i jakie to wszystko proste. Z drugiego okna wykuszu zagapiłem się na obfitsze spadanie oświetlonego śniegu i wtedy mój szklany występ zaczynał unosić się jak balon. Powozy przejeżdżały z rzadka; przechodziłem do trzeciego okna wykuszu i oto dorożkarskie sanki zatrzymywały się tuż pode mną i przemykała nieprzyzwoita, lisia czapka Burnessa.

Uprzedzając jego nadejście, pospiesznie wracałem do pokoju lekcyjnego i już stamtąd słyszałem, jak przez długi korytarz przybliżają się energiczne kroki doświadczonego piechura. Choćby na dworze był największy mróz całe czoło perliło mu się potem. Lekcja polegała na tym, że przez pierwszy kwadrans w milczeniu poprawiał ćwiczenia zadane poprzednim razem, drugi kwadrans przeznaczał na dyktando, poprawiał je, a następnie gorączkowo porównawszy swój kieszonkowy zegarek ze ściennym zaczynał pisać szybkim, okrągłym pismem, naciskając ze straszliwą energią na bryzgające pióro, kolejne zadanie. Tuż przed odejściem wypraszałem u niego ulubioną torturę. Trzymając w swojej wielkiej jak szynka garści moją niedużą rękę, wypowiadał limeryk o *lady from Russia*, która krzyczała, *screamed*, kiedy ją ściskano, *crushed her*, i cały urok był w tym, że powtarzając słowo „screamed“ Burness coraz to mocniej ściskał mi rękę, tak, że nigdy nie wytrzymywałem limeryka do końca:

There was a young lady from Russia
Who (squeeze)[4] *whenever you'd crush her.*
She (squeeze) and she (squezze) ...

Cichy, przygarbiony, brodaty, o staroświeckich manierach mister Cummings, który zamiast demisezonowego paltota nosił brunatnozielonkawą lodenową pelerynę, był kiedyś domowym nauczycielem rysunków mojej matki i wydawał mi się osiemdziesięcioletnim starcem, choć nie miał przecież nawet czterdziestu pięciu lat, kiedy - w okresie 1907-1908 - przychodził, żeby udzielać mi lekcji perspektywy (niedbałym gestem skręcając drobinki startej gutaperki i niezwykle elegancko trzymając ołówek, który czarodziejskimi kreskami w jeden nieskończenie odległy punkt ściągał rozległości cudownej sali, nie wiedzieć czemu pozbawionej mebli). Do Rosji trafił, zdaje się, jako zagraniczny korespondent-ilustrator londyńskiego pisma „Graphic“. Jego życie osobiste było podobno znaczone nieszczęściami. Smutek i łagodność osłaniały ubóstwo jego talentu. Jego małe akwarelki - polne widoczki, wieczór nad rzeką i temu podobne, nabyte przez członków naszej rodziny i domowników wegetowały po kątach, wypierane coraz to dalej dopóty, dopóki nie przesłoniła ich całkowicie zimna grupka kopenhaskich zwierzątek albo świeżo oprawione fotografie.

[4] *Squeeze* - uścisk

Gdy już nauczyłem się cieniować boki graniastostupa i ścierać gumką tak, by papier, chrzęszcząc, nie przemieniał się w harmonię, sympatyczny starzec zadawalał się tym, że po prostu malował przy mnie swoje rajsko kolorowe widoczki. Później, między dziesiątym a piętnastym rokiem życia, udzielali mi lekcji inni malarze: najpierw znany Jaremicz, który uczył mnie jak najodważniej i najswobodniej „szerokimi pociągnięciami pędzla" odtwarzać w kolorach jakieś figurki, przez niego na chybcika ulepione z plasteliny; następnie słynny Dobużyński, który uczył mnie znajdować wzajemne odniesienia między cienkimi gałązkami nagiego drzewa i wyprowadzać z tych odniesień bogaty, pełen znaczenia wzór; budził on nie tylko moją wdzięczność w latach dojrzałych, kiedy musiałem szczegółowo odrysować jakąś jeszcze przez nikogo nie oglądaną strukturę w narządach motyla, ale wpoił mi też pewne zasady równowagi i harmonii, które być może przydały mi się w mojej literackiej pisaninie. Czysto emocjonalnie zaś, w sensie tak bliskiej dzieciom wesołości kolorów, zachowałem starego Cummingsa w poczesnym kącie pamięci. Umiał to wszystko robić jeszcze lepiej niż moja matka; z przedziwną zręcznością nawijał kolejno na wilgotny czarny pędzelek kilka kolorów, czyniąc to przy akompaniamencie podzwaniania białych, emaliowanych miseczek, w których różne krążki, na przykład czerwony i żółty, miały od częstego użycia głębokie wklęsłości. Pędzelek, nabrawszy różnobarwnego miodu, przestawał polatywać i kłuć powietrze, ale dwoma czy trzema soczystymi maźnięciami nasycał brystol równą warstwą oranżowego nieba przez które, kiedy było jeszcze trochę wilgotne, przeciągał długi, rekinowaty obłok fioletowej czerni: „And that's all, dearie - i to wszystko, kochanie, nie ma w tym żadnej filozofii".

Raz, niestety, poprosiłem, ażeby narysował mi międzynarodowy express. Przez jego kanciaste ramię obserwowałem ruchy zręcznego ołówka, który wyprowadzał wachlarzowaty pług odśnieżny albo spychacz kolejowy i przednie, zbyt ozdobne latarnie takiego parowozu, który mógł chyba zostać zakupiony dla Transsyberyjskiej Kolei Żelaznej po tym, gdy w latach sześćdziesiątych przemierzył Amerykę przez stan Utah. Za tym parowozem widniało pięć wagonów, które swoją prostotą i zgrzebnością bardzo mnie rozczarowały. Uporawszy się z nimi wrócił do lokomotywy, starannie wycieniował obfity dym buchający ze zbyt dużego komina, przechylił na bok głowę i przyjrzawszy się z zadowoleniem swemu dziełu podał mi je, mile uśmiechnięty. Próbowałem udawać bardzo zadowolonego. Zapomniał o tenderze.

W ćwierć wieku później dowiedziałem się dwóch rzeczy: nieboszczyk Burness, który prócz dyktanda i głupawego limeryku wydawał się nic nie umieć, był bardzo cenionym przez edynburskich znawców tłumaczem rosyjskich wierszy, tych wierszy, które już w latach chłopięcych stały się moją świętością, moim życiem i szaleństwem, i że mój łagodny Cummings, któremu szczodrze przydzielałem na rówieśników najbardziej sędziwych Rukawisznikowów i zgrzybiałego służącego Kazimierza z bakami (tego, który potrafił z upodobaniem odgryzać ogony nowonarodzonym szczeniętom foksterierów), ożenił się szczęśliwie *dans la force de l'âge*, czyli w moim obecnym wieku, z młodą Estonką w tym samym mniej więcej czasie, gdy ja się ożeniłem (w 1925 roku). Wieści te dziwnie mną wstrząsnęły, jak gdyby życie dokonało zamachu na moje prawa twócy, na moją pieczęć i podpis, przedłużając swój kręty szlak poza tę moją osobistą granicę, którą Mnemosyne nakreśliła z takim wdziękiem i tak oszczędnymi środkami.

Rozdział piąty

1

W zirnnym pokoju na rękach beletrysty umiera Mnemosyne. Spostrzegłem wieloktotnie, ze wystarczy, bym fikcyjnemu bohaterowi podarował jakiś żywy drobiazg dzieciństwa, gdy zaczyna on szarzeć i zacierać się w pamięci. Całe domy udatnie przeniesione do opowieści rozpadają się w duszy tak bezgłośnie, jak podczas eksplozji w niemym kinie. Tak właśnie winkirustowana w początek *Obrony Łużyna* postać mojej francuskiej guwernantki ginie dla mnie w obcym, narzuconym przez autora świecie. Oto próba uratowania tego, co pozostało jeszcze z tej postaci.

Miałem sześć lat, brat miał pięć, gdy w 1905 roku przyjechała do nas Mademoiselle. Wydała mi się olbrzymia i rzeczywiście była bardzo tęga. Widzę jej wspaniałą koafiurę z ukrywaną siwizną w ciemnych włosach, trzy - tylko trzy, ale za to jakie! - zmarszczki na surowym czole, gęste męskie brwi nad szarymi, barwy jej stalowego zegareczka, oczyma za szkłami pince-nez w czarnej oprawie; widzę jej grube nozdrza, zaczątek wąsów i równomierną czerwień dużej twarzy, gęstniejącą pod wpływem gniewu do purpury w okolicach trzeciego i najobszerniejszego z jej podbródków, który tak majestatycznie spoczywał wprost na wysokim stoku jej suto zmarszczonej bluzki. Oto szykując się, żeby nam coś przeczytać, przysuwa sobie szarpnięciami werandowy fotel niepostrzeżenie wypróbowując jego wytrzymałość i przystępując do aktu sadowienia się; pod dolną szczęką porusza się galareta, ostrożnie opuszcza się potworny zad z trzema kościanymi guzikami z boku i na koniec Mademoiselle powierza cały swój rozchwiany masyw wiklinowemu siedzeniu, które ze strachu zaczyna skrzypieć i trzeszczeć.

Zima, pośród której do nas przyjechała, była naszą jedyną zimą spędzoną na wsi i wszystko było nowe i wesołe - i walonki, i śniegowce, i gigantyczne niebieskie sople zwisające z dachu czerwonego spichrza, i zapach mrozu i smoły, i dudnienie pieców w pokojach, gdzie wśród różnych miłych zajęć umierało spokojnie burzliwe władztwo miss Robinson. Był to jak wiadomo rok rewolucji, przynosił bunty, strajki w miastach i ojciec słusznie uznał, że rodzinie spokojniej będzie w Wyrze. W okolicznych wsiach byli, co prawda, jak wszędzie, i chuligani, i pijacy - w następnym roku tak się nawet zdarzyło, że zimowa łobuzeria włamała się do zamkniętego domu i wykradła z kiotów[5] różne drobiazgi - na ogół jednak stosunki z miejscowymi chłopami byty idylliczne: mój ojciec, podobnie jak każdy bezinteresowny, liberalizujący pan, robił w ramach zarządzonej przez los nierówności bardzo wiele dobrego.

Nie wyjechałem na jej spotkanie do Siwierskiej stacji kolejowej o dziewięć wiorst od nas, teraz jednak wysyłam tam reprezentującego mnie ducha i za jego pośrednictwem widzę wyraźnie, jak wysiada z żółtego wagonu w zmroczniałą głuszę niedużej ośnieżonej stacyjki w głębi hiperborealnej krainy i rozumiem, co przy tym czuje. Jej rosyjski słownik sprowadzał się do jednego krótkiego słowa - tego samego, niczym nie obrosłego, niezbywalnego słowa, które po dziesięciu latach uwiozła z powrotem do rodzinnej Lozanny. To proste stówko „gdzie“ przeistaczało się u niej w „gidie“ i wypełniając się magicznym znaczeniem,

[5] *Kiot* – oszklona dwuskrzydłowa rama lub szafka na ikony

rozbrzmiewając wrzaskiem zagubionego ptaka, nabierało takiej siły pytania i zaklęcia, że zdołało sprostać wszystkim jej potrzebom, „Gidie-e, gidi-e?“ zanosiła się, nie tylko domagając się określenia miejsca, ale wyrażając bezmiar smutku - samotność, lek, ubóstwo, chorobę i błaganie, ażeby odstawiono ją do ziemi obiecanej, gdzie zostanie wreszcie zrozumiana i doceniona.

Bezcielesny przedstawiciel autora podaje jej niewidzialną rękę. Ubrana jest w palto ze sztucznej foki i kapelusz przybrany ptakiem. Po peronie wije się zamieć. Dokąd iść? Drzwi poczekalni z rzadka otwierają się z dygotem i wyciem zestrojonym z zimnem; bucha stamtąd jasna para, niemal równie gęsta jak ta, co wali z komina hałaśliwie dyszącego parowozu. „Et je me tenais là abandonnée de tous, pareille à la Comtesse Karénine“ - uskarżała się później wymownie, choć nie zupełnie ściśle. Oto jednak pojawia się prawdziwy wybawca, nasz stangret Zachar, rosły, poszczerbiony przez ospę, ozdobiony czarnym wąsem, podobny do Piotra Pierwszego, dziwak, miłośnik porzekadeł, ubrany w baranicę z rękawicami zatkniętymi za czerwony pas. Słyszę, jak pod jego walonkami solennie skrzypi śnieg, gdy krząta się koło bagażu „mamzeli“, koło podzwaniającej w ciemności uprzęży i koło własnego nosa, który, kryjąc się za sanie, mocarnie wypróżnia rodzimym systemem zacisku i strząśnięcia. Podróżniczka dręczona ponurymi przeczuciami powoli, trzymając się ciężko pomocnika, sadowi się w rogu wątłych sań. Oto wsunęła pięści do pluszowej mufki, oto Zachar cmoknął, oto zrobiły pierwszy krok napinając mięśnie wronę Żojka i Zinka i oto Mademoiselle cofnęła się całym tułowiem - to szarpnęły sanie, wydzierając się ze świata przedmiotów i cielesności, ażeby popłynąć równo, ledwie dotykając wyzwolonego od tarcia śnieżnego szlaku.

Mimolotnie, dzięki światłu odprowadzającej nas latarni wyolbrzymiony i spotworniały cień - z mufką i podobnym do łabędzia kapeluszu - pędzi tuż za nimi po zaspie, tam, gdzie sanie przejmuje druga, ostatnia latarnia, wyprzedza go następny cień i wszystko znika: podróżniczkę wchłania to, co później, opowiadając o swych przygodach, wzdrygając się nazywała „stepem“. I rzeczywiście, prawdziwa *la jeune Sibérienne*! W nieznajomej mgle przelewające się światła wydają się żółtymi ślepiami (zaraz będziemy przejeżdżać przez ubogą wioszczynę w parowie, przed którą wyraźnie - chyba od 1840 roku - na nadbutwiałej, ale krzepkiej jeszcze desce widnieje napis: 116 dusz, choć nie ma tam pewno i trzydziestu). Biedna cudzoziemka czuje, że „przemarza do szpiku kości“, kiedy bowiem nie trzyma się niezwykle rozsądnych ogólników, wzbija się na skrzydłach najgłupszych hiperbol. Czasami ogląda się, aby się upewnić, że drugie sanie z jej czarnym kufrem i pudłem na kapelusze suną za nią, nie zbliżając się ani nie pozostając w tyle, niczym owe towarzyskie widma statków, które opisali nam polarni żeglarze.

Nie zapominajmy o pełni księżyca. Oto, lustrzany, sunie lekko i szybko, wyłaniając się spoza karakułowych obłoczków tkniętych tęczującą drobną falą. Cudowne świecidło pokrywa glazurą błękitne koleiny drogi, gdzie każda połyskująca gruda śniegu podkreślona jest obrzmiałością cienia.

Jest bardzo pięknie, bardzo bezludnie. Cóż ja tam jednak robię, pośród tej stereoskopowej feerii? Skąd się tu wziąłem? Jak w złym śnie wydłużyły się sanie, pozostawiając na strasznym rosyjskim śniegu mego stojącego sobowtóra w amerykańskim płaszczu na wigoniowym futrze. Sani ani widu, ich dzwonki to tylko, niczym szum muszli, dzwonienie krwi w moich uszach. Do domu - za zbawczy ocean! Sobowtór jednak zwleka. Wszystko jest zacichłe, wszystko zaklęte przez jasny dysk nad rosyjską pustynią mojej przeszłości. Śnieg

jest w dotyku prawdziwy, kiedy się więc pochylam, aby zaczerpnąć go w garść, pół wieku życia mroźnym pyłem przesypuje mi się miedzy palcami.

2

Do bawialni wpływa lampa naftowa na białym, rzeźbionym piedestale. Przybliża się - i oto została opuszczona.

Dłoń Mnemosyne, teraz w nicianej rękawiczce kredensowego Aleksieja nstawia ją, doskonale opatrzoną, z płomieniem jak irys, pośrodku okrągłego stołu. Wieńczy ją różowy abażur z falbanami, ze wszystkich stron ozdobiony wymalowanymi na jedwabiu, na wpół przejrzystymi scenkami przedstawiającymi markiza i markizę uprawiających zimowe gry. Przez otwarte drzwi widać przechodni gabinecik i stamtąd z owalnego lustra nad kanapą z karelskiej brzozy (wszystkim tym wielokrotnie meblowałem dzieciństwo moich bohaterów) wypływa gwałtownie żółty parkiet. Rysujemy przy stole. Na szafce między oknami błyszczy wygięty w kabłąk grzbiet bladopopielatej porcelanowej małpy z bladopopielatym owocem w łapie, niezwykle podobnej do A. Koniego, gdy je jabłko. Kryształy żyrandola podzwaniają od czasu do czasu, pewno dlatego, że na górze ktoś coś przesuwa w przyszłym pokoju Mademoiselle. Stara Robinson, której nie znoszę (wszystko jest jednak lepsze od niewiadomej Francuzki), odłożywszy książkę spogląda na zegarek: napadało dużo śniegu, a w ogóle następczynię czekają różności.

Fioletowa kredka zrobiła się od częstego używania tak krótka, że trudno ją utrzymać. Granatowa wykreśla horyzont dowolnego morza. Niebieska jest okropnie krucha: jej chwiejący się mleczny szpic podparty jest występem drewienka. Zielona spiralnym ruchem stwarza lipę - albo dym z domeczku, gdzie gotuje się szpinak. Żółta jest beznadziejnie złamana. Oranżowa stwarza słońce zachodzące za horyzont morza. Czerwona, maleńka, jest chyba jeszcze krótsza niż fioletowa. Ze wszystkich kredek tylko biała zachowała swą dziewiczą długość, dopóki nie domyśliłem się, że ta albinoska, rzekomo nie pozostawiająca śladów na papierze, jest w istocie idealnym narzędziem, bowiem wodząc nią można wyobrazić sobie niewidzialną odbitkę prawdziwych, dorosłych obrazów, bez ingerencji własnego dziecinnego malowania.

Te kredki, niestety, również rozrtarowałem wyimaginowanym dzieciom. Jakże się wszystko rozmazało, jak zblakło! Nie pamiętam, czy pożyczałem komuś Boksa Pierwszego, ulubieńca klucznicy, który przeżył swą Loulou-Jokastę. Spi na haftowanej poduszce w rogu kozetki. Siwowłosa mordka z jamniczą brodawką koło pyska wetknięta jest pod biodro i od czasu do czasu jego wciąż jeszcze ładnie zaokrągloną klatkę piersiową unosi głębokie westchnienie. Jest tak stary, tak wymoszczony od środka snami o zapachach przeszłości, że nawet się nie poruszył, kiedy sanie z podróżniczką i sanie z jej bagażem podjechały pod dom i ożył nagle ozdobiony żeliwnymi ornamentami dźwięczny westybul. A ja tak Uczyłem, że ona nie dojedzie!

3

Całkiem inny, niespokojny pies, poczciwy protoplasta złej, ale przekupnej rodziny łańcuchowych dogów, spuszczanych tylko nocą, odegrał miłą dla siebie rolę w wydarzeniu, które nastąpiło nieledwie w dwa dni po przybyciu Mademoiselle. Tak się złożyło, że wraz z

bratem Sergiuszem zostaliśmy zdani całkowicie na jej opiekę. Matka nieopatrznie wyjechała na kilka dni do Petersburga - była zaniepokojona wydarzeniami owego roku, a poza tym spodziewała się czwartego dziecka i miała rozstrojone nerwy. Robinson zamiast pomóc Mademoiselle w jako-takim oswojeniu się tutaj, też wyjechała albo została oddziedziczona przez moją trzyletnią siostrę - chłopcy i dziewczęta wychowywali się u nas całkiem osobno, jak za dawnych czasów. Chciałem pokazać, że jesteśmy niezadowoleni i zapropnowałem mojemu zgodliwemu bratu powtórzenie eskapady z Wiesbadenu, kiedy to szurając podeszwami w kolorowych suchych liściach tak zręcznie uciekliśmy na przystani od miss Hunt, a potem zmyślaliśmy Bóg wie co jakimś Amerykanom na reńskim stateczku. Teraz jednak zamiast strojnej jesieni rozpościerała się wokoło śnieżna pustynia i nie pamiętam, jak wyobrażałem, sobie przejście z Wyry do Siwierskiej, gdzie najwidoczniej (co odnajduję, poszperawszy na nowo we własnej pamięci) zamierzałem wsiąść wraz z bratem do petersburskiego pociągu. Było to pod wieczór, właśnie wróciliśmy z naszego pierwszego spaceru w towarzystwie Mademoiselle i wrzeliśmy oburzeniem i nienawiścią. Zmagać się ze słabo jeszcze znanym językiem, a przy tym utracić wszystkie zabawy, do których się przyzwyczailiśmy, z tym, jak wytłumaczyłem bratu, nie możemy się pogodzić. Choć było słonecznie i bezwietrznie, ona kazała nam ponakładać na siebie rzeczy, których nie nosiliśmy nawet podczas burzy śnieżnej - jakieś straszliwe getry i kaptury, krępujące ruchy. Nie pozwoliła nam chodzić po pulchnych, białych okrągłościach, powstałych w miejsce letnich klombów ani podpełzać pod czarodziejskie brzemię świerków i potrząsać nimi. La bonne promenade, którą nam obiecała, sprowadziła się do chodzenia tam i z powrotem po posypanym piaskiem śnieżnym gazonie ogrodu. Gdy wróciliśmy ze spaceru, zostawiliśmy ją, by się wysapate. i zdjęła botki w przedpokoju od frontu, a sami popędziliśmy przez cały dom do przeciwległej werandy, skąd znowu wybiegliśmy na dwór, słusznie wykalkulowawszy, że ona będzie nas długo szukać za szafami i kanapami mało jeszcze znanych sobie pokojów. Wspomniany dog przymierzał się właśnie do najbliższej zaspy, ale jego żółte ślepia dostrzegły co się dzieje - więc skacząc radośnie przyłączył się do nas.

Przeszedłszy we trójkę po na pół wydeptanej ścieżce skręciliśmy wkrótce przez puszysty śnieg ku traktowi i ruszyliśmy okrężną drogą w kierunku tak zwanej Pieszczanki, skąd można było dojść do stacji omijając wieś Rożdiestwieno. Tymczasem słońce zaszło i bardzo szybko zrobiło się całkiem ciemno. Braciszek zaczął się skarżyć, że zmarzł i zmęczył się, a ja pomogłem mu dosiąść doga, jedynego członka wyprawy, który pozostał wesół. Brat w zupełnym milczeniu ciągle spadał ze swego niewygodnego wierzchowca, a światło księżyca jak w strasznej bajce przecinały czarne cienie olbrzymich, przydrożnych drzew. Nagle do pędził nas służący z latarnią, wsadził na sanie i powiózł do domu. Mademoiselle stała na ganku i wykrzykiwała swoje szalone „gdi-ie". Prześlizgnąłem się obok niej. Brat rozpłakał się i uległ. Dog - nawiasem mówiąc wabił się Turek - wrócił do swoich przerwanych badań nad wygodnymi i pouczającymi zaspami.

4

W dzieciństwie lepiej widzimy ręce ludzi, one bowiem, te znajome, krzątają się na poziomie naszych oczu; ręce Mademoiselle były mi nieprzyjemne z powodu jakby żabiego połysku mocno napiętej skóry na grzbiecie dłoni, obsypanych już starczą gorczycą. Nikt przedtem nie klepał mnie tak jak ona po policzku - było to wstrętne i obce wrażenie - ona zaś zaczęła właśnie od tego - chyba dla okazania mi bezzwłocznie sympatii. Wszystkie jej miny i gesty, tak nowe dla mnie po dość jednostajnym i powściągliwym zachowaniu naszych Angielek, przypominają mi się wyraźnie, gdy tylko wyobrażam sobie jej ręce: sposób temperowania

ołówka czubkiem do siebie, do ogromnej bezpłodnej piersi, obleczonej w zieloną wełnę nałożonego na bluzkę bezrękawnika; sposób drapania się w ucho - nagle wsuwała do ucha mały palec, który w nim jakoś tak szybko trzepotał. I jeszcze rytuał przestrzegany przy wydawaniu czystego zeszytu: jak zawsze z lekkim, astmatycznym posapywaniem, rybio wyokrągliwszy usta z rozmachem otwierała kajet, robiła w nim margines, to jest mocno przeciągała paznokciem dużego palca pionową linię i wedle niej zaginała stronę, po czym zeszyt, jednym ruchem obrócony wokół osi, pojawiał się przede mną. Do mojej ulubionej karneolowej obsadki wsuwała dla mnie nową stalówkę i - zanim ją delikatnie zanurzyła w kałamarzu - z wilgotnym przyświstem śliniła jej lśniące ostrze. Obsadka, z czysto-srebrną jeszcze, ledwie do połowy zgranatowiałą stalówką przechodziła wreszcie w moje ręce, a ja, rozkoszując się doskonałością wyprowadzanych liter, przede wszystkim dlatego że poprzedni zeszyt skończył się beznadziejnie rozmaitymi przekreśleniami i wszelką szkaradą - wypisywałem *Dictee*, podczas gdy Mademoiselle wyszukiwała w podręczniku coś najdłuższego i najtrudniejszego.

5

Tymczasem dekoracje zmieniły się. Milczący rekwizytor uprzątnął oszronione drzewo i ciemnoniebieską zaspę. Ogród jest cały w białoróżowo-fioletowych kwiatach, słońce naciąga na dłoń ażurową pończochę alei - wszystko jest całe, wszystko jest cudowne, mleko zostało wypite, jest wpół do czwartej, Mademoiselle czyta nam głośno na werandzie, gdzie maty i wyplatane fotele pachną od gorąca andrutami i wanilią. Letni dzień, przenikając przez romby i kwadraty kolorowych szyb, kładzie się kosztowną malaturą na bielonych parapetach, ożywiając łatami arlekina szaroniebieskie angielskie płótno jednej z podługowatych kanapek, ustawionych po bokach werandy. Oto miejsce, oto czas, kiedy Mademoiselle objawia swoją prawdziwą istotę.

Jakże niesamowitą liczbę tomów i tomików przeczytała nam na tej werandzie, przy tym zasłanym ceratą okrągłym stole! Jej wdzięczny głos płynął, nigdy nie słabnąc, bez jednego zająknienia; była to zdumiewająca maszyna do czytania, zupełnie niezależna od chorych oskrzeli. W ten sposób wysłuchaliśmy i Madame de Segur i Daudeta, i niezmiernie długich opowieści Dumasa w rozlatujących się tekturowych okładkach, i wspaniale oprawionego Julesa Verne'a, i Victora Hugo, i wielu innych. Zespalała się ze swoim fotelem równie ściśle, równie organicznie jak, powiedzmy, górna część centaura z dolną. Z nieruchomej góry płynął strumyk głosu; poruszały się tylko jej wargi i najmniejszy, ale prawdziwy z jej podbródków. Jej czechowowskie *pince-nez* otaczało czarnymi obwódkami dwoje opuszczonych oczu z powiekami bardzo podobnymi do tego właśnie podkowiastego podbródka. Czasami na jej czole siadała mucha i wtedy wszystkie trzy zmarszczki podskakiwały jednocześnie; poza tym jednak nic nie mąciło spokoju owej twarzy, którą, kryjąc się z tym, tak często rysowałem, bowiem jej prosta symetria o wiele bardziej pociągała mój ołówek niż flakon z bratkami na pozór służący mi za model.

Przestawałem uważać, a wtedy jej niezwykle czysty i rytmiczny głos szedł za swoim prawdziwym powołaniem. Patrzyłem na gęsty, letni obłok, i w wiele lat później mogłem wyraźnie odtworzyć przed oczami zarys tej bitej śmietany w letnim błękicie. Na zawsze zapadły w pamięć wysokie buty, czapka i rozpięta kamizelka ogrodnika, który zielonymi palikami podpierał peonie. Pliszka przebiegała po piasku Jolka kroków, zatrzymywała się, jakby coś sobie naraz przypomniała i dreptała dalej. Ni stąd, ni zowąd motyl polygonia, usiadłszy na górnym stopniu werandy, rozpłaszczał w słońcu swoje wystrzygane brązowe

skrzydła, natychmiast je zamykał, ażeby pokazać białe pasemko na łupkowym spodzie, błyskał ponownie i już go nie było. Najbardziej zaś stałym źródłem oczarowań w godzinach lektury na werandzie w Wyrze były owe kolorowe szybki, ich przejrzysta arlekinada! Ogród i skraj parku przefiltrowane przez ich fantastyczny pryzmat stawały się jakieś zacichłe i odmienione. Gdy spojrzało się przez granatowy trójkąt piasek stawał się popiołem, a w tropikalnym niebie pływały żałobne drzewa. Przez zielony równoległościan zieleń świerków wydawała się zieleńsza od lip. W żółtym rombie cienie były jak mocna herbata, a słońce jak słaba. W czerwonym trójkącie ciemnorubinowe listowie gęstniało nad różową kredą alei. Kiedy zaś po wszystkich tych wspaniałościach spojrzało się przez jeden z niewielu kwadracików ze zwyczajnego, przaśnego szkła, z samotnym komarem albo kulawym pajęczakiem długonogim w rogu, wrażenie było takie, jakby nie czując pragnienia łyknęło się wody, i rozsądnie bielała pod znajomym świerkiem biała ławka; lecz spośród wszystkich szybek moi wygnańczy bohaterowie z udręką pragnęli popatrzeć właśnie przez tę.

Mademoiselle nie dowiedziała się nigdy, jak potężne było czarodziejstwo jej równo szemrzącego głosu. Później, po powrocie do Szwajcarii, jej uroszczenia wobec przeszłości okazały się całkiem inne: „Ah, comme on s'aimait!" wzdychała wspominając. „Jak wspaniale bawiliśmy się razem! Ach, jak powierzałeś mi szeptem swoje dziecięce smutki". (Przenigdy!) „A przytulny kącik w moim pokoju, dokąd lubiłeś się wślizgiwać, tak było ci tam ciepło i spokojnie..."

Pokój Mademoiselle, i w Wyrze, i w Petersburgu był miejscem dziwnym, a nawet strasznym. W gryzącej mgle cieplarni, gdzie spośród innych oparów wybijała się głucho woń butwiejących jabłek, mętnie świeciła lampa, zaś na stolikach połyskiwały niezwykle przedmioty: szkatułka z laki z pałeczkami lukrecji, które rozpiłowywała scyzorykiem na czarne kawałeczki - jej ulubione łakocie; ozdobione przez samą Poraonę okrągłe blaszane pudełko ze zlepionymi landrynkami - inna jej namiętność; duża warstwiasta kula zlepiona ze srebrnych papierków po tych niezliczonych tabliczkach i krążkach czekolady, które zjadała w łóżku; kolorowa fotografia - szwajcarskie jezioro i zamek z drobinami masy perłowej zamiast okien; kilka gabinetowych zdjęć zmarłego siostrzeńca, jego matki, (która podpisała się „Mater Dolorosa"), tajemniczego wąsacza, Monsieur de Marante, którego rodzina zmusiła do poślubienia bogatej wdowy; nad tym wszystkim zaś górował portret w ramce usianej fałszywymi drogimi kamieniami: była tam sfotografowana w półobrocie zgrabna młoda brunetka, w sukni ściśle opinającej biust, ze stanowczą nadzieją w oczach i grzebieniem we wspaniałej koafiurze. „Warkocz do pięt i to taki gruby" - mówiła patetycznie Mademoiselle - bowiem ta dziarska matowa panna była kiedyś nią, próżno jednak nieufne oko siliło się wykroić z jej obecnych stereoptycznych zarysów pochłoniętą przez obecny kształt delikatną sylwetkę. Mnie i bratu przydarzały się niestety wręcz przeciwne objawienia: to, czego nie mogli widzieć dorośli, obserwujący Mademoisehe w nieprzeniknionym dziennym rynsztunku, dostrzegaliśmy my, wszystkowiedzące dzieci, kiedy czasem, gdy któremuś z nas przyśnił się przykry sen i ona, zbudzona zwierzęcym rykiem, pojawiała się z sąsiedniego pokoju, bosa, nieuczesana, unosząc przed sobą świecę, swym migotaniem przemieniającą w łuski złote naszycia na krwiście czerwonym szlafroku, który nie osłaniał jej monstrualnej chwiejby: wydawała się w takich chwilach prawdziwym uosobieniem Jezabel z Athalie, kretyńskiej tragedii Racine'a, której fragmenty musieliśmy oczywiście znać na pamięć wraz z wszelkimi innymi pseudoklasycznymi bzdurami.

6

Przez całe życie zasypiałem z największym trudem i wstrętem. Ludzie, którzy w pociągu odłożywszy gazetę błyskawicznie i tak jakoś po prostu zaczynają chrapać, są dla mnie równie niepojęci jak, powiedzmy, ludzie, którzy gdzieś kandydują albo wstępują do lóż masońskich czy w ogóle przystają do jakichkolwiek organizacji, żeby się w nich energicznie zatracić. Wiem, że sen jest pożyteczny, a jednak nie mogę przyzwyczaić się do tej zdrady rozsądku, do tego conocnego humorystycznego rozbratu z własną świadomością. W latach dojrzałych sprowadziło się to u mnie do takiego mniej więcej uczucia, jakiego doznaje się czekając na operację pod pełną narkozą, w dzieciństwie zaś oczekiwany sen wydawał mi się wręcz katem w masce, z toporem w czarnym pokrowcu i z dobrodusznie bezlitosnym pachołkiem, którego bezradny król gryzie w palec. Jedynym oparciem w ciemności była szczelina w lekko uchylonych drzwiach do sąsiedniego pokoju, gdzie w żyrandolu na suficie świeciła jedna żarówka i dokąd około dziesiątej ze swojej dziennej nory przychodziła spać Mademoiselle. Bez tego pionu łagodnego światła nie miałem się czego trzymać w ciemnościach, w których głowa jakby topniała i doznawała zawrotu. Niezwykle przyjemnie zapowiadała mi się zawsze sobotnia noc, kiedy Mademoiselle, należąca do starej szkoły higieny i upatrująca w naszych angielskich narowach tylko źródło przeziębień, pozwalała sobie na luksus i ryzyko kąpieli - co nieomal o godzinę przedłużało istnienie mojego wątłego pasemka światła. W petersburskim domu przeznaczona dla niej łazienka znajdowała się w końcu dwukrotnie zakręcającego korytarza, w odległości mniej więcej dwudziestu uderzeń serca od mojego wezgłowia, i rozdarty między obawą, że ona zechce skrócić swoje uroczyste ablucje, a zazdrością wobec spokojnego posapywania brata za parawanem, nigdy nie byłem w stanie wykorzystać nadmiaru czasu i zasnąć, póki szczelina światła w ciemności wciąż jeszcze pozostawała rękojmią bodaj punkcika mojego ja w otchłani. Wreszcie rozlegały się nieubłagane kroki: oto ciężko zbliżają się po korytarzu, a dotarłszy do ostatniego zakrętu, powodują nagłe brzęknięcie jakiegoś dźwięcznego przedmiotu, który u siebie na półce dzieli moje czuwanie. Oto weszła do sąsiedniego pokoju. Następuje szybki przegląd i wymiana świetlnych walorów: świeczka przy jej łóżku skromnie kontynuuje dzieło lampy, która wbiegłszy z pstryknięciem na dwa stopnie cudownego dodatkowego światła, gaśnie z takim samym pstryknięciem. Mój pion jeszcze się trzyma, ale jakże jest wyblakły i słaby, jak nieprzyjemnie drga za każdm razem, gdy skrzypnie łóżko Mademoiselle. Następuje faza upadku: czyta w łóżku Bourgeta. Słyszę srebrzysty szelest obnażanej czekolady i świst nożyka do owoców, przecinający świeży „Revue des Deux Mondes“. Odróżniam nawet znajomy, granulowany poświst jej oddechu. I cały czas w okropnym przygnębieniu usiłuję zwabić nienawistny sen, wiem bowiem, co zaraz nastąpi. Otwieram co chwilę oczy, ażeby sprawdzić, czy mój mętny promień jest tam, gdzie był. Raj to miejsce, w którym czuwający nieustannie sąsiad przy świetle wieczystej świecy czyta nieskończoną książkę! I wreszcie stało się: zatrzaskuje się futerał *pince-nez*, pismo zaszeleściwszy przenosi się na nocny stolik, Mademoiselle gwałtownie dmucha; płomień, ugodzony już za pierwszym razem, znowu się prostuje, przy drugim porywie światło przepada. Aksamitny, zabójczy mrok trwa nie rozdarty niczym prócz moich czystych, bezdźwięcznych fajerwerków, tracę poczucie kierunku, łóżko wiruje cicho, w panicznym lęku siadam i wpatruję się w ciemność. Boże, przecież ci ludzie wiedzą, że nie mogę zasnąć bez punktu światła, że maligna, obłęd, śmierć to właśnie ta zupełna, czarna czerń! Oto jednak spojrzenie - stopniowo się z nią oswajając - odróżnia realne jaśnienie od entoptycznego żużlu i podłużne bławości, które wydawały się płynąć dokądś w gorączce, przybijają do brzegu, stając się słabo ale bezcennie świecącymi wygięciami pomiędzy fałdami zasłon, za którymi czuwają uliczne latarnie.

Czymś niepojętnym i śmiesznie nieważnym wydawały się te nocne niedole w cudowne poranki, kiedy nie tylko noc, ale zima zapadały się w mokry błękit Newy, wiało w twarz liryczną szorstkawą wiosną północnej palearktyki, a kurteczkę na bobrowym futerku można

było zamienić na granatowe palto z kotwiczkami zdobiącymi mosiężne guziki. Lśniły dachy, dudnił Isakij i nigdzie nie widziałem takiego fiołkowego błocka jak na petersburskich jezdniach. *On se promenait en voiture, albo en équipage*, jak mawiano po staroświecku w rosyjskich rodzinach. Plusz barwy suszonych śliwek wzdyma się majestatycznie na piersiach Mademoiselle, zasiadającej na tylnym siedzeniu otwartego landa z moim triumfującym i zapłakanym braciszkiem, którego ja, siedząc naprzeciwko, kopię nieraz na dobitkę pod wspólnym pledem - zadarliśmy ze sobą jeszcze w domu; nieczęsto go zresztą męczyłem, ale też i żadnej przyjaźni między nami nie było, do tego stopnia, że nie mieliśmy nawet imion dla siebie nawzajem, ot - Wołodia, Sierioża - i z dziwnym uczuciem myślę, że mógłbym dokładnie opisać całe swoje dzieciństwo ani razu o nim nie wspomniawszy. Lando toczy się, dziarsko biegną konie, chłodno mi w szyję i trochę mdło. Wzdymając się od wiatru, wysoko nad ulicą, rozpięte na linach w poprzek Morskiej koło Arki trzy pasy prawie przejrzystych płacht - bladoczerwona, bladoniebieska i po prostu wyblakła - wysiłkiem słońca i zmiennych cieni pozbawione zostają przypadkowego związku z jakimś wolnym od pracy dniem; ale za to teraz, w stolicy pamięci, świętują niewątpliwie wielobarwność wiosennego dnia. stukot kopyt po drewnianej kostce, początek odry, nastroszone przez wiatr od Newy skrzydło ptaka o jednym czerwonym oku na kapeluszu Mademoiselle.

7

Spędziła z nami około ośmiu lat, lekcje stawały się coraz rzadsze, a jej charakter coraz gorszy. W porównaniu z przypływem i odpływem angielskich guwernantek i rosyjskich wychowawców, którzy Się nami zajmowali, ona wydaje się niezachwianą skałą; była z nimi wszystkimi w niedobrych stosunkach. Urazy jej wyrastały z przesłanek

O najsubtelniejszych odcieniach. Latem rzadko zasiadało nas do stołu mniej niż dwanaście osób, zaś na imieninach i urodzinach było co najmniej trzy razy więcej i kwestia, gdzie zostanie posadzona, była dla niej paląca. Z Batowa w tarantasach i kabrioletach przyjeżdżali Nabokowowie, Larscy, Rauschowie, z Rożdiestwiena Wasilij Iwanowicz, trzymając się za pasek stangreta (co mój ojciec uważał za nieprzyzwoite), z Drużnosielija Wittgensteinowie, z Mitiuszyna Pychaczewowie; byli tu różni dalecy krewni ojca i matki, damy do towarzystwa, rządcy, guwernantki i guwernerzy; doktor z Rożdiestwiena przyjeżdżał swoją leciutką bryczuszką zaprzęgniętą w cyrkowego kucyka o smukłej szyi, z grzywką jak szczotka do zębów; w chłodnym westybulu głośno smarkał, zawijał to wszystko w chustkę i sprawdzał w wysokich lustrach swój biały jedwabny krawat; sympatyczny Wasilij Martynowicz, który zależnie od sezonu przynosił ulubione kwiaty matki albo ojca, zielonkawe wilgotne konwalie w mocno nabitym, poskrzypującym bukiecie, albo wielki pęk jakby farbkowanych bławatków przewiązanych czerwoną wstążką. Ciekawe, kto spostrzeże, że powyższy fragment zbudowany jest na intonacjach Flauberta.

Szczególnie bacznie obserwowała Mademoiselle jedną z najuboższych nabokowowskich krewniaczek, Nadieżdę Ujinicznę Nazimową, starą pannę, koczującą co lato z majątku do majątku i uchodzącą za malarkę - wypalała na drewnie barwne rosyjskie trojki i korespondowała ozdobnym słowiańskim pismem z członkami jakiegoś czarnosecinnego związku. Miała rzadkie włosy, grzywkę, olbrzymią twarz poziomkowego koloru, tak przekrzywioną na bok na skutek fluksji, przeziębionej w smutnej młodości, że jej brzmiące jak przez tubę słowa wydawały się skierowane do własnego lewego ucha, była odrażająca i bardzo tęga, sylwetka jej przypominała śniegowego bałwana, to znaczy była mniej poprawna w proporcjach niż Mademoiselle. Kiedy zdarzało się, że dwie owe damy płynęły jedna na

przeciw drugiej po szerokiej alei parku i wymijały się w milczeniu - Nadieżda Ujiniczna z łopianem przypiętym dla ochłody do włosów, a Mademoiselle pod parasolką z mory, obie w paseczkach i obszernych spódnicach, które rytmicznie z jednej strony na drugą zamiatały skrajem po piasku - bardzo przypominały owe brzuchate wagony elektryczne, które tak jednostajnie i spokojnie wymijały się wpośród lodowej pustyni Newy. „Je suis une sylphide à côté de ce monstre" mawiała pogardliwie Mademoiselle. Kiedy zaś tamtej udawało się zająć wyższe miejsce przy świątecznym stole, wargi Mademoiselle układały się z poczucia krzywdy w drżący, ironiczny uśmieszek, a jeśli przy tym jakiś jej prostoduszny vis à vis odpowiadał uprzejmym uśmiechem, szybko kręciła głową, jakby budząc się z głębokiego zamyślenia i mówiła: „Excusez-moi, je souriais à mes tristes pensées".

Natura postarała się obdarzyć ją tym wszystkim, co wyostrza obolałość. Pod koniec pobytu u nas zaczęła gruchnąć. Przy stole czasem zdarzało się, co dostrzegaliśmy z bratem, że dwie duże łzy pełzły po jej rozległych policzkach. „To nic, to nic, proszę nie zwracać na to uwagi" mówiła i jadła dalej, póki łzy zupełnie jej nie zatapiały; wtedy z okropnym chlipaniem wstawała i prawie omackiem wychodziła z jadalni. Bardzo powoli udawało się wydobyć od niej błahą przyczynę jej rozpaczy: przekonywała się na przykład coraz bardziej, że jeśli nawet ogólna rozmowa toczyła się czasem po francusku, był to spisek uknuty dla diableskiej przyjemności - nie dopuszczenia do tego, by to ona kierowała konwersacją i stanowiła jej ozdobę. Biedaczką tak się spieszyła aby włączyć się w zrozumiały dla siebie język zanim rozmowa wróci do rosyjskiego chaosu, że nieodmiennie trafiała kulą w plot. „A jak się miewa pański parlament, monsieur Nabokoff?" - strzelała dziarsko, choć od czasu Pierwszej Dumy upłynęło wiele lat. Albo wydało się jej, że przedmiotem rozmowy jest muzyka, więc oznajmiała znacząco: „Ależ moi państwo, melodia jest również w ciszy. Kiedyś w dzikiej alpejskiej dolinie - nie uwierzycie mi pewnie, ale tak było - słyszałam ciszę". Mimowolnym skutkiem takich replik - zwłaszcza, gdy zawodził ją słabnący słuch i odpowiadała na domniemane tylko pytania - była milcząca pauza, a bynajmniej nie raca lekkiej, olśniewającej causerie. Tymczasem jej francuzczyzna była tak czarująca! Czy rzeczywiście nie można było zapomnieć o powierzchowności jej wykształcenia, pospolitości sądów, złośliwym charakterze, kiedy ta perlista mowa szemrała i polśniewala, równie wyzuta z prawdziwej myśli i poezji, jak wierszyki jej ulubionych Lamartine'a i Coppe'ego! Prawdziwą literaturę francuską odsłoniła mi nie ona, ale książki, które odkryłem w ojcowskiej bibliotece; niemniej chcę podkreślić, jak wiele jej zawdzięczam, jak pobudzające i owocne były dla mnie przejrzyste dźwięki jej języka, podobne do blasku tych krystalicznych soli, które przepisuje się dla oczyszczenia krwi. Dlatego takie to smutne, gdy się teraz pomyśli, jak cierpiała wiedząc, że nikt nie docenia słowiczego głosu wydobywającego się z jej słoniowatego ciała. Zadomowiła się u nas na lata, Wciąż pełna nadziei, że jakimś cudem przeistoczy się w osobliwą *grande précieuse,* królującą w złoconym salonie i blaskiem intelektu czarującą poetów, wielkich panów i podróżników.

Czekałaby nadal z nadzieją, gdyby nie Leński, różowy, pyzaty student o rudawej bródce, niebieskiej wygolonej głowie i poczciwych oczach krótkowidza, który w latach dziesiątych mieszkał u nas jako korepetytor. Miał kilku poprzedników, spośród których Mademoiselle nie lubiła żadnego, o Leńskim jednak mawiała, że to już le comble - dalej posunąć się nie sposób. Byt to dość nieociosany pełen wzniosłych ideałów młodzieniec z Odessy, który wielbiąc mego ojca, otwarcie potępiał to i owo w naszym sposobie życia, jak na przykład lokajów w granatowych liberiach, reakcyjne rezydentki, „snobistyczność" niektórych rozrywek i, niestety, język francuski, niestosowny jego zdaniem w domu demokraty. Mademoiselle, której przez cały czas ich wspólnej wegetacji nie wpadło do głowy, że Leński nie zna ani słowa po francusku, doszła do wniosku, że jeśli on na wszystko odpowiada jej

myczeniem (dziwak, usiłował ratować się, nadając mu niemieckie brzmienie), czynił to, aby ją dotkliwie obrazić i dać jej po nosie przy wszystkich - nikt jej tu przecież nie obroni. Były to niezapomniane sceny, a ich powtarzalność nie przynosiła zaszczytu rozsądkowi żadnej ze stron. Słodziusieńkirn tonem, ale już ze złowieszczym drganiem warg Mademoiselle prosiła sąsiada, by podał jej chleb, a sąsiad odpowiadał skinieniem mamrocząc coś w rodzaju „ich denke so auch!“ i spokojnie jadł dalej zupę; w Nadieżdie Iljinicznie przy tym, która do Mademoiselle nie żywiła dobrych uczuć za spalenie Moskwy, a do Leńskiego za ukrzyżowanie Chrystusa, złośliwa uciecha walczyła ze współczuciem. Wreszcie, przesadnie szerokim gestem Mademoiselle dawała nura przez talerz Leńskiego w kierunku koszyczka z białym pieczywem i tak samo wciągała tułów krzyknąwszy „Merci, Monsieur!“ z tak druzgocącą intonacją, że porośnięte puchem uszy Leńskiego stawały się czerwieósze niż geranium. „Bydlę! Bezczelny! Nihilista!“ - pochlipując skarżyła się Mademoiselle mojemu bratu, spokojnie siedzącemu na jej łóżku, które dawno już przeniosło się z pokoju obok nas do jej własnego.

W naszym petersburskim domu była nieduża winda hydrauliczna, która wpelzała po aksamitnej linie na drugie piętro wzdłuż powoli opadających zacieków i szpar na jakiejś wewnętrznej żółtawej ścianie, dziwnie różniącej się od granitu frontonu, ale bardzo podobnej do ściany innego naszego domu, od strony podwórka, gdzie znajdowały się pomieszczenia gospodarskie i gdzie, zdaje się, odnajmowano jakieś kantory, jakby na to wskazywały zielone szklane klosze lamp, płonących w wacianej ciemności w tych nudnych, przeciwległych oknach. Winda ta, czyniąc obelżywy przytyk do ciężaru, często stawała i Mademoiselle musiała, z wieloma astmatycznymi postojami, wchodzić po schodach. Spotykała na nich nieraz ciężkawo ale dziarsko zbiegającego Leńskiego i przez całe dwie zimy twierdziła, że przechodząc na pewno ją popchnie, potrąci, zbije z nóg, podepcze jej martwe ciało. Coraz częściej odchodziła od stołu, a w ślad za nią posyłano dyplomatycznie jakieś lody albo profitrolki, których mogłaby potem żałować. Z głębi swego jakby wciąż oddalającego się pokoju pisała do matki listy na szesnaście stron i matka śpieszyła na górę, zastając ją tragicznie pakującą walizki w obecności udręczonego Sierioży. No i pewnego dnia pozwolono jej spakować się naprawdę.

8

Przeprowadziła się dokądś, czasem, się jeszcze widywaliśmy, a gdy tylko wybuchła pierwsza wojna światowa wróciła do Szwajcarii. Rewolucja sowiecka przerzuciła nas na pół roku na Krym, stamtąd zaś na zawsze wyjechaliśmy za granicę. Studiowałem w Anglii w Cambridge i pewnego razu podczas zimowych ferii, chyba w roku 1921, pojechałem z kolegą do Szwajcarii na narty i w drodze powrotnej, w Lozannie, odwiedziłem Mademoiselle.

Jeszcze tęższa niż dawniej, całkiem siwa i niemal zupełnie głucha, powitała mnie z burzliwymi oznakami miłości. Miała chyba około siedemdziesiątki - swoje lata taiła z rodzajem pasji i mogłaby powiedzieć „1’âge est mon seul trésor“. Widok zamku w Chillonie zastąpiła prymitywna trojka wypalona na pokrywie lakierowanego pudełka. Swoje życie w Rosji wspominała z takim żarem, jakby to była jej utracona ojczyzna. Trzeba dodać, że w Lozannie istniała cała kolonia takich byłych guwernantek w stanie spoczynku: ciągnęły jedna do drugiej i zazdrośnie popisywały się wspomnieniami z przeszłości, tworząc wśród obcego żywiołu dziwaczną wysepkę nostalgii: „Argentyńczycy zgwałcili wszystkie nasze dziewczęta“ - zapewniała wciąż jeszcze elokwentna Mademoiselle. Najlepszą jej przyjaciółką była teraz wysuszona staruszka, przypominająca mumię młodego chłopca, niegdyś

guwernantka mojej matki, Mile Golay, która również wróciła do Szwajcarii - a dodam tu, że w okresie gdy obie przebywały u nas nie rozmawiały ze sobą. Człowiek zawsze czuje się zadomowiony w swojej przeszłości, czym tłumaczy się po części jakby pośmiertna miłość tych biednych istot ku odległemu, i mówiąc między nami, dość przerażającemu krajowi, którego naprawdę nie znały i w którym wcale nie znalazły szczęścia.

Ponieważ rozmowę naszą w sposób męczący komplikowała głuchota Mademoiselle, postanowiliśmy z przyjacielem przynieść jej tego samego dnia aparacik, na który wyraźnie nie było jej stać. Najpierw nieprawidłowo nałożyła skomplikowany przyrząd, co zresztą nie przeszkodziło jej podnieść na mnie od razu łzawego spojrzenia, mającego wyrazić najwyższe zdumienie i zachwyt. Przysięgała, że słyszy nawet mój szept. Tymczasem było to niemożliwe, ponieważ zakłopotany i zmartwiony zachowaniem aparaciku, nie powiedziałem ani słowa, a gdybym się nawet odezwał, to przede wszystkim poprosiłbym, aby podziękowała mojemu koledze, który zapłacił za przyrząd. Możliwe, że dosłyszała to właśnie milczenie, w które wsłuchiwała się kiedyś w samotnej dolinie: wtedy oszukiwała siebie, a teraz mnie.

Zanim opuściłem Lozannę, wyszedłem żeby w chłodny mglisty wieczór przejść się dokoła jeziora. W pewnym miejscu szczególnie smutna latarnia rozrzedzała mgłę, która przechodząc przez tę mętną aurę, przemieniała się w paciorki deszczu. Przypominało mi się: „II pleut toujours en Suisse“ - twierdzenie, które niegdyś doprowadzało Mademoiselle do łez. „Mais non“ - mówiła - „il fait si beau, si beau“ - i z poczucia krzywdy nie potrafiła dokładniej określić owego „beau“. Za barierą szły po wodzie duże zmarszczki, prawie fale - kiedyś w pobliżu o mało nie zginęła podczas burzy Julia de Yolmar. Wpatrując się w ciężko pluskającą wodę dostrzegłem coś dużego i białego. Był to stary, tłusty, niezgrabny łabędź, podobny do dudka. Usiłował wgramolić się do przycumowanej łódki, ale zupełnie mu to nie wychodziło. Bezradne trzepotanie jego skrzydeł, śliskie ocieranie się ciała o burtę, kołysanie i cmokanie łódki, ceratowy poblask czarnej fali pod promieniem latarni - wszystko to wydało mi się nasycone dziwnym znaczeniem, jak się to zdarza we śnie, kiedy widzisz, że ktoś przyciska palec do ust, a potem wskazuje gdzieś w bok, ale nie możesz za nim nadążyć spojrzeniem i budzisz się w przerażeniu.

To co zapamiętałem z tego chmurnego spaceru przesłoniły wkrótce inne wrażenia; kiedy jednak mniej więcej w dwa lata później dowiedziałem się o śmierci samotnej staruchy (nie wiem, czy udało mi się wyzwolić ją z moich utworów), pierwsze co sobie uprzytomniłem to nie były jej podbródki, ani jej tusza i nawet nie muzyka jej francuszczyzny, a właśnie ten żałosny, późny, troisty obraz: łódka, łabędź, fala.

Rozdział szósty

1

Kiedy budziłem się w letni ranek, od razu, w chłopięcej niecierpliwości spoglądałem, jak wygląda szczelina między okiennicami. Jeśli była wodnistoblada, waliłem się z powrotem na poduszki: nie warto było nawet otwierać okiennic, za którymi zawczasu widziałem całą niemiłą scenerię - ołowiane niebo, pomarszczoną kałużę, pociemniały żwir, brązową packę opadłych kwiatostanów pod krzewami bzu i przedwcześnie wyblakły listek z drzewa płasko przylepiony do mokrej ogrodowej ławki! Jeśli jednak okiennice mrużyły się od oślepiającego lśnienia natychmiast zmuszałem okno, by wydało swój skarb: pokój za jednym zamachem rozpadał się na światło i cień. Przesycone słońcem listowie brzozy zdumiewało oczy przejrzystością, jaką miewają jasnozielone winogrona; igliwie świerków zaś aksamitnie rysowało się na błękicie i błękit ten osiągał takie nasycenie, jakim rozkoszowałem się jedynie w wiele lat później w górskiej strefie iglastych lasów Colorado.

Od dzieciństwa poranny blask w oknie mówił jedno i tylko jedno: jest sionce, a więc będą także motyle. Zaczęło się to wszystko w siódmym roku życia i zaczęło od dość banalnego wydarzenia. Na krzewie perskiego bzu przy werandzie bocznego skrzydła domu zobaczyłem swego pierwszego pazia królowej - machaona - po dziś dzień aoniczny[6] czar tych obnażonych samogłosek wypełnia mnie jakimś pełnym zachwytu dudnieniem! Wspaniały bladożółty stwór cały w czarnych i granatowych schodkowatych plamach, z papuzim oczkiem nad każdą z parzystych czarno-różowych ostróg, zwisał z nachylonej malinowo-ftoletowej kiści i upajając się nią spazmatycznie bił przez cały czas olbrzymimi skrzydłami. Jęczałem z pożądania. Jeden ze służących, ten właśnie Ustin, który był odźwiernym u nas w Petersburgu, ale z jakiegoś powodu znalazł się latem w Wyrze, zręcznie złapał motyla do liberyjnej czapki i ta czapka ze zdobyczą została zamknięta w ubraniowej szafie, gdzie jeniec powinien był w ciągu nocy umrzeć od naftaliny; kiedy jednak następnego ranka Mademoiselle otworzyła szafę, aby coś z niej wyjąć, motyl z potężnym furkotem frunął jej w twarz, potem skierował się ku otwartemu oknu, nurkując i polatując, zaczął się już przemieniać w złoty punkcik, lecąc wciąż na wschód, nad tajgą i tundrą, na Wołogdę, Wiatkę i Perm - a dalej za surowy Ural przez Jakuck i Wierchniekołymsk, a z Wierchniekołymska, gdzie stracił jedną ostrogę, ku pięknej wyspie Św. Wawrzyńca i przez Alaskę na Dawson i na południe, wzdłuż Gór Skalistych, gdzie wreszcie po czterdziestoletniej pogoni dopędziłem go i uderzeniem siatki „zdjąłem“ z jaskrawożółtego mlecza, wraz z mleczem, w jaskrawozielonym zagajniku, wraz z zagajnikiem wysoko nad Boulder.

[6] Od Aonidy

Czasem, wpadłszy przez okno, zaczynał
barwny motyl w jedwabnym wyszyciu
polatywać, szeleścić, furkotać
na wysokim niebieskim suficie

- cytuję z pamięci zdumiewający wiersz Bunina (jedynego rosyjskiego poety, prócz Feta, który „widział“ motyle). Zdarzało się czasem, że duża połyskliwie czerwona gąsienica przechodziła przez ścieżkę i oglądała się za mną. Wkrótce zaś po historii z szafą znalazłem na oknie frontowego ganku dużego, zamszowego, z chwytnymi łapkami zawisaka i moja matka uśpiła go eterem. Później używałem różnych innych środków, ale teraz najlżejsze tchnienie nawiewające woń tego pierwszego specyfiku od razu rozwiera szeroko drzwi do przeszłości; gdy już jako młodego mężczyznę uśpiono mnie eterem podczas operacji ślepej kiszki, zobaczyłem w narkotycznym śnie siebie jako dziecko z nienaturalnie gładkim przedziałkiem, w zbyt strojnej marynarskiej bluzie, z napięciem prostującego pod kierunkiem nazbyt wzruszonej matki świeży egzemplarz wielkookiego jedwabnika. Wszystko było wyjaskrawione jak na reklamowym rysunku, dołączonym do pożytecznej gry, choć nie było nic zabawnego w tym, że rozpostarty i rozpruty byłem w istocie ja sam, któremu się to wszystko śniło - wilgotna, przesiąknięta lodowatym eterem i ciemniejąca pod jego wpływem wata, podobny do uszatego króliczego pyszczka łepek jedwabnika z piórkowatymi czułkami, ostatnie drgawki jego rozczłonkowanego ciała, mocny chrzęst szpilki, prawidłowo przebijającej wełnisty grzbiecik i ostrożne wciskanie dość sporej istoty w korkową szczelinę przyrządu do prostowania, i symetryczne rozłożenie pod naklejonymi pasemkami brystolu szerokich, zwartych, mocno opylonych skrzydeł z matowymi okienkami i falistą malaturą w odcieniu orchidei.

2

Ojciec miał w petersburskim domu dużą bibliotekę; stopniowo przenoszono tam także różne rzeczy z Wyry, gdzie ściany wewnętrznej galerii, pośród której wznosiły się schody, zastawione były półkami książek; dodatkowe złoża znajdowały się w jednym z pomieszczeń gómego piętra, przypominającego kształtem pokład. Miałem osiem lat, kiedy bobrując tam wśród pism „Żiwopisnoje Obozrienije“ i „Graphic“ w marmurk owych oprawach, zielników ze spłaszczonymi fiołkami i jedwabistymi szarotkami, albumów, z których ze stukiem wypadały twarde, ze złotymi brzegami fotografie nieznanych mężczyzn w orderach, wśród wielkich, zakurzonych, zdekompletowanych gier w rodzaju halmy, znalazłem cudowne książki, kupione przez babkę Rukawisznikową w owym czasie, kiedy jej dzieciom udzielali prywatnych lekcji zoologii Szymkiewicz i inne znakomitości. Pamiętam takie osobliwości, jak olbrzymie brunatne foliały monumentalnego dzieła Albertusa Seby *Locupletissimi Rerum Naturalium Thesauri Accurata Descriptio...*, (Amsterdam, około roku 1750) na ich żółtawych, bardzo szorstkich stronicach wygrawerowane były i węże, i muszle, i dziwne długonogie motyle, i podwieszony za szyję w szklanym słoju etiopski embrion płci żeńskiej; przez całe godziny patrzyłem na hydrę z tablicy CII - na jej siedem smoczych głów na siedmiu długich szyjach, gruby opryszczony tułów i wijący się ogon. Z czarodziejskiej izdebki unosiłem w objęciach na dół do siebie do narożnego gabineciku bezcenne tomy: były tu prześliczne rysunki owadów z Surinamu w dziele Marii Sybilli Merian (1647-1717) i *Die Schmetterlinge* (Erlangen 1777) genialnego Espéra, i *Icônes Historiques de Lépidoptères Nouveaux ou Peu Connus* Boisduvala (Paryż, 1832 i później). Jeszcze mocniej poruszały mnie prace z drugiej połowy dziewiętnastego stulecia: *Natural History of British Butterflies and Moths* Newmana, *Die Gross-Schmetterlinge Europas* Hofmana, znakomite *Mémoires*

Wielkiego Księcia Mikołaja Michajłowicza i jego współpracowników, poświęcone motylom rosyjsko-azjatyckim z niezrównanej piękności ilustracjami pędzla Kawrigina, Rybakowa, Langa i klasyczne dzieło wielkiego Amerykanina Scuddera, *Butterflies of New England*.

Już jako chłopiec zaczytywałem się entomologicznymi pismami, zwłaszcza angielskimi, najlepszymi wówczas na świecie. Był to okres, kiedy w systematyce dokonywały się zasadnicze zmiany. Przedtem, od połowy ubiegłego stulecia, entomologia w Europie nabrała wielkiej prostoty i precyzji, stając się dobrze prosperującym interesem, którym zarządzali Niemcy: arcykapłan, znakomity Staudinger stał zarazem na czele naj większej z firm prowadzących handel owadami i w jego interesie leżało nie komplikowanie klasyfikacji motyli; aż do dziś, pół wieku po jego śmierci, środkowo-europejskiej, a także rosyjskiej lepidopterologii (prawie zresztą nie istniejącej przy sowietach) nie udało się do końca wyłamać z hipnotycznej niewoli jego autorytetu. Staudinger żył jeszcze, gdy jego szkoła zaczęła tracić w świecie znaczenie. Podczas gdy zarówno on jak jego zwolennicy trzymali się konsekwentnie nazw, gatunków i rodzajów, uświęconych długoletnim używaniem, i klasyfikowali motyle wyłącznie według ich cech dostępnych nieuzbrojonemu oku amatora, specjaliści angielsko-amerykańscy wprowadzali zmiany w nomenklaturze, wynikające ze ścisłego stosowania prawa pierwszeństwa, i zmiany taksonomiczne, oparte na mikroskopowych żmudnych badaniach złożonych organów. Niemcy usiłowali nie dostrzegać nowych prądów i nadal sprowadzali entomologię niemal do poziomu filatelistyki. Troska staudingerowców o „szeregowego kolekcjonera", którego nie należy zmuszać do robienia preparatów, śmiesznie przypomina hołubienie przez współczesnych wydawców „szeregowego czytelnika", którego nie należy zmuszać do myślenia.

Nastąpiła podówczas inna jeszcze, bardziej ogólna zmiana. Wiktoriańskie i staudingerowskie traktowanie gatunku jako wyniku ewolucji, podawanego kolekcjonerowi przez naturę na kwadratowej tacy, tj. gatunku jako czegoś zamkniętego i jednorodnego w swoim składzie z jakimiś zaledwie zewnętrznymi odmianami (polarnymi, wyspiarskimi, górskimi), ustąpiło nowemu pojęciu gatunku wielokształtnego, płynnego, topniejącego na obrzeżach, złożonego organicznie z geograficznych ras (podgatunków); innymi słowy gatunek wchłonął podgatunek. Te elastyczniejsze metody kwalifikacji lepiej wyrażały ewolucyjną stronę zjawiska, a udoskonalenie biologicznych badań łuskoskrzydłych, niezwykle teraz precyzyjnych, prowadziło w te ślepe zaułki natury, gdzie zwiduje się nam główna jej tajemnica. Pod tym względem czarowała mnie zawsze zagadka „mimikry" - i tutaj uczeni angielscy i rosyjscy dzielą laury - o mało nie napisałem „larwy" - po równi. Jak wytłumaczyć, że piękna gąsienica bukowej ćmy, obdarzonej w dorosłym stadium dziwnymi członkowanymi przydatkami i innymi osobliwościami, maskuje swoją gąsienicowatość tym, że zaczyna „grać" podwójną rolę jakiegoś długonogiego, kulącego się owada i mrówki, która wydaje się go pożerać - czyżby kombinacja obliczona na odwrócenie uwagi ptaka? Czym wytłumaczyć, że południowo-amerykański motyl imitator, z kształtu i ubarwienia całkowicie podobny do lokalnej niebieskiej osy, naśladuje ją również w tym, że chodzi po osiemu, nerwowo poruszając czułkami? Takich aktorów charakterystycznych jest wśród motyli sporo. A cóż powiecie państwo o artystycznej rzetelności natury, kiedy nie zadowalając się tym, że ze złożonego motyla kallimacha tworzy zdumiewającą imitację suchego liścia z żyłkami i ogonkiem, odtwarza dodatkowo na owym „jesiennym" skrzydle takie dziurki, jakie w tych właśnie liściach wyżerają gąsienice żuka? Wypowiedziałem kiedyś później pogląd, że „dobór naturalny" w prymitywnym znaczeniu nie może stanowić wyjaśnienia stale spotykanej matematycznie niewiarygodnej zbieżności choćby tylko trzech elementów naśladowania w jednym stworzeniu - kształtu, ubarwienia i zachowania (tj. kostiumu, charakteryzacji i mimiki); z drugiej zaś strony również „walka o byt" nie ma tu nic do rzeczy, niekiedy

bowiem obronny fortel doprowadzony zostaje do tak wielkiej artystycznej rafinady, że wykracza to daleko poza wszystko, co zdolny jest ocenić mózg hipotetycznego wroga, ptaka na przykład albo jaszczurki; nie ma więc kogo oszukiwać, chyba że początkującego przyrodnika. Tak więc już jako chłopiec odnajdywałem w naturze ów element złożoności i „bezużyteczności", jakiego szukałem później w innym cudownym oszukaństwie - w sztuce.

3

Wśród mnóstwa ludzkich uczuć - nie pozwalającej zasnąć nadziei, cudownego jej spełnienia, choć w cieniu leży śnieg, niepokojów próżności i uciszenia osiągniętego celu - pół wieku moich przygód z motylami, zarówno podczas łowów, jak w laboratoriach, umieszczam na honorowym miejscu. O ile jako autor opowieści jedyną radość odnajduję w błyskawicach prywatności i utrwaleniu ich wedle sił, a sławą się nie zajmuję, to, przyznaję, ogarnia mnie niepojęte poruszenie, kiedy czynię w pamięci przegląd swych entomologicznych odkryć - żmudne wysiłki, zmiany, które wniosłem do systematyki, rewolucję z egzekucjami dokonywanymi na kolegach w jasnym kręgu mikroskopu, widok i wibrowanie we mnie wszystkich niezwykłej rzadkości motyli, które sam złowiłem oraz opisałem i własne unieśmiertelnione odtąd nazwisko postępujące za wymyśloną przeze mnie łacińską nazwą, albo to nazwisko, tyle że pisane z małej litery z łacińską końcówką „i" w oznaczeniach motyli nazwanych na moją część. I jakby na horyzoncie tej wyniosłej dumy polśniewają w mojej pamięci te wszystkie niezwykłe, bajeczne miejsca - północne trzęsawiska, południowe stepy, góry wysokie na czternaście tysięcy stóp - które z tiulową siatką w ręku przemierzałem i jako smukły chłopiec w słomkowym kapeluszu, i jako młody mężczyzna na sznurkowych podeszwach, i jako pięćdziesięcioletni grubas w kąpielówkach.

Wcześnie zrozumiałem to, co tak dobrze rozumiała moja matka, gdy szło o koźlaki: w takich rzeczach niezbędna jest samotność. Przez całe swoje dzieciństwo i lata chłopięce maniacko obawiałem się towarzystwa i oczywiście nic na świecie prócz deszczu nie mogło powstrzymać mnie od porannego pięciogodzinnego spaceru. Matka uprzedzała guwernerów i guwernantki, że ranek niepodzielnie należy do mnie, więc roztropnie trzymali się z daleka. Z tej okazji przypominam sobie: miałem w szkole Teniszewa wzruszającego kolegę, workowatego jąkałę o podłużnej bladej twarzy; inni przedrzeźniali go, a ja ze swoimi mocnymi pięściami upodobałem sobie, ze sportowej kokieterii, rolę jego obrońcy. Pewnego razu latem, późnym wieczorem, cały zakurzony, ze stłuczonym kolanem zjawił się on niespodziewanie u nas w Wyrze. Niedawno umarł mu ojciec, rodzina była zrujnowana i biedaczysko, ponieważ zabrakło mu pieniędzy na bilet kolejowy, przejechał około czterdziestu wiorst na rowerze. Następnego ranka, wstawszy o świcie zrobiłem wszystko, co tylko mogłem, ażeby opuścić dom bez jego wiedzy. Z rozpaczliwą ostrożnością zebrałem swoje myśliwskie przybory - siatkę, zieloną blaszankę na pasku, kopertki i pudełeczka na zdobycz - i przez okno pokoju lekcyjnego wydostałem się na zewnątrz. Zagłębiwszy się w las zrozumiałem, że jestem uratowany, ale wciąż jeszcze szedłem szybko, z dygotem w łydkach i ze łzami w oczach i przez palący pryzmat wstydu wyobrażałem sobie łagodnego gościa z jego dużym bladym nosem i żałobnym krawatem, jak pałęta się po ogrodzie, z braku zajęcia głaszcze głośno dyszące z upału psy i usiłuje jakoś usprawiedliwić moją okrutną nieobecność.

Zdaje się, że tylko rodzice rozumieli moją szaleńczą, ponurą pasję. Zdarzało się czasem, że mój tak opanowany ojciec nagle z wykrzywioną twarzą wpadał z werandy do mego pokoju, chwytał siatkę i rzucał się z powrotem do ogrodu, aby po mniej więcej dziesięciu minutach

wrócić, z przeciągłym jękiem „Aaaa - spudłowałem cudownego elalbuma!“ Może dlatego, że „czysta nauka“ tylko nuży i śmieszy inteligentnego mieszczucha, spotykało moje motyle - przypominam sobie - wyjąwszy rodziców, jedynie niezrozumienie, irytacja i drwina. Jeśli nawet tak okrzyczany miłośnik przyrody jak Aksakow mógł w pozbawionym odrobiny polotu *Zbieraniu motyli* (dodatek do studenckich *Wspomnień*) naszpikować swoją poczciwą gadaninę różnymi bzdurstwami (nie wiem, czy lepiej był obeznany z wszelkimi slowianofilskimi krakwami i jaźwieniami), łatwo sobie wyobrazić ignorancję w tej dziedzinie przeciętnie wykształconego człowieka. Dotychczas z bezradną irytacją wspominam, jak nasz wiejski lekarz, niezwykle miły doktor Różanów, któremu ja, ufny dziesięcioletni chłopiec, zostawiłem jako człowiekowi uczonemu pod opieką drogocenne ciemnoniebieskawe kokoniki rzadkiej sówki (obawiałem się zabrać je ze sobą w podróż za granicę), najspokojniej w świecie napisał mi do Biarritz, że doskonale się wykluły - w rzeczywistości jednak zjadła je pewno mysz, bowiem po moim powrocie kłamczuch uroczyście wręczył mi jakieś, nie wiedzieć czemu otulone w watę wyszarzałe pokrzywniki, których chłopskie dzieci nałapały mu pewno w jego własnym ogrodzie. Wcześnie odsłoniła mi się też inna prawda, ta mianowicie, że entomolog, pokornie zajmujący się swymi sprawami, zawsze wzbudza w bliźnich jakieś dziwne uczucia. Czasami, kiedy z kuzynami wybieraliśmy się na piknik, pamiętając, że obok wybranego zagajnika jest cudowny rezerwacik, cichutko, nikomu nie wadząc, ale wyczuwając już, że działam domownikom na nerwy, zawczasu zanosiłem swój skromny sprzęt do woniejącego dziegciem kabrioletu albo czerwonego pachnącego herbatą samochodu (tak pachniała benzyna w 1910 roku) i jakaś starsza krewna albo obca wąsata guwernantka mawiała: «Vraiment, Volodya, zostawiłbyś choć tym razem siatkę w domu. Będziecie się przecież bawić w chowanego, w rozbójników - po co znowu motyle? Czy naprawdę lubisz psuć wszystkim przyjemność?“ Przy drogowskazie „Nach Bodenlaube“ w Bad Kissingen (Bawaria) ledwie dopędziłem oddalających się spacerowym krokiem ojca i monumentalnego bladolicego Muromcewa, byłego przewodniczącego Pierwszej Dumy, gdy ten, zwróciwszy ku mnie swoją marmurową głowę, wyrzekł dostojnie: „Uważaj chłopcze, tylko nie uganiaj się za motylami; to zakłóca rytm spaceru“. Na ścieśnionej pachnącymi krzewami ścieżce prowadzącej z Gaspry (Krym) ku morzu wczesną wiosną 1918 roku jakiś bolszewicki wartownik, kulawy dureń z kolczykiem w uchu, chciał mnie aresztować za to, że jak twierdził, daję siatką sygnały angielskim statkom. Latem 1929 roku, kiedy łowiłem motyle we Wschodnich Pirenejach, nie było chyba wypadku, żebym idąc z siatką przez wieś obejrzał się i nie zobaczył za sobą wieśniaków, kamieniejących w miarę jak przechodziłem, jakbym był Sodomą, a oni żoną Lota. Po dalszych dziesięciu latach spostrzegłem pewnego razu, jak się za mną wężowo w bezszelestnych spiralach chwieje trawa i, cofnąwszy się o parę kroków, nadepnąłem na tłustego żandarma polowego, który czołgał się na brzuchu, przekonany, że jestem kłusownikiem - że łowię na sprzedaż śpiewające ptaki. Ameryka objawiła wobec mnie chyba jeszcze więcej niezdrowego zainteresowania. Ponurzy farmerzy milcząco wskazywali na napis „wędkowanie wzbronione“, z pędzących szosą samochodów rozlegał się drwiący wrzask; senne psy, obojętne wobec najbardziej prześmiardłego włóczęgi, jeżyły się czujnie i zmierzały ku mnie warcząc; dziatki podniesionymi głosami zadawały swoim zakłopotanym mamusiom pytanie - co to jest?; starzy, doświadczeni turyści chcieli wiedzieć, czy nie jestem wędkarzem zbierającym koniki polne na przynętę; pismo „Life“ dzwoniło pytając, czy nie pragnę zostać sfotografowany w kolorze, gdy gonię popularne motyle, z popularnym tekstem wyjaśniającym; pewnego razu zaś, na pustymi gdzieś w Nowym Meksyku, wśród wysokich yuccas osypanych liliowym kwiatem i wysilonych kaktusów, przez dwie albo i trzy mile szła za mną ogromna wrona kobyła.

4

Gdy, zmyliwszy pogonie, skręcałem z wąskiej czerwonej drogi do parku, żeby tą drogą wydostać się na pola i do lasu, ożywienie i blask młodego lata były niczym dygot zrozumienia, jakim odpowiadała mi solidaryzująca się ze mną natura. Tutaj na wiosnę wysoko i słabowicie wił się pomiędzy świerkami jedwabiście lazurowy modraszek-wieszczek; ledwie dostrzegalny, ciemny, na zielonej podszewce ogończyk nawiedzał kwitnącą czernicę; przez leśne polany mknął biały z oranżowymi koniuszkami wątlak zorzak; teraz zaś, w czerwcu, spokojnie polatywał tam, gdzie był cień i rosła trawa, wzdłuż ścieżki i kolo mostków czarny z nalotem rdzy kniejowiec, pojawiający się z tajemniczą stałością tylko co drugi rok; tu również wygrzewa się na liściach młodych osik czerwono-czama, podkreślona kredą eufidriada. Oto złożył się, na wpół przejrzysty, żyłkowany grafitem niestrzęp głogowiec, który przysiadł na rozkwitłym od jednego spojrzenia pamięci przydrożnym oście, skąd sfrunęły strzeliwszy w górę, jeden za drugim dwa samce dukatowej lycaenidae; oto bijąc się unoszą się wciąż wyżej i wyżej, a potem zwycięzca powraca na swój kwiatek, gdzie niestrzępa głogowca zastąpił już ruchliwy, rudy, szmaragdowo-perłowy od spodu perłowiec. Były to pospolite owady, każdej chwili jednak serce mogło załomotać na widok czegoś od dawna wymarzonego, niezwykłego. Pamiętam, jak pewnego razu dostrzegłem na gałązce przy parkowej furcie niezwykle kosztownego, ciemnobrązowego, ozdobionego od spodu wąskim białym wężykiem ogończyka theclę, którego miałem tylko w kupionych okazach. W guberni widziano go przede mną tylko jeden raz a to prześliczny rarytas. Zamarłem. Uderzyć go było mi nieporęcznie - siedział tuż przy moim ramieniu, więc niebywale ostrożnie zacząłem za plecami przesuwać siatkę z jednej ręki do drugiej; thecla czekała tymczasem ze sprytnym wyrazem skrzydeł: były ściśle złożone, a dolne, wyposażone w wąsikopodobne frędzelki, tarły się o siebie obrotowym ruchem - być może wydając dźwięk o zbyt wysokim tonie, żeby człowiek mógł go uchwycić. Wreszcie zamachnąłem się i przeleciałem po niej siatką. Wszyscy słyszeliśmy jęk tenisisty, kiedy o włos od zwycięstwa, zepsuwszy łatwą piłkę, wyciąga się, wspięty na palcach, odrzuciwszy do tyłu głowę i przykładając dłoń do czoła. Wszyscy widzieliśmy twarz słynnego arcymistrza, który nagie podstawił królową miejscowemu amatorowi Borysowi Izydorowiczowi Szachowi. Nikogo jednak nie było przy tym, jak wytrząsałem z siatki gałązkę i oglądałem dziurkę w tiulu.

5

Poranne niepowodzenie wynagradzał często połów o zmierzchu albo nocą. Na skrajnej ścieżce parku fiolet bzu, przed którym stałem oczekując na zawisaka, przechodził, w miarę jak dzień powoli zagasał, w grząską popielatość, po polach rozlewało się mleko mgły i młody księżyc barwy rosyjskiego „Ju“ zawisał w akwarelowym niebie barwy „W“. Stawałem tak później w wielu ogrodach - w Atenach, Antibes, Atlancie, Los Angeles - nigdy jednak w takim udręczeniu czarodziejstwem uczuć, jak wówczas przed szarzejącym bzem. I oto zaczynało się: jednostajne buczenie przechodziło z kwiatka na kwiatek i różowo-oliwkowy zawisak - migotliwe widmo - nieruchomiał w powietrzu niby koliber nad koroną, którą z powietrza penetrował długą trąbką. Jego piękna gąsienica, miniaturowa kobra o okularowych plamach na przednich segmentach, które umiała zabawnie rozdymać, pojawiała się w sierpniu w wilgotnych miejscach, na wysokich różowych kwiatach epilobii. Tak więc każda pora dnia i roku miała własne uroki. W ponure noce późną jesienią, w lodowatym deszczu łowiłem ćmy na przynętę, wysmarowawszy pnie w ogrodzie wonną mieszaniną syropu, piwa i rumu: w mokrej czarnej ciemności moja latarka oświecała lepko polśniewające pęknięcia w

dębowej korze, gdzie po trzy albo i cztery na każdym pniu baśniowo piękne catocale wysysały oszałamiającą słodycz kory, unosząc nerwowo jak dzienne motyle duże, na wpół rozwarte skrzydła i ukazując niewiarygodny, z czarną przepaską i białym rąbkiem jaskrawo malinowy atłas tylnych spod liszajowatych przednich. „*Catocala adultera*!“ darłem się w zachwycie w kierunku oświetlonego okna i potykając się biegłem do domu, żeby pokazać łup ojcu.

6

Park odgradzający dwór od pól był w swojej nadrzecznej części dziki i głuchy. Zachodziły tam łosie, co mniej irytowało naszego stróża Iwana, statecznego, barczystego starca o gęstej brodzie, niż bezprawna inwazja przypadkowych letników. Były tam ścieżki proste i zawiłe i wszystko to przeplatało się jak w labiryncie. Jeszcze w pierwszych latach wygnania moja matka i ja mogliśmy bez trudu obejść na pamięć cały park, i starą, i nową jego cześć, teraz jednak spostrzegam, że Mnemosyne zaczyna błądzić; zdezorientowana zatrzymuje się we mgle, gdzie tu i ówdzie, jak na starych mapach, rysują się mgliste, tajemnicze luki: *terra incognita*.

Na nie skoszonych polach za parkiem powietrze lśniło od motyli, wśród cudownej obfitości rumianków, driakwi, dzwonków - wszystko to przemyka teraz przed oczyma jak barwny miraż, jak te przelatujące obok szerokich okien wagonu restauracyjnego nieskończenie urzekające łąki, których schwytany w niewolę pasażer nigdy nie pozna. A za polami, jak ciemny mur wznosił się las. Błądząc całymi godzinami po gęstwinie lubiłem znajdywać drobne grotniki, należące do rodziny Eupitheciae: te delikatne, mocne istoty wielkości paznokietka w dzień przywierają ściśle do kory drzew, rozpościerając blade skrzydełka i unosząc miniaturowy tułów. Opisano ogromną liczbę ich gatunków i jeśli natura przyszarzyła te motyle upodabniając je do szarych powierzchni (ściśle wyodrębniwszy zresztą wzorzystą liberię każdego gatunku), to ich gąsieniczki, żyjące na niskich roślinach, ubarwione są w jaskrawe kolory kwiatowych płatków. Krążąc powoli w słonecznej jesieni, oglądając ze wszystkich stron pień po pniu - o, jakże marzyłem w owych latach o tym, żeby odkryć nowy gatunek eupithecji! Moja wielobarwna wyobraźnia, jakby przymilając mi się i przypochlebiając dziecku (a w gruncie rzeczy gdzieś za sceną, w konspiracyjnej ciszy gotując rozkład wydarzeń mojej odległej przyszłości) ofiarowała mi zapisane drobnym pismem widmowe fiszki z informacjami: „Jedyny znany egzemplarz *Eupithecia petropolitanata* został schwytany przez rosyjskiego ucznia (albo «młodego kolekcjonera...» albo jeszcze lepiej «autora...») w Carskosielskim powiecie guberni Petersburskiej w roku 1912... 1913... 1914...“

A potem nastąpił pewien niespokojny czerwcowy ranek, kiedy poczułem, że muszę zbadać jak należy rozlegle bagniste tereny rozpościerające się za Oredżą. Przeszedłszy pięć czy sześć wiorst wzdłuż rzeki, przeciąłem ją wreszcie po wąskim, uginającym się drewnianym mostku, skąd widać było chałupki stojące na pobliskim piaszczystym stoku, czeremchę, na zielonym brzegu żółte bierwiona i barwne plamy szmatek, zrzuconych przez wiejskie dziewczynki, które pobłyskując i bieleją w płytkiej wodzie krzyczały, nurzały się, pluskały, tyleż przejmując się przechodniem jakby był on moim obecnym bezcielesnym wysłańcem.

Na przeciwległym niskim brzegu, gdzie zaczynała się arktyka, gęste zbiorowisko drobnych motyli, składające się głównie z samców modraszków upijało się czarnym błotem, tłusto

wymieszanym i nawożonym przez krowy, i cały lazurowy rój poderwał mi się spod nóg w powietrze i pomigotawszy chwilę znowu usiadł, gdy przeszedłem.

Przedarłszy się przez rozwichrzony, niewyrośnięty sośniak, dostałem się do swego mszystego, siwego i rudawego raju. Ledwie dotarło do mnie charakterystyczne bzyczenie dwuskrzydłych, cmokanie kęp, przygłuszony skrzekot bekasa, gdy otoczyły mnie te właśnie polarne motyle, które znałem tylko z naukowych spisów, wszelkie bowiem *szmetterlingsbuchy* z obrazkami dla środkowoeuropejskich prostaków, o ile w ogóle wspominały o tych północnych rzadkościach nie uważały za wskazane dawać tu ilustracji, „bowiem szeregowy amator nigdy ich nie napotka" - zdanie, które wścieka mnie także w trywialnych atlasach botanicznych, gdy mowa o rzadkich roślinach. Teraz zaś widziałem je nie tylko na własne oczy, nie tylko żywe, ale w naturalnym harmonijnym współistnieniu z ich przyrodzonym środowiskiem. Wydaje mi się, że to dominujące, w jakiś sposób przyjemnie poruszające odczucie ekologicznej jedności, tak dobrze znane współczesnym, jest nowym albo co najmniej po nowemu ukształtowanym uczuciem - i że tylko tutaj, na tej linii, paradoksalnie zarysowuje się możliwość złączenia w syntezę idei osoby i idei wspólnoty.

Nad krzaczkami łochyni, która jakimś sposobem poprzez zmysł wzroku wprawiała usta w odrętwienie matowością swych sennych jagód; nad karym lśnieniem chłodnych aż do bólu moczarek, w których grzęzła nagle noga; nad mchem i chrustem; nad cudownymi, samotnie odświętnymi, stojącymi niczym świece białymi podkolanami, ciemnobrązowa z nalotem fioletu boloria prześlizgiwała się niskim lotem, przemykał szlaczkoń siarecznik lamowany czernią i różem, polatywały między koślawymi sosenkami cudowne smagłe satiridaeaeneueis. Ledwie spostrzegając, że tną mnie komary, które niczym prasowany kawior pokrywały nagle obnażoną po łokieć rękę, przyklękałem na kolano, ażeby z jękiem słodkiego zaspokojenia ścisnąć dwoma palcami przez tiul siatki drżący korpusik błękitnego, srebrno nakrapianego od spodu, rzadkiego znaleziska i czule uwolnić połyskującego, małego trupka z fałdów siatki - nawet na niej siadały oszalałe od mojej obecności komary. Moje palce pachniały motylami - wanilią, cytryną, piżmem - nogi przemoczone były po pachwiny, wargi miałem zapiekłe, serce mi waliło, ale szedłem i szedłem trzymając w pogotowiu siatkę. Wreszcie dotarłem do końca bagna. Wzniesienie za nim płomieniało całe od tutejszych kwiatów - łubinów, orlików, brodaczków; pod sosną *ponderosa* lśniła lilia *mariposa*; w oddali i w górze, nad granicą roślinności drzewnej, opływowe cienie letnich obłoków biegły po matowozielonych halach, za nimi zaś wznosił się skalno-szary, cały w plamach śniegu Longs Peak.

Daleko odszedłem - ale to, co minione, mam w całości tuż przy sobie i cząstkę przyszłości także. W kwitnących zaroślach kanionu Colorado, wysoko na rudonośnych zboczach gór Saint Miguel, na jeziorach uroczyska Teton i w wielu innych surowych i pięknych okolicach, gdzie znam wszystkie ścieżki i jary, każdego lata fruwają i będą fruwać odkryte przez mnie i przeze mnie opisane rodzaje i podrodzaje. „Moim imieniem nazwano" - nie, nie rzekę, ale motyla na Alasce i drugiego w Brazylii, trzeciego w Utah, gdzie schwytałem go wysoko w górach na oknie narciarskiego hotelu - owego *Eupithecia nabokovi* Mc Dunnough, który tajemniczo kończy tematyczną serię, rozpoczętą w petersburskim lesie. Przyznam, że nie wierzę w ulotność czasu - lekkiego, płynnego, perskiego czasu! Ten czarodziejski dywan nauczyłem się układać tak, ażeby wzór zachodził na wzór. Czy drogi gość potknie się, czy nie, to już jego sprawa. Największą zaś rozkoszą dla mnie - poza diabelskim czasem, ale całkowicie wewnątrz boskiej przestrzeni - jest na chybił trafił wybrany pejzaż, obojętnie w jakiej strefie - tundry czy stepu albo też nawet wśród niedobitków jakiegoś starego sośniaka przy torach kolejowych, między martwymi pod tym względem Albany i Schenectady (fruwał

tam jeden z moich ulubionych chrześniaków, mój błękitny *samuelis*), słowem dowolny zakątek ziemi, gdzie mogę być w towarzystwie motyli i roślin, którymi się żywią. To jest właśnie błogość i za błogością kryje się coś, czego nie sposób określić bez reszty. Coś jakby trwająca mgnienie fizyczna pustka, ku której, ażeby ją zapełnić, kieruje się wszystko, co kocham na świecie. Jakby błyskawiczny dreszcz rozrzewnienia i wdzięczności, zwróconej, jak się to określa w amerykańskich oficjalnych listach polecających - to whom it may concem - nie wiem ku komu czy ku czemu - czy ku genialnemu kontrapunktowi ludzkiego losu, czy ku życzliwym duchom, darzącym przychylnością szczęśliwego mieszkańca ziemi.

Rozdział siódmy

1

W agencji kolei żelaznych przy Newskim wystawiony był dwuarszynowej wielkości model brązowego wagonu sypialnego: międzynarodowe składy w owym czasie malowano pod kolor dębowych boazerii i ten fantastyczny, ciężki na oko przedmiot z mosiężną tabliczką nad oknami znacznie przewyższał szczegółowością podobieństwa wszystkie moje nakręcane pociągi, ładne, ale najoczywiściej blaszane i uogólnione. Matka próbowała go kupić; niestety, urzędnik Belg był nieubłagany. Podczas porannego spaceru z guwernantką albo

wychowawcą zawsze zatrzymywałem się tam w adoracji. Mieć w tak portatywnej formie, tak po prostu trzymać w ręku wagon, który niemal każdej jesieni uwoził nas za granicę, znaczyło prawie być zarazem maszynistą i pasażerem, różnokolorowymi światłami i pędzącą stacją pełną nieruchomych postaci, wyszlifowanymi do jedwabistego połysku szynami i tunelem w górach. Z zewnątrz przez szybę model dostępniejszy był rozkochanemu spojrzeniu niż od wewnątrz sklepu, gdzie zawadzały jakieś plakaty... Przez otwory jego okien można było zobaczyć błękitne obicie kanapek, czerwonawy połysk i tłoczoną skórę wewnętrznych ścianek, wprawione w nie lustra, lampki w kształcie tulipanów... Szerokie okna szły na przemian z węższymi, to pojedynczymi, to znów podwójnymi. W niektórych przedziałach rozścielone już były na noc posiania.

Ówczesny majestatyczny Nord-Express (po pierwszej wojnie światowej to już było nie to samo), składający się wyłącznie z takich właśnie międzynarodowych wagonów, kursował tylko dwa razy tygodniowo i przewoził pasażerów Z Petersburga do Paryża; powiedziałbym prosto do Paryża, gdyby nie trzeba się było - o nie, nie przesiadać, lecz pozwolić przeprowadzić - do identycznego brązowego składu na granicy rosyjsko-niemieckiej (Wierzbołowo-Eydkuhnen), gdzie kończyły się szerokie rosyjskie tory i zaczynały wąskie europejskie, a paliwem zamiast brzozowych bierwion stawał się węgiel.

Potrafię rozsupłać w pamięci co najmniej pięć takich podróży do Paryża, kończących się na Riwierze łub w Biarritz. Wybieram tę, która przypada na rok 1909. Zdaje się, Że moje siostry - sześcioletnia Olga i trzyletnia Helena - zostały w Petersburgu pod opieką niań i ciotek (Helena twierdzi, że nie mam racji, że ona też uczestniczyła w podróży). Ojciec w podróżnym kepi i zamszowych rękawiczkach siedzi z książką w przedziale, który dzieli z Maksem, naszym ówczesnym guwernerem. Mój brat Sergiusz i ja jesteśmy od nich oddzieleni przechodnią toaletową kabinką. Następny przedział, przylegający do naszego, zajmuje matka ze swoją niemłodą pokojówką Nataszą i poirytowanym jamnikiem. Nie mający pary Osip, kamerdyner ojca (w mniej więcej dziesięć lat później pedantycznie rozstrzelany przez bolszewików za to, że zabrał do siebie nasze rowery, zamiast oddać je ludowi) dzieli czwarty przedział z obcym - francuskim aktorem F.

W kwietniu owego roku Peary dotarł do Bieguna Północnego. W maju śpiewał w Paryżu Szalapin. W czerwcu amerykański minister wojny, zatroskany wiadomościami o nowych lęgach zeppelinów, oświadczył, że Stany Zjednoczone zamierzają stworzyć własną flotę powietrzną. W lipcu Bleriot na swoim monoplaniku przeleciał z Calais do Dovru (nałożył drogi, bo zabłądził). Teraz był sierpień. Świerki i bagna północno-zachodniej Rosji przesunęły się we właściwym porządku, nazajutrz przy zwiększonej nieco Szybkości ustąpiwszy miejsca niemieckim sosnom i wrzosom. Na podnoszonym blacie stolika matka gra ze mną w durnia. Dzień nie zaczął jeszcze blaknąć, ale nasze karty, szklanki, sole orzeźwiające w leżącym płasko flakoniku i na drugim optycznym planie zamki walizy, odbijają się ostentacyjnie w szybie okna. Poprzez pola i lasy, w niespodzianych wąwozach, wśród umykających domków, widmowi, fragmentarycznie widziani gracze grają o niklowe i szklane fanty, płynnie sunące przez pejzaż. Ciekawe, że dziś, w 1953 roku w Oregonie, gdzie o tym piszę, widzę w lustrze hotelowego pokoju te same zamki tamtego właśnie, teraz już pięćdziesięcioletniego i zdobionego monogramem, należącego do mojej matki neseseru ze świńskiej skóry, który zabrała jeszcze w podróż poślubną, a który ja w pół stulecia później wożę że sobą: logiczne i symboliczne jest, że z dawnych rzeczy ocalały tylko podróżne.

„Może już dosyć? Jesteś zmęczony“ - mówi matka, po czym zamyśla się, powoli tasując karty. Drzwi na korytarz są otwarte i przez korytarzowe okna widać druty telegraficzne -

sześć cienkich czarnych drutów na bladym niebie wznosi się coraz wyżej z rozczulającym uporem i już wydaje się, że za chwilę dotkną górnej krawędzi okna, ale za każdym razem strąca je jednym machnięciem złośliwy słup i druty muszą podnosić się na nowo z samego dołu.

Kiedy podczas takich podróży zdarzało się, że Nord-Express zwalniał biegu, ażeby majestatycznie przeciągnąć przez duże niemieckie miasto, gdzie zawadzał nieomal o frontony domów, odczuwałem podwójną rozkosz, której nie mógł mi dać ślepy tor końcowej stacji. Widziałem, jak całe miasto z tramwajami niczym zabawki, z zielonymi lipami w okrągłych wypełnionych ziemią obramowaniach i ceglanymi murami, na których łuszczyły się stare reklamy firm meblowych i przewozowych, wpływa do nas, do przedziału, wynurza się ze ściennych luster i wypełnia po brzegi okna korytarza. To zetknięcie expressu i miasta pozwalało mi wyobrazić sobie, że jestem tamtym, na przykład, przechodniem i napawać się w jego zastępstwie widokiem długich, karych, romantycznych wagonów połączonych czarnymi harmonijkami, opatrzonych płomieniejącymi w nisko świecącym słońcu metalowymi literami (*Compagnie Internationale...*), wagonów niespiesznie przesuwających się powszednią ulicą i skręcających stopniowo, z rozbłyskiem wszystkich szyb, za ostatni szereg domów.

Czasami to przemieszanie nakładających się na siebie wrażeń wzrokowych mściło się na mnie. Za drugim szeregiem kołyszących się, wąskich, błękitnych, umykających spod stóp korytarzy, strojne stoliki z białymi stożkami złożonych serwetek i akwamarynowymi butelkami wody mineralnej w szerokookiennym wagonie restauracyjnym wydawały się W pierwszej chwili chłodnym, bezpiecznym azylem, gdzie wszystko nęciło spojrzeniei śmigło wentylatora u sufitu, i przy nakryciach drewniane foremki szwajcarskiej czekolady we fiołkowych papierkach, nawet zapach i lekkie falowanie wielookiego bulionu w odętych filiżankach; w miarę jednak, jak przybliżała się kolej ostatniego fatalnego w skutkach dania, coraz natrętniejsze stawało się poczucie, że przejrzysty wagon, ze wszystkim, co zawiera, łącznie ze sporymi, przechylającymi się w ekwilibrystycznych figurach kelnerami (jakże straszliwie jeden napierał na stół, przepuszczając poza sobą drugiego!) jest niedbale i nieostrożnie wprawiony w pejzaż, przy czym pejzaż ten trwa w złożonym, wielorakim ruchu - dzienny księżyc dziarsko i równo z talerzem jedzie obok, łąki w oddali tworzą płynnie otwierający się wachlarz, pobliskie drzewa pędzą na spotkanie na niewidzialnej huśtawce i nagle, zmieniając rytm biegu, odskakują, przeistaczając się w zielone kangury, podczas gdy równoległe szyny zlewają się z biegnącymi obok, a potem z naszymi, za nimi zaś nasyp z błyskającą trawą męcząco wznosi się, wznosi, aż wreszcie cała ta plątanina różnych szybkości każe małemu obserwatorowi zwrócić zjedzony przed chwilą omlet z gorącą konfiturą.

Tylko nocą czarodziejska nazwa: *Compagnie Internationale des Wagons-Lits et des Grands Express Européens* okazywała się w pebi prawdziwa. Z mojego posłania pod łóżkiem brata (czy spał? czy w ogóle tam był?) obserwowałem w półmroku przedziału, jak trwożnie szły i nie dochodziły donikąd przedmioty, fragmenty przedmiotów, cienie, fragmenty cieni. Coś drewnianego potrzaskiwało i skrzypiało. Przy drzwiach do toalety chwiało się na haku ubranie albo cień ubrania, a do taktu kołysał się chwast granatowej dwudzielnej umbry, osłaniającej od dołu sufitową lampę, która czuwała za lazurem materiału. To kołysanie i przeskoki, te niezdecydowane podchody i zagarnięcia trudno było połączyć w wyobraźni z szalonym lotem nocy na zewnątrz, która - wiedziałem to - galopowała tam, cała w smużących się iskrach.

W domu też czasami próbowałem zwabić sen puszczając świadomość zwykłym torem, wyobrażając sobie, że jestem maszynistą pociągu, ale tutaj pęd unosił mnie naprawdę. Realność zatrzaskiwana sennością błogo opływała świadomość, w miarę jak kierowałem wszystkim tak znakomicie - a beztroscy pasażerowie (troska należała do mnie, troska mnie oszałamiała) dumni z władczego maszynisty spokojnie palili papierosy, wymieniali wiedzące, aprobujące uśmiechy, układali się do snu, drzemali, obsługa pociągu (której, prawdę rzekłszy, nie miałem gdzie podziać) ucztowała po ich odejściu w wagonie restauracyjnym, ja zaś sam, w wyścigowych okularach, cały w smarach i sadzy, wychylam się z budki parowozu, usiłując skroś wiatru wypatrzeć w czarnej dali rubinowy punkcik. Ale potem, już we śnie widziałem całkiem co innego - kolorową szklaną kulę, która potoczyła się pod fortepian albo mały dziecinny parowozik przewrócony na bok, choć jego dziarsko brzęczące kółka kręciły się i kręciły.

Czasem, kiedy pociąg zwalniał biegu, nurt mego snu ulegał zakłóceniu. Obok niedosłyszalnie kroczyły światła; przechodząc każde zaglądało przez tę samą szparkę i świetlny cyrkiel powoli odmierzał ciemność przedziału. Pociąg zatrzymywał się z przeciągłym westchnieniem hamulców Westinghouse'a. Z góry coś nagle spadało (na przykład okulary brata). Bardzo było ciekawie przeczołgać się w nogi łóżka w towarzystwie przekręconej kołdry, ażeby ostrożnie odczepić zasłonkę z dolnego zatrzasku i podciągnąć ją w górę do połowy (wyżej nie pozwalał skraj gómego posłania). Za szybą był baśniowy świat - baśniowy dlatego, że podglądałem go niespodziewanie i bezprawnie, bez najmniejszej szansy współuczestnictwa. Wokół gazowej latarni, jak satelity olbrzymiej planety krążyły ćmy. Rozsypujące się arkusze gazety, poganiane pchnięciami wiatru, jechały po wypolerowanej ławce. Gdzieś w wagonie słychać było przygłuszone głosy, kojące pokaszliwanie. Nie było nic szczególnego w przypadkowym fragmencie bezimiennej stacji, która niewinnie obnażyła się przede mną i ziębła jak moje nogi, ale nie wiedzieć czemu, nie mogłem się od niego oderwać dopóty, dopóki sam nie odjeżdżał - o Boże, jakże płynnie ruszał mój czarodziejski Nord-Express.

Następnego ranka bielała już i pędziła obok zamglona Belgia, *café-au-lait* ze wstrętnym kożuszkiem pasowało jakoś do widoku za oknem - nawilgłych pól, okaleczonych wierzb na Unii rowu, szeregu topoli przekreślonych pasem mgły. Pociąg przychodził do Paryża o czwartej po południu i nawet jeśli tylko nocowaliśmy tam, zawsze zdążyłem coś kupić - na przykład prymitywnie pomalowaną na srebrno mosiężną wieżę Eiffla - nim w południe nie wsiedliśmy do Sud-Expressu, który, jadąc do Madrytu, po drodze, około dziesiątej wieczór dowoził nas do Biarritz, o kilka kilometrów od granicy hiszpańskiej.

2

Biarritz w tamtych latach zachowywało jeszcze swój delikatny koloryt. Zakurzone jeżynowe krzewy i porośnięte zielskiem terrains à vendre, pełne ślicznych geometrid, obramiały białą drogę, prowadzącą do naszej willi. Wtedy dopiero budowano Carlton, musiało upłynąć trzydzieści sześć lat, nim generał McCroskey zajął królewskie apartamenty w *Hotel du Palais*, zbudowanym tu, gdzie stał kiedyś pałac, w którym w latach sześćdziesiątych gibkie medium Daniel Home został podobno przychwycony na tym, że bosą stopą (dłonią wywołanego ducha) głaskał cesarzową Eugenię po ufnym policzku. Na kamiennej promenadzie przed kasynem dobrze znająca życie niemłoda kwiaciarka o fioletowych brwiach zręcznie wpinała w butonierkę jakiemuś potentatowi w cywilu zwięzłą piąstkę goździka, a on zezował na jej wdzięczące się palce i po lewej stronie twarzy nabrzmiewała mu fałda podbródka. Wzdłuż promenady, na drugim planie plaży spoglądającej w blask morza, zajmowali płócienne krzesła rodzice dzieci, bawiących się w piasku na przedzie.

Wydelegowany tam czytelnik łatwo dostrzeże pomiędzy nimi także mnie: klęczę na gołych kolanach i przy pomocy szkła powiększającego próbuję zapalić znaleziony w piasku grzebień. Wytworne białe spodnie mężczyzn wyglądałyby dziś jakby komicznie zbiegły się w praniu; panie zaś w letnim sezonie owego roku nosiły cieliste albo perłowo-szare lekkie płaszczyki z jedwabnymi wyłogami, kapelusze o szerokich rondach i dużych główkach, gęste, haftowane białe woalki, wszystko zaś było w koronkowych falbankach - bluzki, rękawy, parasolki. Od morskiego wiatru wargi stawały się słone: plaża chwiała się jak kwiatowa rabata, z szaleńczą szybkością mknął przez nią przelotny motyl, oranżowy z czarną obwódką. PrzechodziU sprzedawcy wszelkiego nęcącego paskudztwa - orzeszków trochę słodszych niż morze, kręconych złotych karmelków, fiołków w cukrze, lodów w kolorze deUkatnej zieleni i ogromnych, łamhwych, wklęsłych wafli, wyjmowanych z czerwonej blaszanej beczułki; stary waflarz z tym ciężarem na pochylonych plecach szedł szybko przez głęboki mączysty piach, a kiedy go przywołano, jednym szarpnięciem rzemienia ściągał z ramion na piasek i stawiał swoje czerwone pudło, potem ocierał twarz z potu i otrzymawszy jednego sou, palcem wprawiał w terkotliwy ruch strzałkę loteryjnego szczęścia, obracającą się po tarczy na pokrywie beczułki: fortuna winna była określić wielkość porcji, ale im większy wskazywała kawałek wafla, tym bardziej żal mi było handlarza.

Ceremoniał kąpieli odbywał się w innej części plaży. Zawodowi baigneurs, ogromni Baskowie w czarnych kostiumach kąpielowych, pomagali paniom i dzieciom pokonywać lęk i przypływ. Baigneur ustawiał klienta plecami do podtaczającej się fali i trzymał go za rączkę, póki wirujący ogrom, zieleniąc się i pieniąc, nie zwalał się od tyłu, jednym potężnym pchnięciem albo zbijając klienta z nóg, albo wznosząc go ku mokremu, roztrzaskanemu słońcu wraz z foką-ratownikiem. Po kilku takich starciach z żywiołem połyskliwy baigneur prowadził cię - ciężko dyszącego, wilgotnie posapującego i drżącego z zimna - na wywalcowane przez przypływ pasmo piasku, gdzie niezapomniana bosa starucha z siwą szczeciną na podbródku - mityczna matka wszystkich tych kąpielowych oceanu - szybko zdejmowała ze sznura i narzucała na ciebie włochaty płaszcz z kapturem. W pachnącej sosną kąpielowej kabince przejmował cię inny służący, garbus o promiennych zmarszczkach: pomagał wywikłać się z nasiąklego wodą śliskiego kostiumu, ciężkiego od oblepiającego piasku i przynosił miednicę z rozkosznie gorącą wodą do umycia nóg. Od niego dowiedziałem się i na wieki wieków zachowałem w szklanej przegródce pamięci, że w języku Basków motyl nazywa się misericoletea.

3

Pewnego razu, kiedy bawiłem się na plaży, okazało się nagle, że kopię łopatką tuż koło francuskiej dziewczynki Colette. W listopadzie miała skończyć dziesięć lat, ja skończyłem dziewięć w kwietniu. Z powagą zwróciła mi uwagę na wyszczerbiony odłamek fioletowej muszelki, który zadrasnął jej wąską długopalcą stopę. „Je suis parisienne - oświadczyła - et vous, are you English?“ W jej szarozielonkawych oczach widziałem wokół źrenicy rude centki, niczym przeprawiające się wpław piegi, którymi usiana była jej trochę elfowata wdzięczna twarz o zadartym nosku. Ponieważ zgodnie z angielską modą nosiła granatową ciepłą bluzę i granatowe wąskie, zrobione na drutach spodnie, podwinięte pod kolana, wziąłem ją jeszcze poprzedniego dnia za chłopca, a teraz słuchając jej porywistego szczebiotu ze zdziwieniem patrzyłem na bransoletkę na szczuplutkim przegubie i jedwabiste spirale brązowych loków, opadających spod jej marynarskiej czapeczki.

O dwa lata wcześniej na tej samej plaży zajęty byłem gorąco inną rówieśniczką - śliczną, na morelowo opaloną, z pieprzykiem pod sercem, nieprawdopodobnie kapryśną Ziną, córką serbskiego lekarza; a jeszcze wcześniej, w Bollier, kiedy miałem chyba pięć lat, zakochany byłem w rumuńskiej ciemnookiej dziewczynce o dziwnym nazwisku Ghica. Poznawszy Colette zrozumiałem, że teraz to jest naprawdę. W porównaniu z innymi dziećmi, z którymi bawiłem się na plaży w Biarritz, było w niej jakieś rozczulające czarodziejstwo; zrozumiałem zresztą, że jest mniej szczęśliwa ode mnie, mniej kochana: siniak na jej nadgarstku kreskowanym delikatnym puszkiem pozwalał snuć okropne domysły. Pewnego razu, kiedy upadł jej krab powiedziała: „On szczypie tak mocno jak moja mama". Wymyślałem rozmaite bohaterskie sposoby matowania jej od rodziców - pana o wypomadowanych wąsach i pani o owalnej, „zrobionej", niczym pokrytej emalią twarzy; moja matka zapytała o nich kogoś ze znajomych, kto odparł wzruszając ramionami: „Ce sont des bourgeois de Paris". Wytłumaczyłem sobie po swojemu to lekceważenie, wiedziałem bowiem, że przyjechali z Paryża do Biarritz własną granatowo-żółtą limuzyną (co w roku 1909 zdarzało się niezbyt często), a dziewczynkę z foksterierem i angielską guwernantką wysłali nudnym, „siedzącym" wagonem zwyczajnego rapide.

Foksterier był egzaltowaną suczką o ruchliwym zadzie, z dzwoneczkami na obroży. Zdarzało jej się z czystej radości życia pić morską wodę, zaczerpniętą przez Colette do niebieskiego wiaderka; widzę jaskrawy ozdabiający je rysunek - żagiel, zachód słońca i latarnia morska - nie mogę sobie jednak przypomnieć, jak wabił się piesek i sprawia mi to przykrość.

W ciągu dwóch miesięcy pobytu w Biarritz moja namiętność do tej dziewczynki omal nie przerosła pasji do motyli. Widywałem ją tylko na plaży, ale marzyłem o niej nieustannie. Jeśli przychodziła zapłakana, wzbierała we mnie bezradna udręka. Nie mogłem wytłuc komarów, które pokłuły jej szczuplutką szyję, ale za to skutecznie stłukłem rudego chłopaka, który wyrządził jej jakąś przykrość. Wpychała mi garsteczkami cukierki ciepłe od jej dłoni. Pochyliliśmy się kiedyś oboje nad rozgwiazdą, wijące się końce jej loków załaskotały mnie w ucho i nagle ona pocałowała mnie w policzek. Ze wzruszeniem zdołałem tylko wymamrotać: „You little monkey".

Miałem złotą monetę, luidora, i nie wątpiłem, że wystarczy tego na ucieczkę. Dokąd zamierzałem uprowadzić Colette? Do Hiszpanii? Do Ameryki? W góry nad Pad? „La-bas, la-bas, dans la montagne", jak śpiewała Carmen w operze, której niedawno wysłuchałem. Pamiętam dziwną, zupełnie dorosłą, przejrzystą i bezsenną noc: leżałem w łóżku, wsłuchany w powtarzające się uderzenia oceanu i układałem plan ucieczki. Ocean wznosił się, wymacywał na oślep w ciemności i ciężko opadał na płask.

O samej ucieczce nie mam prawie nic do opowiedzenia. Pamiętam tylko przebłyski: Colette z odwietrznej strony łopoczącego namiotu posłusznie nakłada płócienne pantofle, podczas gdy ja wpycham do brązowego papierowego worka składaną siatkę na andaluzyjskie motyle. Uciekając przed pościgiem wśliznęliśmy się - postępując najoczywiściej wbrew prawu - w nieprzeniknioną ciemność małego kinematografu w pobliżu kasyna. Siedzieliśmy tam, czule splótłszy ręce nad foksterierem, który na kolanach Colette od czasu do czasu pobrzękiwał dzwoneczkiem i oglądaliśmy febryczny, mżący czarnym deszczykiem po białym tle, ale bardzo interesujący film, walkę byków w San Sebastian. Ostatni przebłysk - guwerner prowadzi mnie wzdłuż promenady: jego długie nogi przesuwają się z groźną świadomością celu; mój dziewięcioletni brat, którego prowadzi trzymając za drugą rękę, raz po raz wybiega naprzód i podobny w swych dużych okularach do sowiego pisklęcia, wpatruje się ze zgrozą i zaciekawieniem w niezraącenie spokojnego przestępcę.

Wśród drobiazgów kupionych przed wyjazdem z Biarritz najbardziej lubiłem nie byczka z czarnego kamienia o złoconych rogach i nie kolekcję huczących muszli, lecz dość symboliczny, jak się teraz okazuje, przedmiocik - rzeźbioną obsadkę z pianki z malutką soczewką wprawioną w mikroskopijne okienko na przeciwległym do stalówki końcu. Jeśli przymrużyło się jedno oko, a drugie przyłożyło do soczewki, ale tak, żeby nie zawadzało promienne teczowanie własnych rzęs, można było zobaczyć niczym w czarodziejskim okienku kolorową fotografię zatoki i skały, uwieńczonej latarnią morską. I tu właśnie, przy tym najsłodszym drgnieniu Mnemosyne następuje cud: znowu próbuję przypomnieć sobie imię foksteriera - i oto - zaklęcie działa! Z oddalonego brzegu, z gładko połyskujących wieczornych piasków przeszłości, gdzie każde zagłębienie odciśnięte piętą Piętaszka wypełnia się wodą i zachodem słońca, dociera, leci, rozbrzmiewając w dźwięcznym powietrzu: Floss, Floss, Floss!

Po drodze do Rosji zatrzymaliśmy się na jeden dzień w Paryżu, dokąd zdążyła już wrócić Colette. Tam w rdzawym, urękawiczonym już parku, pod chłodnym błękitem nieba, widziałem Colette po raz ostatni, jak to zapewne zostało umówione pomiędzy jej guwernantką a naszym Maksem. Pojawiła się z kółkiem, wszystko w niej było zręczne i pełne gracji, zgodnie z jesienną paryską *tenue-de-ville-pour-fillettes*. Wzięła z rąk guwernantki i wręczyła rozradowanemu bratu pożegnalny upominek, pudełko migdałów w barwionym cukrze - przeznaczony oczywiście wyłącznie dla mnie; i od razu ledwie na mnie spojrzawszy, pobiegła, poganiając kijkiem swoje połyskliwe kółko po żwirze, poprzez kolorowe plamy słońca, dokoła basenu, pełnego opadłych liści kasztanów i klonów. Liście te mieszają się w mojej pamięci ze skórą jej bucików i rękawiczek; i był tam, pamiętam, jakiś szczegół - chyba wstążeczka przy jej szkockiej czapeczce, albo wzór na pończochach - przypominający tęczowe spirale we wnętrzu tych małych szklanych kulek, którymi za granicą dzieci grają w kamyki. I teraz oto stoję i trzymam ten kawałeczek lśniącej barwistości, nie bardzo wiedząc, do czego go dopasować, a ona tymczasem okrąża mnie coraz szybciej, tocząc swoje czarodziejskie kółko, aż wreszcie rozpływa się w delikatnych cieniach, padających na parkowy żwir od splotów drucianych łuków, którymi są ogrodzone astry i trawnik.

Rozdział ósmy

1

Zaraz odbędzie się tu pokaz latarni magicznej, ale najpierw proszę mi pozwolić na niewielki wstęp.

Urodziłem się 10 kwietnia 1899 roku według starego stylu w Petersburgu; brat mój Sergiusz również się tam urodził 28 lutego następnego roku. Gdy weszliśmy w wiek chłopięcy Angielki i Francuzki ustępowały stopniowo rodzimym wychowawcom i korepetytorom, przy czym najmując ich mój ojciec zdawał się wypełniać dowcipnie pomyślany plan wybierania za każdym razem przedstawiciela innego środowiska lub plemienia.

Elementem prehistorycznym na tej liście był najmilszy Wasilij Martynowicz, nauczyciel wiejski, który latem 1905 roku przychodził, żeby uczyć nas pisać i czytać po rosyjsku. Pomaga mi on związać w całość tę serię, bowiem moje ostatnie o nim wspomnienie odnosi się do wielkanocnych ferii 1915 roku, kiedy brat i ja przyjechaliśmy na narty do naszej ośnieżonej Wyry wraz z ojcem i niejakim Wołginem, ostatnim i najgorszym naszym guwernerem. Łagodny Wasilij Martynowicz zaprosił nas „na przekąskę"; przekąska okazała się prawdziwą ucztą własnoręcznie przez niego przygotowaną, włącznie ze wspaniałymi, żółtymi lodami śmietankowymi, do robienia których miał specjalny przyrząd. Jaskrawo rysują mi się w pamięci ostro rzeźbione zmarszczki jego poczerwieniałego czoła i znakomicie imitowany wyraz zadowolenia na twarzy mego ojca, gdy pojawiło się pieczyste - zając w śmietanie - którego nie znosił.

W pokoju Wasilija Martynowicza w murowanym budynku zbudowanej przez ojca wzorowej szkoły było za gorąco. Moje nowe narciarskie buty w miarę, jak tajały, okazywały się mniej nieprzemakalne niż przypuszczałem i uczucie wilgoci, ściskające kostki stóp łączyło się nieprzyjemnie z ciepłem wełnianej koszuli. Oczami łzawiącymi jeszcze od oślepiającego śniegu usiłowałem obejrzeć szczegółowo wiszący na ścianie tak zwany „typograficzny" portret Lwa Tołstoja, tj. portret ułożony z drukowanego tekstu, w danym przypadku Gospodarza i robotnika, w całości wchłoniętego przez podobiznę autora, przy czym uderzająco przypominała ona samego Wasilija Martynowicza. Zabraliśmy się już do nieszczęsnego zająca, gdy naraz rozwarły się na oścież drzwi i zadyszany, oszroniony,

opatulony w babską wełnianą chustę służący z Batowa, Christofor, wniósł bokiem, z głupawym uśmiechem, duży kosz ze sterczącymi flaszkami i wszelkim jadłem, które babcia zimująca w swoim Batowie nietaktownie uznała na stosowne przysłać nam na wypadek, gdyby Wasilij Martynowicz nie nakarmił nas należycie. Zanim gospodarz zdążył się obrazić, ojciec kazał lokajowi wracać z nie rozpakowanym koszem i krótkim bilecikiem po francusku, który babcię zdumiał zapewne tak samo jak wszystkie postępki jej syna. W koronkowych mitenkach, obfitym jedwabnym peniuarze, upudrowana, z wyokrągloną, by wyglądała na muszkę, czarną brodaweczką na różowym policzku wydawała się wystylizowaną postacią w niedużym historycznym muzeum i takim samym eksponatem wydawała się jej błękitna kanapka, na której leżała całymi dniami wachlując się wachlarzem z kości słoniowej, zajadając okrągłe cukierki - boulles de gomme i wciąż ubolewając nad tym, że jakieś mroczne siły owładnęły najukochańszym z jej synów i odepchnęły go od świetnej urzędniczej kariery. Nie mogła się dość nadziwić zwłaszcza temu, jakim sposobem mój ojciec, ceniący radości dostępne tylko przy dużym majątku, mógł ryzykować bogactwo, stać się liberałem, tj. zwolennikiem rewolucji, która (jak to zupełnie słusznie przewidziała) winna w ostatecznym rachunku doprowadzić go do nędzy.

2

Wasilij Martynowicz był synem cieśli. Następny obrazek w mojej latarni magicznej wyobraża młodego człowieka, nazwę go A., syna diakona. Na spacery z bratem i ze mną dość chłodnego lata 1907 chodził ubrany w czarną pelerynę ze srebrną sprzączką przy szyi. W leśnej gęstwinie, na zarośniętej ścieżce pod drzewem, na którym powiesił się kiedyś tajemniczy włóczęga, A. zabawiał nas dość bluźnierczym widowiskiem. Odgrywając jakąś demoniczną istotę, bijąc czarnymi wampirzymi skrzydłami, krążył powoli wokół starej, ponurej osiki, bezpośredniej uczestniczki dramatu. Kiedyś w wilgotny ranek podczas tego tańca płaszcza strącił niechcący z własnego nosa okulary i właśnie pomagając w ich szukaniu znalazłem u stóp drzewa samca i samiczkę bardzo rzadkiego w naszych stronach amurskiego zawisaka - parkę ledwie wyklutych, zachwycająco aksamitnych, fiołkowo-popielatych istot, spokojnie zwisających in copula ze źdźbła trawy, którego uczepiły się szynszyl owymi łapkami. Jesienią tegoż roku A. pojechał z nami do Biarritz i tam właśnie nas opuścił, pozostawiając na poduszce wraz z pożegnalną kartką maszynkę do golenia Gilette wczesnego typu, najświeższą nowość, którą podarowaliśmy mu na imieniny. Rzadko mi się przydarza, abym nie wiedział, które wspomnienie jest moje własne, a które zostało tylko przeze mnie przefiltrowane i jest z drugiej ręki, tutaj zaś waham się: w wiele lat później moja matka ze śmiechem opowiadała o płomiennej miłości, którą bezwiednie wzbudziła. Wydaje mi się, że przypominam sobie uchylone drzwi do bawialni i tam, pośrodku zielonego dywanu klęczącego przed moją znieruchomiałą ze zdumienia matką czarnego A., nieomal załamującego ręce; jednakże okoliczność, że poprzez gestykulacje nieszczęśnika widzę jego powiewający romantyczny płaszcz, naprowadza mnie na myśl, czy nie przeflancowalem przypadkiem leśnego tańca do słonecznego pokoju naszego mieszkania w Biarritz, pod którego oknami, na placu w ogrodzonym liną narożniku, miejscowy aeronauta Sigismond Lejoyeux nadmuchiwał żółty balon.

Następnym naszym guwernerem - zimą 1907 roku był sympatyczny Ukrainiec, o ciemnych wąsach i jasnym uśmiechu. On również umiał pokazywać sztuki, na przykład cudowną sztuczkę z ginącą monetą. Moneta położona na arkuszu papieru przykryta zostaje szklanką i natychmiast znika. Proszę wziąć zwyczajną szklankę. Proszę dokładnie zalepić otwór krążkiem kratkowanego albo liniowanego papieru obciętego równo z brzegiem szklanki. Na

taki sam papier leżący na stole proszę położyć dwudziestokopiejówkę. Szybkim ruchem proszę nakryć monetę przygotowaną szklanką. Proszę jednak uważać przy tym, aby kratki albo linijki na arkuszu papieru i na szklance nałożyły się na siebie. W przeciwnym wypadku nie będzie złudzenia zniknięcia. Zbieżność deseniu to jeden z cudów natury. Cuda natury wcześnie zaczęły mnie interesować. Pewnego razu, kiedy nasz sztukmistrz miał wolny dzień, dostał na ulicy ataku serca i niezbyt dociekliwa policja, znalazłszy go leżącego na trotuarze, wpakowała go do aresztu z kilkoma pijakami.

Następny obrazek jest na pozór odwrócony do góry nogami. Widać na nim trzeciego guwernera stojącego na głowie. Był to potężny Łotysz, który umiał chodzić na rękach, podnosił wysoko w powietrze meble, żonglował ogromnymi czarnymi ciężarkami i mógł w sekundę napełnić normalny pokój odorem całej kompanii żołnierzy. Czasami musiał karać mnie za taką czy inną psotę (pamiętam na przykład, jak pewnego razu, kiedy schodził po schodach upuściłem zręcznie z górnego podestu kamienną kulkę prosto na jego ponętną, niezwykle twardą z wyglądu i odgłosu głowę); wybierając karę stosował niebanalny chwyt pedagogiczny: wesoło proponował, żebyśmy obaj nałożyli rękawice i poćwiczyli boks, po czym podśmiewając się, parował moje dziecinne ataki okropnymi, parzącymi i wstrząsającymi uderzeniami w twarz, sprawiając mi nieznośny ból. Wolałem co prawda nierówne walki niż system naszej biednej Mademoiselle, dla której, aż do odrętwienia przegubu, trzeba było ze dwieście razy pod rząd przepisywać kame zdanie, w rodzaju Qui aime bien, châtie bien, nie nazbyt jednak rozpaczałem, kiedy dowcipny atleta odszedł po niedługim, ale burzliwym pobycie.

Potem był Polak. Był to student medycyny z dobrej rodziny, wytworniś i piękny mężczyzna o wilgotnych brązowych oczach i gęstych gładkich włosach, podobny nieco do słynnego w owych latach komika Maxa Lindera, na którego cześć tak go właśnie nazwę. Maks utrzymał się od roku 1908 do 1910. Pamiętam, w jaki zachwyt wprawił mnie zimowym rankiem w Petersburgu, kiedy nagłe rozruchy na placu zakłóciły nasz spacer: kozacy o głupich i rozwścieczonych twarzach wymachując czymś, zapewne nahajkami, napierali na tłum, sypały się czapki, na śniegu czerniał kalosz, w pewnej zaś chwili wyglądało na to, że jeden z konnych durniów kieruje się ku nam. Nagle z dziecinną rozkoszą spostrzegłem, że Maks wysunął do połowy z kieszeni rewolwer, ale jeździec skręcił w zaułek. Mniej interesująca była inna przerwa podczas jednego z naszych spacerów, kiedy poprowadził nas na spotkanie ze swoim bratem, wymizerowanym księdzem, którego delikatne dłonie w roztargnieniu pokrywały nad naszymi prawosławnymi czuprynami, podczas gdy obaj z Maksem rozważali po polsku jakieś czy to polityczne, czy rodzinne sprawy. Maks nosił jedwabne fiołkowe skarpetki i był, zdaje się, ateuszem. Latem w Wyrze ćwiczył się z moim ojcem w strzelaniu, siekąc kulami zardzewiałą tablicę „Polowanie wzbronione“ przybitą przez dziadka Rukawisznikowa do pnia któregoś z wiekowych świerków. Przedsiębiorczy, zręczny i silny Maks uczestniczył we wszystkich naszych grach i dlatego dziwiliśmy się, kiedy w połowie lata 1909 roku zaczął się naraz tłumaczyć migrenami i ogólną lassitude, nie chcąc kopać ze mną piłki albo odmawiając wyprawy nad rzekę do kąpieli. Znacznie później dowiedziałem się, że latem Maks nawiązał romans z mężatką mieszkającą o kilka wiorst od nas; ni stąd, ni zowąd okazał się namiętnym miłośnikiem psów: w ciągu dnia raz po raz znajdował chwilkę, żeby odwiedzić psiarnię, gdzie karmił i ugłaskiwał podwórzowe brytany. Spuszczano je z łańcuchów z nastaniem nocy, a on spotykał je pod osłoną ciemności, kiedy przekradał się z domu w zarośla jaśminu i spirei, gdzie jego rodak, kamerdyner mego ojca, chował dla niego „podróżny“ rower Dux ze wszystkimi akcesoriami - karbidem i latarką, dwoma rodzajami dzwonków, dodatkowym hamulcem, pompką, trójkątnym skórzanym futerałem z narzędziami i nawet zaciskami do widmowo białych spodni Maksa. Poboczami wiejskich

dróg i leśnymi ścieżkami, garbatymi od przecinających je w poprzek korzeni, odważny i namiętny Maks jechał - wedle wspaniałej tradycji wielkoświatowych zdradna odległe miejsce spotkania w pawilonie myśliwskim. Witały go w drodze powrotnej zimne mgły trzeźwego poranka i czwórka zapominalskich psów, a już koło ósmej zaczynał się nużąco nowy dzień wychowawcy. Myślę, że Maks z pewną ulgą opuścił miejsce swych conocnych wyczynów, ażeby towarzyszyć nam w drugim wyjeździe do Biarritz. Tam wziął dwudniowy urlop, aby odbyć pokutniczą wyprawę do uświęconego Lourdes, dokąd pojechał zresztą w towarzystwie ładnej i rezolutnej Irkmdki, guwernantki mojej maleńkiej koleżanki z plaży - Colette. Przeszedł od nas na posadę do jednego z petersburskich szpitali, a potem, jak słyszałem, był znanym lekarzem w Polsce.

Po katoliku przyszedł luteranin, do tego pochodzenia żydowskiego. Nazwę go Leńskim. Jeździł z nami do Niemiec w 1910 roku, po czym ja wstąpiłem do Szkoły Teniszewa, brat zaś do Pierwszego Gimnazjum, a Leński pozostał, aby pomagać nam w lekcjach do roku 1913. Urodził się w biednej rodzinie i chętnie wspominał, jak pomiędzy ukończeniem gimnazjum na południu, a wstąpieniem na Uniwersytet Petersburski zarabiał na życie ozdabiając morskimi widoczkami płaskie, wyszlifowane przez fale kamienie, które sprzedawał potem jako przyciski na biurko. Przyjechał do nas z dużym portretem petersburskiego pedagoga Gurewicza, którego bardzo zręcznie, włosek po włosku, wyrysował ołówkiem. Ten jednak, nie wiedzieć czemu, odmówił kupienia portretu, który już u nas został i wisiał w jakimś korytarzu. „Jestem oczywiście impresjonistą“ - rzucał niedbale Leński, opowiadając o tym.

Mnie, jako początkującego malarza, Leński od razu zdumiał kontrastem między dość na ogół zgrabnym przodem a przygrubą odwrotnością. Miał różową owalną twarz, miniaturową rudą bródkę, toczony nos ściśnięty nagim *pince-nez*, jasne i też jakoś obnażone oczy, cienkie malinowe wargi i bladoniebieską ogoloną głowę z wstydliwie pulchnymi fałdkami skóry. Nie od razu się do mnie przyzwyczaił i wspominam z żalem, jak wydarłszy mi z rąk „ohydną karykaturę“, oddalał się dużymi krokami przez pokoje wyrskiego domu w kierunku werandy (objawiając mi właśnie ów karpiokształtny zarys szerokiego korpusu, który przed chwilą tak wiernie narysowałem) i cisnąwszy rysunek na stół przed moją matką wykrzykiwał: „Oto ostatnie dzieło pani zdegenerowanego syna!“.

Pojawienie się nowego preceptora zawsze prowokowało nas do awantur, ale tym razem poddaliśmy się z bratem bardzo szybko, odkrywszy w Leńskim trzy podstawowe cechy: był znakomitym nauczycielem; nie miał poczucia humoru; w subtelnym przeciwieństwie do wszystkich swoich poprzedników potrzebował naszej szczególnej obrony. W 1910 roku, kiedy pewnego razu szliśmy z nim ulicą w Kissingen, przed nami zaś szli dwaj rabini, z żarem rozprawiając w jidisz, nagle Leński z jakąś spazmatyczną i oschłą emfazą, która nas stropiła, powiedział: „Przysłuchajcie się dzieci, oni wymawiają nazwisko waszego ojca!“. W naszym domu Leński czuł się „moralnie bezpieczny“, jak to określał, jedynie wówczas, gdy przy obiadowym stole było któreś z rodziców. Kiedy wyjeżdżali, owo poczucie bezpieczeństwa mogło zostać natychmiast naruszone przez jakiś wybryk ze strony którejkolwiek z naszych krewniaczek albo przypadkowego gościa. Dla moich ciotek wystąpienia ojca przeciwko pogromom i innym obrzydliwościom życia rosyjskiego i światowego stanowiły fanaberię rosyjskiego ziemianina, który zapomniał co winien jest swemu carowi; nieraz podsłuchiwałem, co mówiły na temat pochodzenia Leńskiego, knowań Kahału czy pobłażliwości mojej matki, i zdarzało się, że nawygadywałem im za to różnych grubiaństw, potem zaś wstrząśnięty własną brutalnością, szlochałem w klozecie. Piękną czystość moich uczuć, jeśli nawet wynikała po części ze ślepego uwielbienia dla rodziców, potwierdzało również to, że Leńskiego nie lubiłem. Było coś bardzo drażniącego w jego gardłowym głosie,

skrupulatnej prawidłowości wymowy, wyszukanej pedanterii, manierze nieustannego podcinania miękkich paznokci jakimś specjalnym przyrządzikiem. Skarżył się mojej matce, że obaj z bratem jesteśmy cudzoziemcami, paniczykami, snobami i objawiamy patologiczną obojętność wobec Gonczarowa, Grigorowicza, Mamina-Sybiraka, którymi rzekomo zaczytują się normalni chłopcy. Uzyskawszy zezwolenie na to, aby naszemu dzieciństwu narzucić bardziej demokratyczne obyczaje, w Berlinie przeniósł mnie i brata z Adlonu do ponurego mieszczańskiego pensjonatu *Modern* przy smutnej Privatstrasse (bocznica Potsdamerstrasse), a pełne wdzięku, usłane strzyżonymi chodnikami, połyskliwie lustrzane i tak gorąco ukochane przeze mnie Nord-Express i Orient-Express zastąpione zostały przez obrzydliwie brudne podłogi i odór cygar rozchybotanych i głośnych *Schnellzugów* albo mdłą przytulność rosyjskich wagonów z jakimiś posługaczami zamiast konduktorów. W miastach zagranicznych, w Petersburgu zresztą także, nieruchomiał przed wystawami sklepów z wszelkimi praktycznymi przedmiotami, które nas wcale nie interesowały. Zamierzał ożenić się, ale nie miał nic prócz pensji i planując przyszłe urządzenie domu usiłował z niesamowicie skrzętnym wyrachowaniem przemóc źle usposobiony do niego los. Od czasu do czasu jego budżet naruszały nieprzemyślane porywy. W tym pedancie żył marzyciel i awanturnik, człowiek interesu i staromodny, naiwny idealista. Zauważywszy na Friedrichstrasse jakąś lafiryndę pożerającą wzrokiem kapelusz z pąsową plerezą umieszczony na wystawie magazynu mód, natychmiast kupił jej ten kapelusz i długo nie mógł odczepić się od wstrząśniętej Niemki. We własnych nabytkach poczynał sobie z większą rozwagą, Sergiusz i ja cierpliwie wysłuchiwaliśmy jego szczegółowo przedstawianych marzeń, kiedy ukazywał naszym oczom każdy kątek wygodnego choć skromnego mieszkania, które meblował w wyobraźni dla żony i siebie. Pewnego razu jego przenoszące się z przedmiotu na przedmiot marzenie skoncentrowało się na kosztownym żyrandolu w sklepie Alexandra na Newskim, gdzie sprzedawano przedmioty mieszczańskiego luksusu w najgorszym guście. Nie chcąc, by sprzedawca domyślił się wokół czego on tak krąży, Leński powiedział nam, że zabierze nas byśmy obejrzeli żyrandol jedynie pod warunkiem, że powstrzymamy się od okrzyków zachwytu i zbyt wymownych spojrzeń. Zachowując rozmaite środki ostrożności i dla pozoru podziwiając jakąś etażerkę, doprowadził nas do okropnej ośmiornicy z brązu, z oczami z granatów i dopiero wtedy westchnieniem dał do zrozumienia, że to właśnie jest upragniona przezeń rzecz. Z takimi samymi ostrożnościami, ściszając głos, aby nie zbudzić nieprzyjaznego losu powiedział, że zapozna nas w Berlinie ze swoją narzeczoną, którą ściągnął tam listownie. Ujrzeliśmy niewysoką pełną wdzięku panienkę o oczach gazeli pod czarną woalką, z przypiętym do gorsu bukiecikiem fiołków. Było to, jak pamiętam, przed apteką na rogu Potsdamer i Privatstrasse i Leński cichym głosem prosił, byśmy nie mówili rodzicom o obecności Mirry Grigoriewny w Berlinie, a na wystawie człowieczek z mechanicznej reklamy bez końca powtarzał na swym kartonowym policzku wzdłuż różowej ścieżki, oczyszczonej od namalowanego mydlą, ruch golenia; przejeżdżały z łoskotem tramwaje i padał już śnieg.

3

Zbliżamy się teraz do tematu obecnego rozdziału. Zimą 1911 albo 12 roku Leńskiemu wpadł do głowy niesłychany pomysł: wynająć u przyjaciela, Borysa Naumowicza, który popadł w tarapaty finansowe, latarnię magiczną („z kondensatorem o długiej soczewce“ powtarza Mnemosyne niczym papuga) i mniej więcej dwa razy w miesiącu w niedzielę urządzać u nas na Morskiej ogólnokształcące seanse, obficie inkrustowane lekturą wybranych tekstów, a przeznaczone dla grupy chłopców i dziewcząt. Uważał, że demonstrowanie tych obrazów będzie miało nie tylko znaczenie wychowawcze dla całej grupy, ale nauczy też brata i mnie

lepiej współżyć z innymi dziećmi. W pogoni za tym straszliwym i niewykonalnym marzeniem zgromadził wokół nas (dwóch struchlałych zajączków - tu bratu byłem bratem) rekrutów różnych kategorii: naszych kuzynów i kuzynki; niezbyt interesujących rówieśników, z którymi spotykaliśmy się na dziecięcych balach i zabawach przy choince; naszych szkolnych kolegów; dzieci naszej służby. Aparat obsługiwał Borys Naumowicz, tajemniczy i bardzo smutny z wyglądu mężczyzna, dźwięcznie tytułowany przez Leńskiego „kolegą". Nie zapomnę nigdy pierwszego „seansu". Mnich z nowicjatu, uciekłszy z górskiego klasztoru, wędruje w habicie po kaukaskich zboczach i piargach. Jak to zwykle bywa u Lermontowa, poemat łączy nieznośne prozaizmy z najczarowniejszymi słownymi mirażami. Poemat liczy przeszło siedemset linijek i ta mnogość wierszy rozdzielona została przez Leńskiego pomiędzy zaledwie cztery szklane obrazki, piąty rozbiłem niezręcznym ruchem przed rozpoczęciem spektaklu. Ze względu na niebezpieczeństwo pożaru wybrano dość duży pokój, w rogu którego znajdowała się wanna i kocioł z wodą. Jako widownia pokój ten okazał się za mały i trzeba było ciasno zsunąć krzesła. Na lewo ode mnie siedziała dziesięcioletnia wiercipięta o delikatnej cerze barwy różowawej muszli; siedziała tak blisko, że przy każdym poruszeniu czułem górną kostkę jej biodra; dziewczynka to tarmosiła medalion, to wsuwała dłoń między kark i zasłonę pachnących włosów, to ze stukotem zsuwała kolanka pod szeleszczącym jedwabiem żółtej podszewki przeświturającej przez koronkę sukienki, co budziło we mnie doznania, jakich Leński nie przewidział. Niedługo zresztą przesiadla się. Po mojej prawej ręce siedział syn kamerdynera mego ojca, całkowicie znieruchomiały chłopiec w marynarskim ubranku; był niesłychanie podobny do Następcy Tronu i niezwykłym zbiegiem przypadku cierpiał na tę samą tragiczną chorobę - hemofilię, tak, że kiika razy do roku granatowa dworska kareta przywoziła pod nasz dom znakomitego lekarza i długo czekała pod ukośnym śniegiem, który wciąż padał i padał, a jeśli się uchwyciło spojrzeniem śnieżynkę, spadającą obok okna, można było dostrzec - gdy spokojnie opadała - jej prosty, nieregularny kształt, a nawet kołysanie.

Światło zgasło. Leński tonem rezonera ze sztuki obyczajowej zaczynał czytać:

Kędy Aragwa i Kura - dwie rzeki
Jakby dwie siostry na gruzińskiej niwie
Łączą się z sobą i płyną burzliwie
Był stary klasztor...[7]

Na prześcieradle posłusznie zjawił się klasztor i zastygł tam w malowniczym, ale tępym odrętwieniu (gdyby tak przeleciał nad nim bodaj jeden jerzyk!) na przeciąg dwustu wierszy, po czym zastąpiony został sumaryczną Gruzinką obciążoną etnograficznym naczyniem. Za każdym razem, gdy niewidzialny kolega usuwał bez pośpiechu przezrocze z projektora obraz ześlizgiwał się z ekranu bardzo nawet żwawo, jak gdyby zasada powiększania wpływała nie tylko na wyobrażenie gór i Gruzinów, ale też na szybkość, z jaką ześlizgiwali się, gdy wycofywano płytkę. Do tego ograniczała się magia latarni. Delikatnym ruchem laseczki Leński zwracał uwagę nieżyczliwych widzów na niezwykle wulgarne góry, nie należące nawet do systemu czarownych lermontowowskich wyżyn, dymiących na kształt ofiarnych ołtarzy, kiedy zaś młody mniszek zaczął opowiadać innemu, trochę starszemu pustelnikowi o swej walce z rosomakiem, wśród publiczności ktoś ironicznie wydał ryk. Im dalej podążał głos biegnąc truchcikiem po męskich rymach monotonnego jambu, tym oczywistsze było, że pewna część widowni cichaczem kpi z Leńskiego i że będę musiał wysłuchać potem sporo ironicznych komentarzy na temat całej imprezy. Było mi i wstyd, i okropnie żal

[7] *Mtyri*. Przekład Władyslawa Syrokomli.

bohaterskiego komentatora - jego upartego buczenia, zarysu ostrego profilu i grubego karku, wdzierającego się niekiedy na obszar rozświetlonego płótna, a zwłaszcza jego nerwowej laseczki na którą, gdy nieostrożnie przybliżała się do ekranu, ześlizgiwały się świetlne barwy dotykając jej koniuszka z zimną figlarnością kociej łapki. Pod koniec seansu nuda rozrosła się nie do wytrzymania; niezręczny Borys Naumowicz długo szukał ostatniego przeźrocza, które zmieszało mu się z „przejrzanymi" i przez czas, gdy Leński cierpliwie czekał w ciemności, niektórzy z chłopców zaczęli nader świętokradczo rzucać na pusty, rozjaśniony ekran czarne cienie uniesionych rąk, a po dalszych kilku sekundach niesympatyczny łobuziak (czy to możliwe, że pomimo całej wrażliwości byłem nim ja?) dokazał tego, że zademonstrował cień nogi, co oczywiście wywołało od razu hałaśliwe naśladownictwa. Przeźrocze jednak odnalazło się 1 rozbłysło

136 na ekranie - i oto znienacka miałem pięć lat, a nie dwanaście, bowiem przypadkowe połączenie kolorów przypomniało mi, jak podczas jednej z wczesnych podróży za granicę express, jakby kryjąc się przed górską burzą, zagłębił się w tunel Świętego Gotarda, a kiedy z pełną ulgi przemianą dudnienia wydobył się stamtąd:

Jakże błyskały w nieb sklepieniu
W zielonych i różowych lśnieniach.
Gdzie jodła się ku tęczy skłania,
Skała a na tej skale lania!

4

Po tym przedstawieniu nastąpiły dalsze, jeszcze okropniejsze. Nękały mnie tu zresztą niejasne pogłosy rozmaitych rodzinnych opowieści, dotyczących czasów mego dziadka. W połowie lat osiemdziesiątych Iwan Wasilijewicz Rukawisznikow, nie znalazłszy dla synów szkoły według swoich upodobań, wynajął świetnych nauczycieli i zgromadził około dziesięciu chłopców, którym ofiarował kilka lat bezpłatnej nauki w swoim domu przy bulwarze Admiralicji. Przedsięwzięcie to nie miało wielkiego powodzenia. Nie zawsze łatwo mu się było dogadać z tymi spośród jego znajomych, których synowie wydawali mu się odpowiednimi kolegami dla jego własnych synów, Wasilija (neurastenika, którego tyranizował) i Władimira (utalentowanego chłopca, ulubieńca rodziny, który mając lat szesnaście umarł na gruźlicę), a niektórzy z chłopców, których udało mu się ściągnąć (czasami płacił za to niezamożnym rodzicom), okazali się wkrótce nie do przyjęcia. Z bezwiedną odrazą wyobrażałem sobie Iwana Wasiljewicza uparcie przepatrującego stołeczne gimnazja i swoimi dziwnymi, niewesołymi oczami, tak dobrze znanymi mi z fotografii, wyszukującego spośród pierwszych uczniów chłopców o najprzyjemniejszej powierzchowności.

W istocie rukawisznikowowskie dziwactwa w niczym nie przypominały skromnej imprezy Leńskiego, ale przypadkowe skojarzenie kazało mi sprzeciwiać się temu, ażeby Leński pojawiał się publicznie w głupiej i natrętnej roli, więc po dalszych trzech przedstawieniach (*Jeździec Miedziany*, *Don Kichot* i *Afryka - Kraina Cudów*) matka uległa moim błaganiom i kolega naszego poczciwca, zarobiwszy należnych sto czy dwieście rubli, zniknął na zawsze ze swoim masywnym aparatem.

Pamiętam nie tylko ubóstwo, toporność, żelatynową niejadalność dla oczu tych obrazów na mokrym płótnie ekranu (sądzono, że wilgoć przydaje im gładkości); pamiętam również, jak cudowne były same płytki, przeźroczy, bez żadnego związku z latarnią i ekranem, jeśli się po

prostu dwoma palcami uniosło takie drogocenne szklane cudo pod światło, ażeby niejako prywatnie, a nawet nie całkiem legalnie, w tajemniczym optycznym zaciszu napawać się przejrzystą miniaturą, kieszonkowym rajem, zdumiewająco zgrabnymi małymi światami, przepojonymi łagodnym światłem najczystszych kolorów. Znacznie później odkryłem ponownie takie właśnie wyraziste i milczące piękno na okrągłym, lśniącym dnie czarodziejskiej sztolni - laboratoryjnego mikroskopu. Ararat na szklanej płytce rozpalał wyobraźnię swym pomniejszeniem; organ owada pod mikroskopem ulegał powiększeniu dla celów chłodnej analizy. Myślę, że w rozpiętości miar świata istnieje punkt, w którym wyobraźnia i wiedza przechodzą jedna w drugą, punkt osiągany przez pomniejszenie tego, co duże i powiększenie tego, co małe: punkt sztuki.

5

Leński był człowiekiem wszechstronnym, dużo umiał, potrafił wyjaśnić absolutnie wszystko, co dotyczyło szkolnych lekcji; tym bardziej zdumiewały nas jego nieustanne porażki na uniwersytecie. Ich przyczyną była zapewne jego skrajna tępota w dziedzinie finansów i administracji, tj. w tej właśnie, którą obrał sobie za przedmiot studiów. Pamiętam, jak był rozgorączkowany w przededniu jednego ze swoich najważniejszych egzaminów. Denerwowałem się nie mniej niż on i w porywie czynnego współczucia nie mogłem oprzeć się pokusie podsłuchiwania pod drzwiami, gdy na jego własną prośbę mój ojciec w formie przedegzaminacyjnej powtórki sprawdzał jego wiadomości z zakresu Zasad ekonomii politycznej Charlesa Gide'a. Wertując książkę ojciec pytał na przykład: na czym polega różnica między banknotem a pieniądzem papierowym - i Leński jakoś okropnie energicznie a nawet radośnie odchrząkiwał, a następnie pogrążał się w milczeniu, jakby go w ogóle nie było. Po kilku takich pytaniach ustało nawet to dziarskie pokasływanie i jedynie lekkie postukiwanie paznokci ojca po stole mąciło pauzy, męczennik zaś tylko raz z rozpaczą i nadzieją wykrzyknął: „Władimirze Dmitriewiczu, protestuję. Tego pytania w książce nie ma". Ale w książce to pytanie było. I wreszcie ojciec zamknął ją prawie bezgłośnie i powiedział: „Mój kochany, nic pan nie umie". „Za pańskim pozwoleniem pozostanę przy innym zdaniu" - odpowiedział Leński z godnością. Trzymając się prosto odjechał naszym Benzem na uniwersytet, zabawił tam długo, wrócił dorożkarskimi samami w potworną śnieżycę cały skulony i w niemej rozpaczy poszedł do siebie na górę.

Pod koniec pobytu u nas ożenił się i wyjechał w podróż poślubną na Kaukaz, w okolice, o których pisał Lermontow, po czym powrócił do nas na jedną zimę. Pod jego nieobecność Monsieur Noyer, krępy Szwajcar o puszystych włosach czytał nam Cyrano de Bergeraca, wirtuozowsko zmieniając głos stosownie do postaci. Kiedy pierwszy raz wyjechał z nami konno, jego koń potknął się, a on przeleciawszy przez głowę konia upadł w krzaki niczym na staromodnej karykaturze. Serwując w tenisie uważał, że należy koniecznie stać na samej linii i szeroko rozstawiał nogi w pomiętych drelichowych spodniach, po czym jakoś po swojemu przykucał i ze straszliwą siłą uderzał podrzuconą piłkę; nic z tego jednak nie wychodziło i piłka trafiała bądź w siatkę, bądź na niekoszone pole za drucianym ogrodzeniem, przez które upartym lotem - ale o tych białych motylach już pisałem.

Na wiosnę 1914 roku, kiedy Leński ostatecznie nas opuścił, nastał ów właśnie Wołgin, o którym już wspominałem, syn zubożałego ziemianina z symbirskiej guberni, młody człowiek o czarującej powierzchowności, serdecznych intonacjach i doskonałych manierach, ale o charakterze pospolitaka i nikczemnika. W tym okresie nie potrzebowałem już żadnej kurateli, w nauce zaś żadnej pomocy nie mógł mi udzielić, był bowiem beznadziejnym nieukiem

(przegrał do mnie, pamiętam, wspaniały kastet, założywszy się ze mną, że list Tatiany zaczyna się tak „Ujrzawszy pismo me, zapewne pan się zdziwi“[8] i tym, co od niego uzyskałem (z wyjątkiem kastetu) były wyłącznie opowieści, których początkowo nie mogłem się dość nasłuchać, o jego przygodach z kobietami - opowieści, które wkrótce ustąpiły miejsca nieprzyzwoitym plotkom o naszej rodzinie: zdobywał je od pewnej naszej młodo wyglądającej krewniaczki, z którą się później ożenił. Za Sowietów ten aksamitny Wołgin był komisarzem i wkrótce urządził się tak, żeby wpakować swoją żonę do Sołowek.[9] Nie wiem, jak skończyła się jego kariera.

Leńskiego jednak nie całkiem straciłem z oczu. Jeszcze kiedy był z nami założył za pożyczone gdzieś pieniądze fantastyczne przedsiębiorstwo skupu i eksploatacji różnych patentów. Nie można powiedzieć, żeby te wynalazki przedstawiał jako własne, ale usynawiał je z taką czułością, że jego ojcostwo wprost rzucało się wszystkim w oczy, choć wspierało się nie na faktach, lecz na uczuciach. Pewnego razu z dumą zaprosił nas, abyśmy naszym samochodem wypróbowaU „wynaleziony“ przez niego nowy typ jezdni, składającej się z jakichś taśm; wypróbowaliśmy i pękła opona. Podczas pierwszej wojny światowej dostarczył armii próbną partię paszy dla koni w postaci płaskich szarych brykietów; zawsze nosił ze sobą próbkę - gryzł ją niedbale i dawał przyjaciołom do gryzienia. Po tych brykietach wiele koni ciężko chorowało. Potem w 1918 roku, kiedy byliśmy już na Krymie, napisał do nas, proponując szczodrą pomoc finansową. Nie wiem, czy zdążyłby jej udziehć, bo jakiś otrzymany spadek wpakował w wesołe miasteczko nad Morzem Czarnym, z wrotkarnią, muzyką, kaskadami, girlandami czerwonych i zielonych żarówek, nadciągnęli jednak bolszewicy i zgasili iluminację, Leński zaś w latach dwudziestych uciekł za granicę, żył w wielkiej biedzie na Riwierze, utrzymując się z malowania widoczków na białych kamieniach. Nie wiem co się z nim potem stało. Mimo niektórych swych dziwactw był to w gruncie rzeczy bardzo porządny i wielkiej czystości człowiek, którego ciężkawe „dyktanda“ pamiętam po dziś dzień: „Nie łżyj, że w teatrze w loży coś leży! Konstanty skonstatował, że konstytuanta ukontentowała kantynę.“

6

Kiedy wyobrażam sobie tych następujących po sobie nauczycieli, nie tyle uderzają mnie owe zabawne zakłócenia rytmu, które wnosili w moje młode życie, ile stateczność i harmonijna pełnia życia. Z satysfakcją stwierdzam największe osiągnięcie Mnemosyne: mistrzostwo, z jakim łączy rozdzielone części podstawowej melodii, zbierając i skupiając konwaUowe gałązki nut, rozwieszonych tu i tam po całym brudnopisie partytury minionego czasu. Sprawia mi przyjemność, kiedy wyobrażam sobie, podczas gdy głośno, triumfująco wybuchają nagromadzone dźwięki, najpierw rodzaj słonecznej plamistości, a potem, w rozjaśniającej się soczewce - stół odświętnie nakryty w alei. Tam, u samego jej ujścia przy piaszczystym gazonie wyrskiego dworu w dniach letnich imienin i urodzin piło się czekoladę. Światła i cienie migają po obrusie tak samo jak po twarzach w osłonie ruchliwego, legendarnego listowia lip, dębów i klonów, powiększonych zarazem do malowniczych rozmiarów i pomniejszonych do pojemności jednego serca, zarządza zaś całą uroczystością duch wiecznego powrotu, który każe mi skradać się do tego stołu (my, widma, jesteśmy tak ostrożne!) nie od strony domu, skąd zeszli się tu pozostali, a z zewnątrz, z głębi parku, jakby marzenie po to, by zyskać prawo powrotu, musiało podejść na bosaka bezgłośnymi krokami

[8] *Uwidia poczerk moj wy wierno udiwities'*, wers ten brzmi: *Ja wam piszu - czewo-że bolje*
[9] Miejsce zesłania na północy Rosji

słabnącego ze wzruszenia syna marnotrawnego. Przez chybotliwy pryzmat rozróżniam twarze domowników i krewnych, oto bezdźwięcznie poruszają się usta, wypowiadając beztrosko zapomniane zdania. Nad czekoladą drga para, granatowo polśniewają tartoletki z czarnymi jagodami. Skrzydlate nasionko sfruwa niczym malutki helikopter z drzewa na obrus, a w poprzek obrusa leży, odwrócona ku przepływającemu słońcu turkusowymi żyłkami wewnętrznej strony, obnażona ręka dziewczynki, leniwie z otwartą dłonią wyciągnięta w oczekiwaniu czegoś, może dziadka do orzechów. Na miejscu, na którym siedzi kolejny guwerner, widzę tylko płynny, przemienny obraz pulsujący wraz ze zmieniającymi się cieniami listowia. Wpatruję się uważniej i kolory odnajdują swój zarys, a zarys nabiera ruchliwości i niczym po włączeniu czarodziejskiego prądu wdzierają się tu dźwięki: odzywające się jednocześnie głosy, trzask rozłupywanej skorupki, półkrok niedbale podanego dziadka do orzechów. Na odwiecznym wyrskim wietrze szumią stare drzewa, głośno śpiewają ptaki, a zza rzeki dociera niezestrojony i pełen radości wrzask kąpiącej się wiejskiej młodzieży, niczym gwałtowne dźwięki narastającej owacji.

Rozdział dziewiąty

1

Miałem jedenaście lat, kiedy ojciec zadecydował, że wykształcenie domowe, które otrzymywałem, może z pożytkiem uzupełnić szkoła. W styczniu 1911 roku wstąpiłem do Szkoły Teniszewa na trzeci semestr: semestrów było zaledwie szesnaście, trzeci zaś odpowiadał pierwszej połowie drugiej klasy gimnazjum.

Rok szkolny trwał od początku września do pierwszej dekady maja ze zwykłymi świątecznymi feriami, podczas których gigantyczna choinka w jednym z dolnych salonów naszego domu dotykała swoją czułą gwiazdą wysokiego, wymalowanego w bladozielone obłoki sufitu albo ugotowane na twardo jajko ześlizgiwało się z owalnym dźwiękiem w dymiącą fioletową kipiel.

Kiedy kamerdyner Iwan Pierwszy (potem powołany do wojska) albo Iwan Drugi (który dotrwał do czasów, gdy posyłałem go z romantycznymi zleceniami) budził mnie, za oknami trwała jeszcze ciemna mgła, w uszach dzwoniło, zbierało się na mdłości, a światło elektryczne w sypialni raziło oczy ponurym, jodowym blaskiem. W ciągu mniej więcej pół godziny trzeba było przygotować lekcję zatajoną poprzedniego dnia przed korepetytorem (o szczęśliwa epoko, kiedy potrafiłem utrwalić w mózgu dziesięć stron w tyleż minut), wykąpać się, ubrać, zjeść breakfest. Tak więc moje poranki były zmarnowane i trzeba było na jakiś czas zlikwidować lekcje boksu i fechtunku ze zdumiewająco giętkim Francuzem Loustalotem. Przychodził nadal prawie codziennie, aby boksować sie i bić na rapiery z moim ojcem, a ja przełknąwszy filiżankę kakao w stołowym na parterze, już nakładając palto, rzucałem się stamtąd przez zielony salon (gdzie tak długo po Bożym Narodzeniu pachniało mandarynkami i lasem) w kierunku „biblioteki“, skąd docierał tupot i szurgotanie. Tam zastawałem ojca, wysokiego, mocno zbudowanego; w swoim białym, pikowanym stroju treningowym i czarnej wypukłej drucianej masce wydawał się jeszcze masywniejszy: fechtował się z niezwykłą siłą, przesuwając się to do przodu, to do tyłu po natartym kalafonią linoleum i okrzyki jego zręcznego przeciwnika - „Battez!“, „Rompez!“ - mieszały się z dzwonieniem rapierów. Ojciec, trochę zdyszany, zdejmował maskę ze spoconej różowej twarzy, ażeby mnie ucałować. W tej części rozległej biblioteki łączyły się przyjemnie nauka i sport: skóra okładek i skóra bokserskich rękawic. Głębokie klubowe fotele z grubymi siedzeniami stały w luźnym porządku wzdłuż zastawionych książkami ścian. Na jednym końcu pobłyskiwały sztangi sprowadzonej z Anglii gruszki bokserskiej - te cztery sztangi podpierały polakierowaną deskę tworzącą daszek, z niej zaś zwisał duży, gruszkokształtny, mocno napompowany skórzany worek do ćwiczeń bokserskich; przy pewnej wprawie można było uderzać w niego tak, aby uderzenia o deskę brzmiały jak kulomiotowe „ra-ta-ta-ta“ i pewnego razu w 1917 roku ten podejrzany dźwięk zwabił przez zamknięte szczelnie okno watahę uzbrojonych po zęby ulicznych bojowców, którzy zresztą przekonali się od razu, że nie jestem zaczajonym policjantem. Kiedy w listopadzie tego kulomiotowego roku (którym najpewniej na zawsze skończyła się Rosja, jak w swoim czasie skończyły się Ateny lub Rzym) opuściliśmy Petersburg, ojcowska biblioteka rozpadła się, coś niecoś poszło na papierosowe skręty, a dość dziwne resztki i bezdomne cienie pojawiły się - jak na seansie spirytystycznym - za granicą. Tak wiec w latach dwudziestych znaj dek z naszym ekslibrisem wpadł mi w ręce na ulicznym stoisku w Berlinie, przy czyni dość stosownie okazał się Wojną Światów Wellsa. Znowu upłynęło ileś tam lat i oto trzymam w ręku znaleziony w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej egzemplarz katalogu ojcowskich książek, wydrukowany jeszcze wówczas, gdy zwarte i pełnokrwiste stały na dębowych półkach i nieśmiała stara bibliotekarka w *pince-nez* pracowała w niewidzja1nym zakątku nad kartoteką. Znowu nakładał maskę i wracał tupot, wypady i furkot. Ja zaś spieszyłem z powrotem tą samą drogą,

którą przyszedłem, jakby odbywając próbę dzisiejszych odwiedzin. Po gęstym cieple westybulu, gdzie za ciężką kratą, którą potrafił unieść jedną ręką potężnie zbudowany synek odźwiernego, potrzaskiwały w kominku brzozowe drwa, mróz na zewnątrz ściskał płuca lodowatą dłonią. Patrzyłem przede wszystkim, który z dwóch samochodów - Benz czy Wolseley czekał, aby zawieźć mnie do szkoły. Pierwszym z nich zawiadował łagodny, o bladej cerze szofer Wołków; był to landolet mysiego koloru (A. Kiereński prosił później o użyczenie go, gdy chciał uciekać z Pałacu Zimowego, ojciec jednak wytłumaczył mu, że wóz jest słaby i stary i raczej nie nadaje się do historycznych wojaży - nie tak, jak cudowny rydwan praszczurzycy, pożyczony Ludwikowi na ucieczkę do Verennes). W porównaniu z bezgłośną elektryczną karetą, jego poprzedniczką, linia owego Benza uderzała dynamizmem, z kolei jednak on zaczął wydawać się staromodny i zastygłe kwadratowy, gdy tylko nowa, podługowata, czarna angielska limuzyna ze stajni Rolls Royce'a zaczęła dzielić z nim garaż na dziedzińcu domu.

Rozpocząć dzień od wyjazdu nowym samochodem znaczyło rozpocząć go dobrze. Drugim szoferem był Pirogow, dość niezależnego usposobienia grubas, który porzucił służbę carską dlatego, że nie chciał odpowiadać za jakiś niezbyt sprawny silnik. Do rudawej kompleksji pulchnego Pirogowa bardzo pasowało lisie futerko, które nakładał na welwetowy uniform i butelkowate oranżowe sztylpy. Jeśli jakaś przeszkoda w ruchu ulicznym sprawiała, że ten Kuc musiał nagle hamować - mocno wpierając się w pedały - jego kark, oddzielony ode mnie szybą przegrody nabrzmiewał krwią, co zresztą zdarzało się również wówczas, gdy usiłując powiedzieć mu coś przy pomocy niezbyt rozmownej tuby, ściskałem popiskującą, obciągniętą bladopopielatym materiałem oraz siatką gruszkę, łączącą się z prowadzącym do szofera bladopoptelatym przewodem. Od tego niezwykle kosztownego miejskiego wozu wyraźnie wolał on czerwonego, z czerwonymi siedzeniami Torpedo Opla, z którego korzystaliśmy na wsi - nim właśnie woził nas, otworzywszy tłumik, po Szosie Warszawskiej z szybkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę - co wówczas wydawało się upajające, i jakże huczał wiatr, jak pachniały przybite deszczem kurz i ciemna zieleń pól - teraz zaś mój syn, student Harvardu niedbale robi tyle samo w pół godziny, jadąc sobie po prostu z Bostonu do Alberty, Kaliforni czy Meksyku. Kiedy w 1915 roku Pirogowa powołano do wojska, zastąpił go sękaty, krzywonogi, czarny, o jakimś dzikim wyrazie żółtych oczu Cyganów - były wyścigowiec, który brał udział w międzynarodowych konkursach i złamał sobie w Belgii trzy żebra. Latem czy jesienią 1917 roku postanowił wbrew energicznym protestom ojca uratować Wolseleya, którego gorąco pokochał, od ewentualnej konfiskaty i w tym celu rozebrał go na części, ukrywając go w różnych, sobie tylko wiadomych miejscach i zostałby zapewne przez mego ojca oddany pod sąd, gdyby na przeszkodzie temu nie stanęły ważniejsze wydarzenia. Nie wiem dlaczego, ale śniegi i gołoledź na petersburskiej drewnianej kostce nie utrudniały jazdy tak bardzo jak, powiedzmy, w wyasfaltowanym Bostonie w czterdzieści lat później - na równoleżniku Neapolu i w o wiele doskonalszych samochodach. Nie pamiętam, ażeby kiedykolwiek pogoda uniemożliwiła mi dojechanie do szkoły w ciągu ledwie kilku minut. Nasz licowany różowym granitem dom znajdował się przy Wielkiej Morskiej pod numerem 47. Następny był dom Ogińskiego (nr 45), potem była ambasada włoska (nr 43), ambasada niemiecka (nr 41) i rozległy Plac Maryjski, po minięciu którego numery domów zmniejszały się w kierunku Placu Pałacowego. Po lewej stronie Placu Maryjskiego, między nim a wspaniałym, nigdy nie dość podziwianym soborem świętego Izaaka, znajdował się skwer; tam pewnego razu w listowiu najniewinniejszej w świecie lipy znaleziono ucho terrorysty, który poległ, gdy w pokoju, wynajętym nieopodal placu, z niechlujstwem równającym się lekkomyślności, przepakowywał śmiercionośny pakiet. Te same drzewa (filigranowy srebrny deseń nad górką, z której hałaśliwie zjeżdżaliśmy w dzieciństwie leżąc na płask na niskich sankach) widziały, jak konni żandarmi

poskramiający Pierwszą Rewolucję strącali chwackimi strzałami, jakby celując do wróbli, rozsiadłą na gałęziach dzieciarnię.

Samochód, skręciwszy na Newski, jechał nim około pięciu minut - i jakże było wesoło wyprzedzać bez wysiłku najszybsze i najchrapliwsze konie, jakiegoś okutanego w płaszcz gwardzistę w lekkich sankach zaprzęgniętych w parę wronych pokrytych granatową siatką. Skręciliśmy w lewo, w ulicę o ślicznej nazwie Karawanowa, na zawsze związanej dla mnie ze sklepem zabawek Pettou i z cyrkiem Cinzellego, z którego okrągłej, kremowej ściany wysterczały kamienne końskie łby. Za kanałem wreszcie skręcaliśmy na Mochowa i tam zatrzymywaliśmy się przed bramą szkoły. Przebiegłszy przez bramę pędziłem tunelowym przejściem i przeciąwszy szeroki dziedziniec dopadałem drzwi.

2

Mój ojciec, stając się jednym z przywódców Partii Konstytucyjno-Demokratycznej, wzgardliwie odrzucił tym samym wszystkie godności, które tak obficie przypadały w udziale jego przodkom. Na jakimś bankiecie odmówił spełnienia zdrowia monarchy i najspokojniej w świecie zamieścił w gazetach, ogłoszenie o sprzedaży dworskiego munduru. Szkoła, w której mnie umieścił była ostentacyjnie postępowa. Jak już wyjaśniałem bardziej szczegółowo w amerykańskiej wersji tej książki, w szkole Teniszewa nie istniały różnice klasowe ani wyznaniowe, uczniowie nie nosili mundurów, na wyższych semestrach wykładano taki przedmiot jak podstawy prawa i w miarę możliwości popierano wszystkie sporty. Wyjąwszy te odrębności szkoła Teniszewa nie różniła się niczym od wszystkich innych na świecie, jak we wszystkich szkołach średnich (niech mi będzie wolno naśladować tu przez chwilę dydaktyczny tonik Tołstoja) jednych nauczycieli uczniowie tolerowali, a innych nienawidzili. Jak we wszystkich szkołach chłopcy nieustannie wymieniali nieprzyzwoite dowcipy i fizjologiczne informacje i jak we wszystkich nie wypadało nazbyt się wyróżniać. Byłem doskonałym sportowcem uczyłem się bez wysiłku, balansując między nastrojem a koniecznością; nie oddawałem szkole ani odrobiny duszy, zachowując wszystkie swe siły dla domowych radości - własnych zabaw, własnych zainteresowań i zachcianek, własnych motyli, własnych ulubionych książek; a w ogóle nie męczyłbym się w szkole zbytnio, gdyby tylko dyrekcja mniej troszczyła się o ratowanie mojej obywatelskiej duszy. Oskarżano mnie o niechęć do „zżycia się ze środowiskiem“, o przesadne popisywanie się francuskimi i angielskimi powiedzonkami (które trafiały do moich rosyjskich wypracowań tylko dlatego, że mi się wprost same nasuwały), o kategoryczną odmowę korzystania z ohydnie wilgotnego ręcznika i wspólnego, różowego mydlą w umywalni, o to, że brzydziłem się dotykanego przez wiele rąk sitkowego chleba i herbaty, jakiej pijać nie zwykłem, o to, że w bójkach biłem po angielsku knykciami, a nie dolną częścią pięści. Jeden z największych społeczników wśród wychowawców szkoły, kiepsko orientujący się w zagranicznych grach, choć nader pochwalający ich zespołowośc i znaczenie społeczne, prześladował mnie kiedyś pytaniem, dlaczego grając w piłkę nożną (ja, namiętnie oddany bramkarstwu, jak inni surowej regule) przez cały czas stoję gdzieś „w opłotkach“, a nie biegam z innymi „chłopcami“. Szczególną przyczyną irytacji było również to, że szofer w „liberii“ przywozi „paniczyka“ samochodem, podczas gdy większość przyzwoitych teniszewców jeździ tramwajem. Największe oburzenie budziłem tym, że już wówczas czułem nieprzeparty wstręt do wszelkich ugrupowań, związków, zjednoczeń i towarzystw. Pamiętam w jaką wściekłość wprawiłem pełnego temperamentu W. W. Gippiusa, będącego jednym z filarów szkoły, dość niepospolitego, rudego pana o spiczastym ramieniu (nie ujawniającego się autora wspaniałych wierszy), kategorycznie odmawiając uczestniczenia w jakichś kółkach, gdzie

wybierano „zarząd“, wygłaszano referaty na tematy historyczne, a później dyskutowano nawet o polityce. Napiętą sytuację, wynikłą z mojego sprzeciwu wobec tych nudziarstw, tego bezpłatnego dodatku do szkolnego dnia, pogłębiała okoliczność, że moi społecznie nastrojeni wychowawcy - z całą pewnością ludzie wspaniali i pełni najlepszych chęci - z jakimś fanatycznym uporem stawiali mi za przykład działalność mego ojca.

Działalność tę, jak zdarza się często dzieciom znakomitych ojców, odbierałem przez pryzmat zwykłych rodzinnych spraw, niedostępnych obcym, przy czym w stosunku do mego ojca miało to wiele różnych odcieni; była w tym absolutna, jakby bezprzedmiotowa duma, czuła wyrozumiałość, subtelne uwzględnienie jego najdrobniejszych właściwości i opływające duszę uczucie, że oto niezależnie od swych zajęć (mógł na przykład pisać olśniewający artykuł wstępny dla „Rieczi“, mógł pracować w swej specjalności kryminologa, zabierać głos jako mówca polityczny, czy uczestniczyć w swych niekończących się zebraniach) byliśmy z sobą zawsze w zmowie i pośród każdego z tych zewnętrznie obcych zajęć mógł mi dać i dawał zresztą sekretny znak swej przynależności do niezwykle bogatego „dziecinnego“ świata, gdzie byłem z nim związany tym samym potajemnym rówieśnictwem, jakim związany byłem wówczas z matką albo jakim dziś związany jestem z synem.

Posiedzenia odbywały się często u nas w domu, i o tym, że takie posiedzenie ma się odbyć, świadczyło zawsze docierające z poczekalni bzyczenie specjalnego przyrządu, podobnego nieco do singerowskiej maszyny do szycia, z kółkiem, którym kręcił przy pomocy korbki odźwierny Ustin, temperując w nieskończoność „komisyjne“ ołówki. Ten wielokrotnie wspominany przeze mnie Ustin wydawał się, podobnie jak wielu członków naszej licznej czeladzi - wzorowym starym sługą, gadułą i człowiekiem z sercem na dłoni; ożeniony był z grubą Estonką, która z mieszkanka w suterenie, skąd ciepło pachniało kurą, wołała go bardzo śmiesznym, urywanym syczeniem: „Ustia, Ustia“. Widocznie jednak stała, monotonna praca, przy tych ładnych ołówkach niepostrzeżenie wpłynęła na jego usposobienie tak go wewnętrznie rozjątrzając, że jak się później okazało, wstąpił na służbę do tajnej policji i pozostawał w zyskownym kontakcie z nieszkodliwymi, ale dokuczliwymi szpiclami kręcącymi się zawsze w sąsiedztwie naszego domu. Około ósmej wieczorem pod nadzór Ustina przechodziły liczne kalosze i futra. Pojawiał się Milukow podobny nieco w swym celuloidowym kołnierzyku do Theodore’a Roosevelta, ale w tonacji bardziej różowej. I. W. Hessen wpatrywał się w obecnych przez okulary, zacierając ręce i lekko przechylając na bok mądrą łysą głowę. A. I. Kaminka z granatowoczarnymi, gładko przyczesanymi włosami i wyrazem uprzejmego przestrachu w ruchliwych, okrągłych, brązowych oczach udowadniał już coś żarliwie swemu partyjnemu koledze. Powoli przechodzono do pokoju posiedzeń obok biblioteki. Tam na ciemnoczerwonym suknie długiego stołu rozłożone były smukłe ołówki, polśniewały szklanki, tłoczyły się na półkach oprawne pisma i tykało wahadło wysokiego zegara z westminsterskim kurantem. Za tym pokojem znajdował się skomplikowany labirynt, łączący się z jakimiś komórkami i innymi czeluściami, w których niekiedy znikał na długo cierpiący na żołądek Loustalot, gdzie podczas zabaw z mym ciotecznym bratem Jurikiem Rauschern docierałem do Teksasu i gdzie pewnego razu, z okazji szczególnie ważnego posiedzenia, policja ulokowała zdumiewająco nierozgarniętego agenta, grubego, flegmatycznego, ślepawego jegomościa o dość przyzwoitym na ogół biorąc wyglądzie, który, gdy go odkryto, niespiesznie i ciężko ukląkł przed naszą starą bibliotekarką Ludmiłą Abramowa Grynberg. Ciekawe, jakbym mógł dzielić się tym wszystkim z mymi szkolnymi kolegami i nauczycielami.

3

Prasa reakcyjna nieustannie atakowała kadetów[10] i moja matka z obiektywizmem uczonego kolekcjonera zbierała w albumie okazy niewydarzonej rosyjskiej sztuki karykatury (bezpośredniej spadkobierczyni niemieckiej). Mojego ojca przedstawiano na nich z ostentacyjnie „pańskim“ wyrazem twarzy, z przystrzyżonymi „po angielsku wąsami“, z krótko ostrzyżonymi włosami przechodzącymi w łysinę i pełnymi policzkami z brodaweczką na jednym i z „nabokowowskimi“ (w sensie genetycznym) brwiami, które od siodełka rzymskiego nosa zdecydowanie szły w górę gubiąc wpół drogi ślady zarostu. Pamiętam pewną karykaturę, na której od niego i od wielozębnego w kocich wąsach Milukowa wdzięczna światowa Wspólnota Żydowska (nos i brylanty) przyjmuje talerz z chlebem i solą - matkę Rosję. Pewnego razu (nie pamiętam dokładnie roku, był to pewnie 1911 albo 1912) „Nowoje Wremia“ zamówiło u jakiegoś łajdaka obelżywy wobec ojca artykuł. Ponieważ jego autor (niejaki Sniesariew, jeśli mnie pamięć nie myli) był osobą nie nadającą się do pojedynku, mój ojciec wyzwał na pojedynek redaktora pisma Aleksieja Suworina, osobistość pod tym względem nieco bardziej stosowną. Pertraktacje trwały kilka dni; nie wiedziałem nic, ale kiedyś w klasie spostrzegłem, że jakieś pisemko otwarte na wybranej stronicy kursuje z rąk do rąk i budzi chichoty. Przechwyciłem je: pisemko okazało się bulwarowym tygodnikiem, gdzie w wierszykach typu cafe chanlant opisywano ze wszelkimi komentarzami historię wyzwania; stamtąd dowiedziałem się między innymi, że na sekundanta ojciec poprosił swego szwagra, admirała Kołomiejcewa. bohatera wojny japońskiej: w bitwie pod Cuszimą komandor porucznik Kołomiejcew, dowodzący miotaczem min, zdołał przycumować do płonącego flagowego pancernika i sprowadzić z niego dowódcę eskadry, rannego w głowę generała Rożdiestwieńskiego, którego osobiście nie cierpiał. Po lekcji zdołałem się dowiedzieć, że pisemko przyniósł jeden z moich najlepszych przyjaciół. Oskarżyłem go o zdradę. W bójce, która się wywiązała upadł na wznak na ławkę, zaczepiając o coś nogą. Pękła mu noga w kostce, po czym przeleżał w łóżku kilka tygodni, szlachetnie zatajając zarówno przed rodziną, jak przed nauczycielami w szkole mój udział w zajściu.

Z okropnymi uczuciami, które wzbudziło we mnie pisemko, łączyła się chorobliwa wizja mego biednego kolegi, którego jak trupa znosił w dół po schodach inny kolega, brudny, podobny do goryla o ogolonej głowie siłacz Popów, mężczyzna gimnazjalista, którego nie można było pokonać, nawet stosując chwyty bokserskie; „zostawał“ on rok rocznie tak, że zapewne cała szkoła, klasa po klasie przeźroczyście by przez niego przeniknęły, gdyby w czternastym roku nie uciekł na front, skąd powrócił jako huzar. Tego dnia, jak na złość, samochód po mnie nie przyjechał, musiałem wziąć dorożkę i podczas tej niecodziennej dla mnie, ponurej, zimnej, niewiarygodnie powolnej jazdy z Mochowej na Morską, zdążyłem wiele przemyśleć. Rozumiałem teraz, dlaczego poprzedniego dnia matka nie zeszła na obiad i dlaczego już trzeci ranek z rzędu zjawiał się Thernant, fechmistrz, który uchodził za jeszcze lepszego niż Loustalot. Nie oznaczało to, że rodzaj broni został już ustalony i wahałem się w udręce między klingą a kulą. Moja wyobraźnia ostrożnie ujmowała tak ukochaną, tak gorąco oddychającą życiem postać fechtującego się ojca i przenosiła ją, odejmując maskę i ochronne watowanie, do jakiejś szopy albo na maneż, gdzie w zimie odbywano pojedynki na szpady; i oto widziałem już ojca i jego przeciwnika w czarnych spodniach, zaciekle walczących, widziałem nawet ów odcień energicznej nieporęczności, której w prawdziwym pojedynku nie może uniknąć najbardziej elegancki szermierz. Obraz ten był tak odrażający, tak żywo wyobrażałem sobie dojrzałą nagość szaleńczo pulsującego serca, które szpada lada moment

[10] Konstytucyjnych demokratów

przebije, że na mgnienie zapragnąłem, aby wybór padł na bardziej mechaniczną broń, ale moja rozpacz od razu zogromniała.

Podczas gdy sanie, w których się kuliłem, pełzły zrywami przez Newski, gdzie w mroźnej mgle zapaliły się już mętne światła, rozmyślałem o ciężkim czarnym browningu, który ojciec trzymał w prawej górnej szufladzie biurka. Ten urzekający przedmiot, do którego niczym na hołd prowadziłem Jurika Rauscha, był mi równie znajomy jak inne, bardziej widoczne ozdoby gabinetu: modny podówczas brie a brać z kryształu albo kamieni; liczne rodzinne fotografie; ogromny, łagodnie oświetlony Perugino; nieduże miodowo połyskujące płótna Holendrów, każde oświetlone osobną lampką; kwiaty i brązy i tuż za kałamarzem olbrzymiego biurka przytwierdzony do jego horyzontu różowawo mglisty, pastelowy portret mojej matki, pędzla Baksta - malarz ukazał ją wpół obrotu, w zdumiewający sposób oddając delikatne rysy, wysokie zaczesanie popielatych włosów, szary błękit oczu, okrągły zarys czoła, wdzięczną Unię szyi. Kiedy jednak prosiłem starego, podobnego do szmacianej lalki dorożkarza, by jechał szybciej, napotykałem na opór skomplikowanego, sennego oszukaństwa: stary, nawykowym półmachnięciem ręki zwodził konia udając, że zamierza wyciągnąć bat zza cholewy prawego walonka, koń zaś potrząsnąwszy głową udawał, ze przyspiesza truchtu. Ja zaś w śnieżnym znieruchomieniu, w które wprawiła mnie ta powolna jazda, przeżywałem wszystkie tak dobrze znajome rosyjskiemu chłopcu słynne pojedynki. Gribojedow pokazywał Jakubowiczowi swoją okrwawioną rękę. Pistolet Puszkina padał lufą w śnieg. Lermontow pod nawisłą burzową chmurą uśmiechał się do Martynowa. Wyobrażałem sobie nawet, niech mi Bóg wybaczy, ów tak bardzo niewydarzony obraz wyzutego z talentu Riepina, na którym czterdziestoletni Oniegin celuje w kędzierzawego Sobinowa. Nie ma, jak się zdaje, ani jednego rosyjskiego autora, który nie opisałby owych angielskich pojedynków à volonté i podczas gdy mój rozespany dorożkarz skręcał na Morską i czołgał się przez nią, w moim zamglonym mózgu, jak w magicznym krysztale, sylwetki pojedynkowiczów zbliżały się ku sobie - w zagajnikach starych dworów, na polu Wołkowyro, za Czarną Rzeczką, na białym śniegu. Pomiędzy zaś tymi nałożonymi na siebie postaciami ziała niczym otchłań moja czuła miłość do ojca: harmonia naszych stosunków, tenis, przejażdżki rowerami, motyle, zadania szachowe, Puszkin, Szekspir, Flaubert i owo codzienne przerzucanie się nieczytelnymi dla innych żartami, stanowiącymi tajemny szyfr szczęśliwych rodzin.

Składając na Ustina obowiązek zapłacenia dorożkarzowi rubla rzuciłem się do domu. Już w przedpokoju dobiegły mnie z góry donośne, wesołe głosy. Jak w ułożonej zawczasu apoteozie, w baśniowym świecie wszystko rozstrzygających, zbieżności, Mikołaj Kołomiejcew w swych marynarskich insygniach schodził po marmurowych schodach. Z podestu pierwszego piętra, gdzie nad malachitową misą na wizytówki wznosiła się bezręka Wenus, moi rodzice rozmawiali z nim jeszcze, a on, schodząc ze śmiechem, oglądał się na nich, i uderzał rękawiczką o balustradę. Zrozumiałem od razu, że pojedynku nie będzie, że przeciwnik złożył przeprosiny, że mój świat ocalał. Przemknąłem obok wuja na górę, na podest. Zobaczyłem spokojną, codzienną twarz matki, ale spojrzeć na ojca nie byłem w stanie. Udało mi się, zmyślając psychologiczne alibi wymamrotać coś o bójce w szkole, w tym momencie jednak serce podeszło mi do gardła - podeszło tak, jak na drobnej fali uniósł się „Bujny; , kiedy jego pokład zrównał się na chwilę ze ściosem „Kniazia Suworowa“, a nie miałem chustki do nosa

Wszystko to było dawno - na długo przed ową nocą 1922 roku, kiedy w berlińskiej sali odczytowej ojciec mój osłonił Milukowa przed kulą dwóch łajdaków i podczas gdy bokserskim ciosem powalał jednego z nich, został śmiertelnie raniony strzałem w plecy; ani

cień jednak tej przyszłości nie padał na oświetlone schody petersburskiego domu i spokojna jak zawsze była duża, chłodna dłoń, która spoczęła na mojej głowie i kilka posunięć w złożonej kompozycji szachowej nie zespoliło się jeszcze w rozgrywkę na szachownicy.

Rozdział dziesiąty

1

Jak wiadomo, książki kapitana Mayne Reida (1818-1883) w uproszczonych przekładach były ulubioną lekturą rosyjskich chłopców również po tym, gdy jego sława amerykańska i angielsko-irlandzaka dawno już zwiędła. Władając angielskim od kołyski, mogłem rozkoszować się Jeźdźcem bez głowy w nieskróconym i dosyć rozgadanym oryginale. Dwóch przyjaciół zamienia się na ubrania, kapelusze, konie i zbrodniarz myli się w wyborze ofiary - oto zasadniczy węzeł skomplikowanej fabuły. Wydanie, które miałem (zapewne londyńskie), stoi nadal na półce pamięci w postaci opasłej księgi w czerwonej, płóciennej oprawie, z wodnisto-szarym tytułowym obrazkiem, którego lakier osłania początkowo mgiełka bibułki, chroniącej go od niewiadomych zakusów. Pamiętam stopniowe obumieranie tego ochronnego arkusika, który najpierw zaczął niewłaściwie i brzydko zaginać się po przekątnej, a potem podarł się; samego zaś obrazka, jakby spłowialego od słońca gorącej wyobraźni, nie mogę sobie przypomnieć: przedstawiał on zapewne nieszczęsnego brata Luizy Pointdexter, dwa czy trzy kojoty, kaktusy, kłujący jadłoszyn - i oto zamiast tamtego obrazka widzę przez okno rancza najprawdziwszą południowo-zachodnią pustynię z kaktusami, słyszę poranny, czule żałosny krzyk koronowanej kuropatwy Gambela i wypełnia mnie poczucie jakichś niebywałych dokonań, jakichś niebywałych spełnień i nagród. Z Warszawy, gdzie jego ojciec, baron Rausch von Traubenberg, był generał-gubernatorem, mój cioteczny brat Jurij przyjeżdżał latem w gościnę do naszego petersburskiego majątku i z nim właśnie bawiłem się w znane wszystkim zabawy według Mayne Reida. Najpierw do leśnych pojedynków służyły nam pistolety sprężynowe strzelające z dość dużą siłą pałeczkami długości ołówka, przy czym, żeby było zabawniej, ściągnęliśmy z metalowego zakończenia gumową przyssawkę; później przeszliśmy na pneumatyczne karabinki różnych systemów i strzelaliśmy strzałami, które powodowały - jeśli trafiły w policzek lub rękę - niezbyt głębokie, ale bolesne ranki. Czytelnik łatwo wyobrazi sobie wszystkie te zabawy, które zdolni byli wymyślić dwaj ambitni chłopcy, usiłujący prześcignąć się naw zajem w odwadze; pewnego razu przeprawiliśmy się przez rzekę koło traktu skacząc z jednego płynącego kloca na drugi; wszystko ślizgało się i kręciło pod nogami, a głęboka woda czarno granatowiała; nie było to dla mnie zbyt niebezpieczne, bo dobrze pływałem, ale Jurik na krok nie pozostający za mną w tyle. wcale nie umiał pływać, zataił to i o mało nie utonął w odległości dwóch sążni od brzegu.

Latem 1917 roku już jako młodzieńcy, zabawialiśmy się w ten sposób, że każdy po kolei kładł się na wznak na ziemi pod nisko sięgającą deską huśtawki, na której drugi z rozpędem, wzbijał się prześlizgując się tuż nad nosem leżącego - w kark kąsały mrówki - a półtora roku później Jurik poległ podczas ataku kawalerii na krymskim stepie i jego zwłoki przywieziono do Jałty, aby je tam pochować: cały przód czaszki przesunięty miał do tyłu siłą pięciu kul, które zabiły go na miejscu, kiedy samotnie pomknął przeciwko czerwonemu kulomiotowi. Być może mimo woli poddaję przeszłość określonej stylizacji, ale wydaje mi Się teraz, że mój tak wcześnie poległy przyjaciel nie zdążył w istocie wyzwolić się z wojowniczo romantycznych nastrojów jak z Mayne Reida, którym podczas naszych niezbyt częstych i niezbyt długich letnich spotkań, ulegał o wiele bardziej niż ja.

2

Niedawno w bibliotece amerykańskiego uniwersytetu dostałem właśnie *The Headless Horseman* w stuletnim, bardzo niełądnym wydaniu bez żadnych ilustracji. Nie sposób teraz czytać go po kolei, ale są tam przebłyski talentu, a czasem jest to jakoś po gogolowsku malownicze. Weźmy na przykład opis baru w zbudowanym z bierwion teksaskim hotelu lat pięćdziesiątych - wyelegantowany barman bez surduta, w atłasowej kamizelce, w koszuli z zakładkami opisany został bardzo żywo; również spiętrzone kolorowe karafki wśród których „tyka antykwarycznie“ holenderski zegar - „wydają się tęczą połyskującą w tle i otaczającą na kształt wianka jego uperfumowaną głowę“ (jest to oczywiście wczesny Gogol). „Ze szkła do szkła przechodzą i lód, i wino, i monongahela (rodzaj whisky)“. Zapach piżma, absyntu i skórki cytrynowej wypełnia tawernę, a ostre światło „lamp kamfenowych podkreśla ciemne asteryski spowodowane ekspektoracją (splunięciami) na białym piasku, którym wysypana jest podłoga“. W mniej więcej dziewięćdziesiąt lat później, w 1941 roku, w tych właśnie okolicach, gdzieś na południe od Dallas baśniową wiosenną nocą zbierałem wspaniałe sówki i miernikowcowate pod neonowymi latarniami czuwającego garażu.

Do baru wchodzi bandyta *slave whipping Missisippian*, były kapitan wolontariuszy, ponury pięknіś i zawadiaka, Cassius Calhoun. Wznosi grubiański toast: „Ameryka dla Amerykanów, precz z przeklętymi Irlandczykami!“, przy czym umyślnie trąca bohatera naszej powieści, młodego poskromiciela mustangów Maurice’a Geralda w aksamitnych spodniach i pąsowej chustce na szyi: jest on zresztą nie tylko skromnym handlarzem koni, ale, jak się później okazuje, ku tym większemu zachwytowi Luizy, baronem, sir Mauricem. Nie wiem, może właśnie ów brytyjski szyk sprawił, że tak szybko zagasła sława naszego irlandzkiego powieściopisarza w Ameryce - drugiej jego ojczyźnie.

Maurice, gdy tylko został potrącony, dokonuje szeregu czynności w następującej kolejności:

Stawia swą szklankę z whisky na kontuarze.

Wyjmuje jedwabną chustkę (aktor nie powinien się śpieszyć).

Ociera nią z haftowanego gorsu koszuli whisky, którą została sprofanowana.

Przekłada chustkę z prawej dłoni do lewej.

Znowu bierze szklankę z kontuaru.

Chlusta resztką whisky w twarz Calhounowi.

Spokojnie stawia znów szklankę na kontuarze.

Nie bez przyczyny tak dokładnie pamiętam tę artystyczną serię czynności: wiele razy odgrywaliśmy to z moim ciotecznym bratem.

Pojedynek na sześciostrzałowe colty (musieliśmy je zastępować rewolwerami z woskowymi kulkami w bębnach) odbył się tu właśnie w opustoszałej tawernie. Mimo zainteresowania, które wzbudzał („obaj byli ranni... krew tryskała na piasek podłogi"), już gdy miałem dziesięć lat, a może nawet wcześniej, coś mi nieodparcie nakazywało opuścić tawernę z jej czołgającymi się już na czworakach pojedynkowiczami i wmieszać w zamilkły przed tawerną tłum, ażeby móc przyjrzeć się z bliska „w wonnym półmroku" pewnym niejasno i kusząco wspomnianym przez autora „senioritom wątpliwej konduity". Z jeszcze większym przejęciem czytałem o Luizie Pointdexter, jasnowłosej kuzynce Calhouna i przyszłej lady Gerald, córce plantatora cukru. Ta przepiękna, niezapomniana panna, niemal Kreolka, jawi się nam dręczona zazdrością dobrze znaną mi z dziecięcych balów w Petersburgu, kiedy jakaś do szaleństwa ukochana dziewczynka z białą kokardą we włosach nie wiedzieć czemu przestawała nagle mnie dostrzegać. Tak więc Luiza stoi na płaskim dachu swojego domu, wsparłszy się białą dłonią o kamienny parapet wilgotny jeszcze od nocnej rosy, i para jej piersi (tak właśnie jest napisane *her twin breasts*) unosi się i opuszcza, zaś lornetka jest wycelowana - te lornetkę znuluzłem później u Emmy Bovary, potem trzymała ją Anna Karenina, od której przeszła ona do Damy z pieskiem i przez nią zgubiona została na jałtańskim moło. Zazdrosna Luiza kieruje ją na plamiasty cień pod jadłoszynami, gdzie potajemnie kochany przez nią jeździec rozmawia z amazonką, która nie podoba się ani jemu. ani mnie. Donną Isidorą Covarubio de Los Llanos, córką tutejszego haciendado. Autor dosyć paskudnie porównał tę przesadnie rosłą brunetkę do „ślicznego młodzieńca z wąsikami", a jej włosy do „wspaniałego ogona dzikiego konia".

„Zdarzyło mi się pewnego razu wytłumaczył Maurice Luizie - potajemnie kochanej przezeń amazonce - wyświadczyć donnie Isidorze niewielką przysługę, a mianowicie uwolnić ją od bandy zuchwałych Indian." „Niewielką przysługę! - zawołała Luiza - czy pan wie, gdyby mężczyzna wyświadczył mi taką przysługę..." - „Jak by go pani wynagrodziła?" - zapytał Maurice ze zrozumiałym zniecierpliwieniem. „O, pokochałabym go!" - zawołała szczera Kreolka. „W takim wypadku, pani - wolno wyrzekł Maurice - oddałbym pół życia za to, ażeby dostała się pani w łapy Indian, a drugą połowę zu to, ażeby panią z nich uwolnić."

I tu nasz romantyczny kapitan wkomponowuje dziwne autorskie wyznanie. Tłumaczę dosłownie: „najsłodszym w moim życiu pocałunkiem był ten, który otrzymałem w dalekim polu usadowiony w siodle, kiedy kobieta - wspaniała istota - pochyliła się ku mnie ze swego siodła i pocałowała mnie".

To ciężkie „usadowiony" (*as I sat*) przydaje oczywiście cielesności i trwania pocałunkowi, który kapitan tak elegancko „otrzymał" (*had*), ale nawet, kiedy miałem lat jedenaście było dla mnie oczywiste, że taka centaurowa miłość jest z konieczności nieco ograniczona. Poza tym Jurik i ja znaliśmy pewnego licealistę, który wypróbował to na Wyspach, ale koń jego damy zepchnął jego konia do rowu z wodą. Znużeni przygodami w wyrskiej dąbrowie kładliśmy się na trawie i mówiliśmy o kobietach. Nasza niewinność wydaje mi się teraz niemal niesamowita w świetle rozmaitych spowiedzi dotyczących owych lat, które przytacza

Havelock Ellis, gdzie mowa jest o różnych dzieciach wszelkich możliwych płci, uprawiających wszystkie grecko-rzymskie grzechy stale i wszędzie, od anglosaskich ośrodków przemysłowych po Ukrainę (skąd wpłynął jeden, szczególnie babiloński raport od pewnego ziemianina). Slumsy miłości były mi nieznane. Zmusiwszy mnie do podpisania na pergaminie krwią (puszczoną scyzorykiem z dużego palca) przysięgi milczenia, trzynastoletni Jurik zwierzył mi się ze swej potajemnej namiętności do pewnej mężatki w Warszawie (kochankiem jej został o wiele później, mając lat piętnaście). Byłem od niego o dwa lata młodszy i nie miałem czym odpłacić mu za szczerość, jeśli nie liczyć kilku ubogich, troszeczkę podkoloryzowanych opowieści o moich dziecinnych zakochaniach na francuskich plażach, gdzie było tak dobrze i dręcząco, przejrzyście i hałaśliwie, i w petersburskich domach, gdzie zawsze tak dziwnie i nawet straszno było chować się, i szeptać, i być chwytanym rozpaloną dłonią podczas wspólnych zabaw w cudzych, nieznanych korytarzach, w surowych i szarych labiryntach pełnych nieznanych niań, po czym głucho bolała głowa, a po szybach karety przesuwały się tęczujące światła. W tym samym zresztą roku. który teraz stopniowo oczyściłem z namułu wcześniejszych i późniejszych wrażeń doświadczyłem czegoś w rodzaju romantycznej przygody z towarzyszącą jej falą pierwszych męskich doznań. Zamierzam zademonstrować tu bardzo trudny numer, swego rodzaju podwójne salto mortale z tak zwanym walijskim przejściem (starzy akrobaci mnie zrozumieją) i dlatego proszę o zupełną ciszę i uwagę.

3

Jesienią 1910 roku brata i mnie wysłano z guwernerem na trzy miesiące do Berlina celem wyrównania zębów; bratu górne zęby wystawały spod wargi, mnie zaś wszystkie rosły jak popadło - a jeden dodatkowy sterczał nawet ze środka podniebienia jak u młodego rekina. Wszystko to było bardzo nudne. Znakomity amerykański dentysta w Berlinie wykarczował to i owo kozią nóżką, zadając mi straszliwy, nieprzyzwoity ból - i jakże okropny był u ówczesnych dentystów pochmurny widok z okna przed wywindowanym śrubą fotelem i ta wata, sucha, piekielna wata, którą pakowali pacjentowi za dziąsła. Pozostałe zęby ten amerykański okrutnik, zanim zeszpecił nas platynowym drutem, przewinął taśmą. Uważaliśmy oczywiście, że w nagrodę za te piekielne poranki należy się nam wiele rozrywek. *In den Zellen achtzehn A* - oto przypominam sobie nawet adres i bezszelestny bieg wynajętego elektrycznego samochodu. Początkowo wiele grywaliśmy w tenisa, a kiedy nastały chłody, zaczęliśmy niemal codziennie odwiedzać wrotkarnię przy Kurfürstendamm. Orkiestra wojskowa (Niemcy owych lat były krajem muzyki) nie mogła zagłuszyć mechanicznego turkotu nie milknących wrotek. Istniał w Rosji rodzaj chłopców (Wasia Bukietow. Żenią Kan, Kostia Malcew - gdzie jesteście teraz wszyscy?), którzy znakomicie grali w piłkę nożną, w tenisa, w szachy, brylowali na lodowiskach, a biorąc zakręt na ostrych jak brzytwy wyścigowych łyżwach, zmieniali kierunek „przez kolano“, pływali, jeździli konno, uprawiali skoki narciarskie w Finlandii i opanowywali natychmiast każdy nowy sport. Należałem do ich grona i dlatego doskonale bawiłem się na parkietowym skatingu. Było tam około dziesięciu instruktorów w czerwonych uniformach z szamerunkiem, większość z nich mówiła po angielsku (nigdy nie nauczyłem się niemieckiego i nie przeczytałem w życiu ani jednego utworu literackiego w tym języku). Najzręczniejszy z nich, ponury, młody bandyta z Chicago nauczył mnie tańczyć na wrotkach. Mój brat, zgodliwy i niezręczny, w okularach, spokojnie, nikomu nie wadząc, kuśtykał sobie na boczku, guwerner zaś pił kawę i jadł tort mocca w kawiarni za aksamitną barierą. Dostrzegłem wkrótce grupę wdzięcznych, zgrabnych Amerykanek; początkowo wszystkie zlewały mi się w jedno dziwne nęcące zjawisko; stopniowo jednak zacząłem je rozróżniać. Pewnego razu ćwiczyłem walca i na kilka sekund

przed jednym z najboleśniejszych upadków, jaki kiedykolwiek przeżyłem (potłukłem sobie całą twarz) usłyszałem z tej czarującej grupki znany mi już dźwięczny jak uderzenie w harfę glos, który mnie pochwalił. Po dziś dzień powoli przejeżdża przed moimi oczami ta wysoka Amerykaneczka w granatowym kostiumie, w dużym czarnym kapeluszu przebitym na wylot połyskliwą szpilką, w białych glansowanych rękawiczkach i bucikach z lakierowanej skóry, zbrojnych w jakieś specjalne wrotki. Nie spałem po nocach wyobrażając sobie tę Luizę, jej wdzięczną kibić, jej obnażoną, delikatnie błękitnawą szyję i zdumiewałem się dziwnej fizycznej niedogodności, której, jeśli nawet doznawałem wcześniej, to nie w związku z jakimiś fantazjami, a tylko dlatego, że ocierały mnie rajtuzy. Pewnego razu gdy szedłem przez westybul wrotkami, stała koło doryckiej kolumny z moim instruktorem i ten gładko ulizany zuchwalec pokroju Calhouna trzymał ją mocno za przegub ręki i czegoś się domagał, ale ona po dziecinnemu kręciła w różne strony unieruchomioną rękę, najbliższej więc nocy kilka razy pod rząd zasztyletowałem go, zastrzeliłem i zadusiłem.

Nasz guwerner, ów „Leński", o którym pisałem z innej okazji, człowiek wielce moralny i nieco naiwny, znalazł się za granicą po raz pierwszy i nie zawsze było mu łatwo pogodzić swoje żarliwe zainteresowanie tym, co nęci turystów z obowiązkiem pedagogicznym, toteż, na ogół biorąc, bratu i mnie udawało się często zaciągnąć go tam. dokąd, być może, rodzice wcale by nas nie puścili. Tak na przykład, uległ on z łatwością ponęcie Wintergartenu i oto pewnego razu znaleźliśmy się wraz z nim w jednej z przednich lóż pod sztucznym niebem tego słynnego lokalu, gdzie przez słomkę pociągaliśmy spod bitej śmietanki gładką i niezwykle smaczną mrożoną czekoladę.

Program był taki jak zwykle: był tam żongler we fraku, była pokaźnej postury śpiewaczka, która jarzyła się od sztucznej biżuterii, wyśpiewując arie w przemiennych promieniach zielonego i czerwonego reflektora, potem był komik na wrotkach; pomiędzy nim a numerem rowerowym (o którym opowiem w swoim czasie) widniał w programie punkt: „The Gala Girls" - i z wstrząsającą i haniebną nagłością, która skojarzyła mi się z upadkiem na pokryty czarnym pyłem tor wrotkowy, rozpoznałem moje amerykańskie piękności w girlandzie hałaśliwych girls, które, trzymając się za ręce zwartym, wspaniałym frontem tęczowaly z prawej ku lewej i z powrotem, wyrzucając rytmicznie to dziesięć lewych, to dziesięć prawych, jednakowo różowych nóg. Odnalazłem twarz mojej wielkookiej Luizy i zrozumiałem, że nawet jeśli wyróżniała się ona wśród swoich wulgarnych koleżanek jakąś gracją, jakimś nalotem czułości, wszystko jest skończone. Nie mogłem przestać myśleć o niej od razu, ale doznany wstrząs stał się bodźcem procesu indukcyjnego, wkrótce bowiem spostrzegłem jako nowy cud swoich lat chłopięcych, że teraz już nie tylko ona, ale postać każdej kobiety pozującej niczym niewolnica z akademii mojemu nocnemu marzeniu, powoduje znaną już, lecz wciąż jeszcze zagadkową niedogodność. O symptomy te prostodusznie rozpytałem rodziców, którzy przyjechali właśnie do Berlina z Monachium czy Mediolanu i ojciec rzeczowo zaszeleścił niemiecką gazetą, którą właśnie rozłożył i odpowiedział mi po angielsku - zaczynając - najwidoczniej długie wyjaśnienie od intonacji „pozornego cytatu", przy pomocy której lubił nabierać rozpędu w swoich oracjach: Jest to, mój przyjacielu, zaledwie jedna z absurdalnych kombinacji występujących w naturze - coś jak współzależność zmieszania i zarumienionych policzków, nieszczęścia i zaczerwienionych oczu, *shame and blushes, grief and red eyes... Toistoi vient de mourir*", przerwał nagle samemu sobie innym już, oszołomionym tonem zwracając się do mojej matki siedzącej tuż obok przy wieczornej lampie. „Co ty mówisz" - boleśnie i cicho wykrzyknęła matka złączywszy ręce, a potem dodała: „czas wracać" - jakby śmierć Tołstoja była zwiastunem niewiadomych apokaliptycznych klęsk.

4

Wróćmy teraz do numeru z rowerem w mojej wersji. Latem następnego, 1911 roku, Jurik Rausch nie przyjechał i zostałem sam z zapasem niejasnych przeżyć. Siedząc w kucki przed niewygodnie niską półką w galerii dworu, w półmroku, który jakby naumyślnie przeszkadzał mi w moich potajemnych eksploracjach, wyszukiwałem znaczenie wszelkich ciemnych, kuszących i drażniących terminów w siedemdziesięciodwutomowej encyklopedii Brockhausa. Dla oszczędności zasadniczy wyraz zastępowała w tekście hasła jego pierwsza litera, tak że do kiepskiego oświetlenia, kurzu i drobnego druku przyłączało się jeszcze maskaradowe pojawienie się i znikanie wielkiej litery oznaczającej mało znane słowo, ukrywające się w szarym peticie przed młodym czytelnikiem i malinową fałdą na jego czole. Łowienie motyli i wszelkiego rodzaju sporty wyptłniafy słoneczne godziny letniej doby. żadne jednak zmęczenie fizyczne nie było w stanie zniweczyć niepokoju, który posyłał mnie co wieczór w tę nieokreśloną podróż. Przed obiadem jeździłem konno, zaś o zachodzie, napompowawszy opony do granic wytrzymałości, jechałem Bóg wie dokąd na starym Enfieldzie albo na nowym Swifcie, któremu rogi kierownicy odwróciłem tak, że ich końce opatrzone wulkanizowanymi ochraniaczami znajdowały się poniżej poziomu siodełka i pozwalały mi wyginać grzbiet z wyścigowym fasonem. Z poczuciem bezciclesności zagłębiałem się w barwne wieczorne powietrze i mknąłem aleją parku tropem wczorajszego śladu moich własnych dunlopowskich opon: starannie omijałem sterczące korzenie i gutaperkowe ropuchy: wybierałem z daleka opadłą gałązkę i łamałem ją z lekkim chrzęstem czulą oponą; lawirowałem zręcznie między dwoma listkami albo między kamyczkiem a dołkiem w ziemi, z którego, przejeżdżając, wybiłem go poprzedniego dnia; przez mgnienie delektowałem się krótką gladzizną mostku nad strumykiem; hamowałem i pchnięciem kola otwierałem białą furtkę na krańcu Starego Parku: a polem, upojony swobodą i smutkiem furkotałem po twardym lepkim poboczu polnych dróg.

Tego latu przejeżdżałem co wieczór obok wyzłoconej zachodem chaty, na której czarnym progu zawsze o tej porze stała Poleńka. moja rówieśnica, córka stangreta. Stała wsparta o futrynę, lekko i swobodnie złożywszy ręce na piersiach - uosabiając i *rus,* i Ruś - ze zdumiewająco życzliwie rozjaśnioną twarzą, patrzyła z daleka jak się zbliżam, gdy jednak podjeżdżałem blask ten stopniowo redukował się do półuśmiechu, potem do jego śladu w kącikach zaciśniętych warg, a wreszcie niknął w ogóle, tak że zrównawszy się z nią nie znajdowałem po prostu na jej ślicznej, okrągłej, leciutko tkniętej ospą twarzyczce i w zezujących, jasnych oczach żadnego wyrazu. Ale gdy tylko przejechałem i przed wzniesieniem oglądałem się za nią, znowu zarysowywał się na jej policzku delikatny doleczek i znowu jej drogie rysy promieniały tajemniczym światłem. Mój Boże, jakże ją uwielbiałem! Nie zamieniłem z nią nigdy ani słowu, ale nawet wówczas, gdy już przestałem jeździć tamtą drogą w porze niskiego słońca, nasza milcząca znajomość przez trzy czy cztery latu od czasu do czasu jeszcze się odnawiała. Zdarzyło się, że nasępiony, w sztylpach, ze szpicrutą zachodzę do obór albo stajni i ni stąd, ni zowąd pojawia się nagle ona, jakby wyrosła ze złocistej ziemi, i zawsze trzyma się troszkę na uboczu, zawsze jest bosa i pociera podbiciem stopy o łydkę drugiej nogi albo czwartym palcem drapie sobie przedziałek w jasnych włosach i zawsze się o coś opiera, o drzwi stajni, kiedy siodłają mi konia, albo o pień lipy w jaskrawo rozświetlony wrześniowy ranek, kiedy wiejska służba zbierała się całą gromadą przed paradnym gankiem, aby żegnać nas, odjeżdżających na zimę do miasta. Za każdym razem jej piersi pod szarym kretonern wydawały mi się miększe, a obnażone ręce mocniejsze i pewnego razu na krótko przed tym, zanim przeniosła się do odległej wsi, dokąd ją, szesnastoletnią, wydano za pijaka kowala, dostrzegłem, przechodząc obok niej, błysk czułej kpiny w jej szeroko rozstawionych jasnobrązowych oczach. Dziwnie to brzmi, ale w

moim życiu ona pierwsza zyskała czarodziejską zdolność wypełniania do dna mego snu nasyconym światłem i słodyczą (a sprawiała to nie pozwalając zagasnąć uśmiechowi), podczas gdy w świadomym życiu ani myślałem o zbliżeniu z nią, bardziej nawet obawiając się tego, że zapiekłe na jej nogach bioto i zatęchła woń chłopskiej sukienki wzbudzi we mnie obrzydzenie, niż że obrażę ją trywialnymi zalotami panicza.

5

Zanim rozstanę się z tą natarczywą wizją, chciałbym zatrzymać przed oczami jednocześnie dwa obrazy. Jeden z nich długo trwał we mnie całkowicie oderwany od skromnej Poleńki, stojącej na czarnym stopniu złocistej chaty; strzegąc własnego spokoju nie chciałem wiązać z nią owego rusalczanego wcielenia jej żałosnej piękności, które pewnego razu podpatrzyłem. Było to w czerwcu owego roku, kiedy oboje ukończyliśmy trzynaście lat; przedzierałem się hrzegiem Oredży szukając tak zwanych „czarnych“ apollinów (*Parnassitts mnemosyne*), przedziwnych, bardzo dawnego pochodzenia motyli o na wpół przejrzystych, połyskliwych skrzydłach i puszystych jak bazie tułowiach. Pogoń za tymi cudownymi istotami zaprowadziła mnie w zarośla czeremchy i olch tuż nad brzegiem zimnej, granatowej rzeki, gdy nagle rozległy się krzyki i pluskanie, i zza wonnego krzewu zobaczyłem Poleńkę i trzech jeszcze czy czterech podrostków pluskających się na golasa przy szczątkach zbutwiałych pali, gdzie niegdyś było kąpielisko. Mokra, pokrzykująca, zadyszana, z gilem pod zadartym nosem, ze stromo wznoszącymi się dziecinnymi żebrami ostro zarysowanymi pod bladą, gruzełkowatą z zimna skórą, z łydkami pochlapanymi czarnym błotem, z okrągłym grzebieniem płonącym w ciemnych od wody włosach, uciekała przed ogoloną do skóry dziewczynką o wydatnym brzuszku i bezwstydnie podnieconym chłopakiem z tasiemką wokół lędźwi (zdaje się od uroku), którzy gonili ją chlastając wodę wyrwanymi pędami wodnych lilii.

Druga wizja pochodzi z okresu po Bożym Narodzeniu w 1916 roku. Stojąc w przedwieczornej ciszy na zasianym śniegiem peronie stacji Siwierskiej spoglądałem na odległy, srebrny zagajnik, który pod gasnącym niebem nabierał stopniowo barwy ołowiu i czekałem, ażeby pojawił się zza niego rysowany gwaszem dym pociągu, który miał zawieźć mnie z powrotem do Petersburga po wesołym dniu spędzonym na nartach. Fiołkowy dym właśnie się pojawił, gdy przeszła koto mnie Poleńka z inną młodą chłopką - obie były w grubych chustach, w dużych walonkach, w bezkształtnych pikowanych kabatach na watolinie wyłażącej spod podartego czarnego materiału i Poleńka z siniakiem pod okiem i nabrzmiałą wargą (mówiono, że mąż bije ją w święta) powiedziała nie zwracając się do nikogo, melodyjnie i w zamyśleniu: „A panicz mnie nie poznał.“ Ten jeden raz tylko usłyszałem jej głos.

Tym głosem mówią dziś ze mną owe letnie wieczory, kiedy jako chłopiec tak bezdźwięcznie i szybko przejeżdżałem obok długiego cienia jej niskiej chaty. W miejscu, gdzie polna droga wpadała do pustynnej szosy, zsiadałem z roweru i opierałem go o słup telegraficzny. Na bliskim, zupełnie rozwartym niebie zwlekał jeszcze groźny w swej wspaniałości zachód słońca. Wśród jego niedostrzegalnie zmieniających się spiętrzeń wzrok rozróżniał anilinowo zabarwione elementy struktury niebieskich organizmów - ognistoczerwone szpary w ciemnych masywach, gładkie powietrzne mielizny i miraże rajskich wysp. Wówczas jeszcze nie umiałem - tak jak doskonale umiem teraz - poradzić sobie z takim niebem, przetopić w coś, co można oddać czytelnikowi, niechże to on niemieje z podziwu: ówczesna moja nieumiejętność uporania się z pięknem pogłębiała smutek. Gigantyczny cień zaczynał zatapiać równinę, w miodowej ciszy monotonnie huczały slupy, ostro dudniła we mnie krew,

żerujące nocami gąsienice niektórych motyli zaczynały niespiesznie z ledwie dosłyszalnym chrzęstem wpełzać po łodygach swych żywicielskich roślin, śliczna niebieska gąsienica w zielone paseczki pracowała żuchwami na skraju polnego listka, wycinając w nim z góry do dołu regularny półksiężyc, prostując szyję i znowu zaczynając gryźć od góry, ażeby pogłębić półkole. Machinalnie przeniosłem żarłoka wraz z jego kwiatkiem do jednego z pudełeczek, które zawsze miałem przy sobie, ale moje myśli w owych odległych czasach dalekie były od żywienia motyli. Colette, moja koleżanka z plaży, tancerka Luiza; wszystkie te rozczerwienionc, wonnowlose dziewczynki w nisko zawiązanych kolorowych jedwabnych paskach, z którymi bawiłem się na dziecinnych uroczystościach; hrabina C., tajemnicza namiętność mego ciotecznego brata; Poleńka oparta z uśmiechem dziwnej udręki o drzwi w płomieniu moich nowych snów; wszystko to zespalało się w jedną, jeszcze mi nie wiadomą postać, którą jednak wkrótce miałem poznać.

Pamiętam jeden z takich wieczorów... Jego blask czerwieniał na wypukłości rowerowego dzwonka. Nad czarnymi strunami telegrafu rozpościerały się wachlarzowato ciemnofioletowe krawędzie wspaniałych malinowych chmur: było to niczym apoteoza, w której okrzyki przełożone zostały na gromkie kolory. Okrzyki blakły. powietrze przygasało, ciemniały pola; tuż nad horyzontem jednak, nad drobnym blankowaniem zwężającego się ku południowi sosnowego lasu, w przejrzystym jak woda turkusowym prześwicie, cieniowanym od góry warstwami poczerniałych chmur, otwierała się oczom jakby osobna dal z własnymi ornamentami, które tylko bardzo głupi czytelnik mógłby uznać za zapasowe elementy nadciągającego zachodu. Prześwit ów obejmował bardzo niedużą część ogromnego nieba i miał w sobie tę czulą wyrazistość, którą mają przedmioty, jeśli patrzy się na nie przez odwrócony teleskop. Tam w zminiaturyzowanym kształcie przysiadła rodzina zwiastujących pogodę obłoków, skupisko jasnych powietrznych zawojów, anachronizm mlecznych barw; coś bardzo odległego, ale wykończonego w najdrobniejszym szczególe: fantastycznie pomniejszony, ale całkowicie już gotowy do przekazania mi - mój jutrzejszy baśniowy dzień.

Rozdział jedenasty

1

Po raz pierwszy zobaczyłem Tamarę - wybieram dla niej pseudonim w kolorycie jej prawdziwego imienia kiedy miała lat piętnaście, a ja szesnaście. Dookoła, jak gdyby nigdy nic, lśniło i falowało wyrskie lato. Drugi już rok trwała odległa wojna. W dwa lata później sławetna zmiana ustroju w państwie miała unicestwić znajomą i łagodną rzeczywistość dworu za kulisami w wierszach Aleksandra Błoka pobrzmiewały już grzmoty.

Na początku tego lata i przez cały rok poprzedni imię „Tamara“ pojawiało się (z ową udawaną naiwnością, cechującą zachowania losu. gdy przystępuje do ważnego przedsięwzięcia) w różnych miejscach majątku. Znajdowałem je wypisane chemicznym ołówkiem na białej furtce, nakreślone patykiem na czerwonym piasku alei, wydłubane niewyraźnie na oparciu ławki, jakby sama natura, lekceważąc obecność naszego starego stróża, wiecznie wojującego z nachodzącymi park letnikami, uprzedzała mnie, czyniąc tajemnicze znaki, o przybliżaniu się Tamary. Owego lipcowego dnia. kiedy ją wreszcie zobaczyłem stojącą zupełnie nieruchomo (poruszały się tylko źrenice) w szmaragdowym świetle brzozowego zagajnika wydało mi się, że z bezdźwięczną nagłością i doskonałością narodziła się właśnie wśród plam tych malowanych akwarelą drzew.

Wyczekawszy, aby usiadł niewidzialny dla mnie giez, przytrzasnęła go i zadowolona puściła się pędem przez ożywiony i rozchwiany zagajnik doganiając siostrę i koleżankę, które ją bardzo wyraźnie wołały; nieco później z porosłego dzikimi malinami starego cmentarza, który niczym kaleka bokiem schodził ku rzece stromym zboczem, dojrzałem, jak szły wszystkie trzy przez most postukując jednakowo wysokimi obcasikami, jednakowo

wsunąwszy dłonie do kieszeni ciemnogranatowych żakiecików i jednakowo, ażeby odpędzić muchy, potrząsając głowami ustrojonymi w kwiaty i wstążki. Bardzo szybko, podejmując odpowiednie inwigilacje, dowiedziałem się, gdzie jej matka wynajmowała domek: osłaniał go jabłoniowy gaj. Codziennie konno albo na rowerze przejeżdżałem tamtędy - i na zakręcie tej albo innej drogi coś nagle oślepiająco wybuchało mi w piersi i wyprzedzałem Tamarę, która z rzeczową energią szła poboczem. Ten właśnie żywioł natury, który stworzył ją w topniejącym blasku brzeziny, usunął delikatnie najpierw jej koleżankę, a później siostrę; promień mego losu skupił się wyraźnie na ciemnej głowie, to w wianku bławatków, to z dużą kokardą z czarnego jedwabiu, którym przewiązany był na karku złożony we dwoje kasztanowaty warkocz; dopiero jednak dziewiątego sierpnia, według nowego kalendarza, zdecydwalem się do niej odezwać.

Przez starannie przetarte szklą czasu jej uroda płonie wciąż równie blisko i mocno jak płonęła niegdyś. Była niewielkiego wzrostu, skłonna nieco do pulchności, ale gibka kibić i szczupłość kostek sprawiały, że nie tylko nie niweczyło to, ale przeciwnie, podkreślało jej żywość i gracją. Zapewne dzięki przymieszce tatarskiej czy też czerkieskiej krwi jej wesołe czarne oczy miały osobliwy wykrój, a czerwień policzków była smagła. Pod światło profil jej obrysowany był kosztownym puszkiem, jakim pokryte są owoce drzew z grupy migdałowych. Jej czarująca szyja była zawsze obnażona, nawet w zimie - uzyskała jakimś sposobem pozwolenie na nienoszenie kołnierzyka, który obowiązywał uczennice gimnazjum. Miała na podorędziu wszelkie nieoczekiwane powiedzonka i ogromny zapas drugorzędnych wierszy - była tu Żadowska i Wiktor Hofman, i K. R. , i Mereżkowski, i Mazurkiewicz, i Bóg raczy wiedzieć jakie jeszcze panie i jacy panowie, do których słów pisano romanse w rodzaju: „Twój cichy kąt kwiatami ustroiłem“ albo „Chrystus zmartwychpowstał, płynie śpiew z kościoła“. Powiedziawszy coś śmiesznego albo nazbyt lirycznego dodawała ironicznie, mocno wytchnąwszy powietrze przez nozdrza: „Ale świetnie!“. Jej humor, cudowny beztroski śmieszek, szybka mowa, grasejowanie. błysk i śliska gladzizna zębów, wilgotne powieki, włosy, delikatne piersi, stare pantofelki, nos z garbkiem, tanie mdłe perfumy, wszystko to, przemieszane, złożyło się na niezwykłą, zachwycającą mgiełkę, w której moje uczucia utonęły bez reszty. „Cóż, my jesteśmy mieszczaneczki, my oczywiście nic nie wiemy“ mawiała z takim łuskliwym uśmieszkiem, jakby pogryzała pestki: w gruncie rzeczy jednak była ode mnie subtelniejsza, lepsza i mądrzejsza. Bardzo niejasno wyobrażałem sobie jej rodzinę: ojciec jej był urzędnikiem w innej guberni, matka miała patronimicum jak ze sztuki Ostrowskiego. Życie bez Tamary wydawało mi się fizyczną niemożliwością, kiedy jednak mówiłem jej, że się pobierzemy, gdy tylko skończę gimnazjum, odpowiadała, że bardzo się mylę albo naumyślnie mówię głupstwa.

Brzozy pożółkły już w drugiej polowie sierpnia; przez ich zagajniki przepływały spokojnie ledwie poruszając czarnym skrzydłem żałobnice, duże aksamitne motyle z różowa wy m lamowaniem. Spotykaliśmy się za rzeką w parku sąsiedniego majątku, należącego do mego wuja: tego lata pozostał on we Włoszech, my zaś z Tamarą niepodzielnie zawładnęliśmy i tym rozległym parkiem z jego omszałościami, i urnami i jesiennym lazurem, i jasnobrązowym cieniem szeleszczących alei, i ogrodem pełnym mięsistych, różowych i ognistych georginii, i altankami, i ławkami, i tarasami zamkniętego domu. Wolgin, guwerner brata i mój, który ze względu na nasz zaawansowany wiek winien byl oczywiście ograniczać swoje guwernerstwo do udziału w tenisie i pisania za nas tych piekielnych szkolnych wypracowań, które zadawano na lato (pisał je za niego jakiś jego krewny), próbował chować się po krzakach i nieomal z odległości wiorsty śledzić mnie i Tamarę przez ciężki teleskop, który znalazł na strychu domu w Wyrze; rządca stryja Jewsiej z szacunkiem mi o tym zameldował, a ja poskarżyłem się matce: wiedziała o Tamarze tylko z moich wierszy, które

zawsze matce dawałem do czytania, ale bez względu na lo, co sobie myślała o naszych spotkaniach, poczuła się tak jak ja obrażona krzakami i teleskopem. Kiedy wieczorami odjeżdżałem w zwarty mrok na swoim wiernym Swifcie, kręciła tylko głową i przypominała lokajowi, aby przygotował mi na potem zsiadłe mleko i owoce. W ciemnościach szemrał deszcz. Ładowałem rowerową latarkę magicznymi kawałkami karbidu, zasłaniałem przed wiatrem i zamknąwszy biały płomień za szkłem, ostrożnie zagłębiałem się w mrok. Krąg światła wykrywał wilgotny i wyprasowany skraj drogi między rteciowo połyskującymi kałużami po jej środku a siwizną trawy, porastającej pobocze. Mój blady promień wskakiwał jak chwiejne widmo na gliniaste zbocze zakrętu i znowu wymaeywał drogę, którą zjedwie dosłyszalnym terkotem zjeżdżałem ku rzece. Za mostem ścieżka, bramowana mokrym jaśminem, szla stromo w górę; musiałem zsiadać z roweru i pchać go, a z góry kapało mi na dłoń. W górze trupie światło karbidu migało po połyskujących kolumnach, tworzących portyk na tyłach domu stryja. Tam w życzliwym zakątku, kolo zamkniętych okiennic, pod arkadami czekała na mnie Tamara. Gasiłem latarkę i omackiem wchodziłem po śliskich stopniach. W niespokojnym mroku stuletnie lipy głośno nabrzmiewały wiatrem i skrzypiały. Z rynny umieszczonej z boku przychylnych kolumn niezmordowanie płynęła woda jak w górskim wąwozie, czasami kiedy stykały się dwie potężne gałęzie, przypadkowy, odmienny szelest zakłócał rytm deszczu szumiącego w listowiu i kazał Tamarze zwracać twarz w kierunku imaginowanych kroków, a wtedy jej tajemnicze rysy rozróżniałem jakby dzięki własnej ich fosforescencji; to jednak skradał się tylko deszcz, więc lekko już teraz odetchnąwszy, znowu zamykała oczy.

Z nadejściem zimy nasz obłąkany romans został przeniesiony w miejską, o wiele mniej przychylną scenerię. Wszystko to, co mogło się wydawać - i co się wielu wydaje - po prostu atrybutami klasycznej poezji w rodzaju na przykład „osłony losu“, „samotności“, „wiejskiego rozmarzenia“ i innych puszkinowskich galicyzmów, nagle, kiedy naprawdę straciliśmy nasze wiejskie schronienie, nabrało ważkości i znaczenia. Pokoje umeblowane, wątpliwe, jak się to określa, hotele, osobne gabineciki, cały sztafaż francuskich wpływów na literaturę ojczystą po Puszkinie znajdował się. muszę wyznać, poza granicami zakusów szesnastoletniego wychowanka szkoły Tcniszewa. Potajemność spotkań, tak miła i naturalna na wsi. obróciła się teraz przeciwko nam; a ponieważ obojgu nieznośna była myśl o spotykaniu się u mnie albo u niej w domu, pod nieuchronnym nadzorem, a nie starczyło nam przebiegłości, aby przewidzieć, jak szybko byśmy się z tym nadzorem uporali, Tamara w swym skromnym szarym futerku i ja z kastetem w aksamitnej kieszeni płaszcza musieliśmy wędrować po ulicach, po oblodzonych petersburskich ogrodach, po zaułkach, gdzie bulwar jakoś się rozpadał i gdzie zdarzały się spotkania z chuliganerią, te zaś nieustanne poszukiwania schronień rodziły dziwne uczucie bezdomności: i tu właśnie zaczyna się temat bezdomności, zgłuszona uwertura do późniejszych, o wiele surowszych wędrówek.

Chodziliśmy na wagary: nie pamiętam, jak sobie radziła Tamara, ja zaś przekupywałem naszego szwajcara Ustina, który zawiadywał telefonem na parterze (24-43), a Władimir Gippius, który często dzwonił ze szkoły, aby zapytać o moje zachwiane zdrowie, nie widział mnie w klasie na przykład od poniedziałku do piątku, we wtorek zaś znowu zaczynałem chorować. Siadywaliśmy na ławkach w Ogrodzie Taurydzkim, zsunąwszy najpierw równy śnieżny czaprak z zimnego siedzenia ławki, a potem rękawice z gorących rąk. Wstępowaliśmy do muzeów. Rankami dni powszednich było tam sennie i pusto, klimat zaś cieplarniany w porównaniu z tym. co działo się za wschodnim oknem, gdzie na przemarzłym szarobłękitnym niebie słońce wisiało nisko, czerwone jak malinowa pomarańcza. W tych muzeach wyszkiwaliśmy najodleglejsze, najbardziej niepozorne salki z niewielkimi, smagłymi, holenderskimi scenkami łyżwiarskich uciech we mgle. z akwafortami, których

nikt nie przychodził oglądać, z eksponatami paleograficznymi, z wyblakłymi makietami, modelami warsztatów drukarskich i temu podobnymi ubogimi przedmiotami, pośród których zapomniana tu przez zwiedzającego rękawiczka wprost pulsowała życiem. Jednym z naszych najudatniejszych odkryć była niezapomniana komórka, gdzie złożone były drabinki, puste ramy i szczotki. Pamiętam, że Ermitaż miał różne takie zakątki - w którejś z sal pośród witryn z egipskimi, fatalnie stylizowanymi chrabąszczami, za sarkofagiem jakiegoś kapłana imieniem Nana. W muzeum Aleksandra Trzeciego sala trzydziesta i trzydziesta trzecia, gdzie przechowywano z nabożeństwem akademickie paskudztwa, jak na przykład obrazy Szyszkowa i Charłamowa - jakąś *Przesiekę w lesie* albo *Głowę Cyganiątka* (dokładnie nie pamiętam) - zalecała się zakątkami za wysokimi, szklanymi szafami rysunków i udzielała nam czegoś w rodzaju gościny, dopóki nie dopadał nas grubiański dozorca. Stopniowo z wielkich i słynnych muzeów przechodziliśmy do malutkich, do muzeum Suworowa na przykład, gdzie w hermetycznej ciszy jednego z niewielkich pokoi pełnego sfatygowanej broni i podartych, jedwabnych sztandarów, woskowi żołnierze w botfortach i zielonych mundurach pełnili honorową wartę nad naszą szaleńczą nieostrożnością. Bez względu jednak na to, dokąd szliśmy, ten albo inny siwy dozorca na zamszowych podeszwach wcześniej czy później zaczynał się nam przyglądać, o co na tym puskowiu było nietrudno - i znów musieliśmy dokądś się przenosić, do Muzeum Pedagogicznego, do Muzeum Karoc Dworskich, aż wreszcie do miniaturowego gabinetu starych map, a stamtąd znowu na ulicę pod padający pionowo grubymi płatkami śnieg Świata Sztuki.

Pod wieczór ukrywaliśmy się często w ostatnim rzędzie jednego z kinematografów na newskim, „Piccadilly“ albo „Parisiana“. Technika filmowa niewątpliwie postępowała naprzód. Już wówczas, w roku 1915, istniały próby udoskonalenia iluzji poprzez wprowadzenie barwy i dźwięku: fale morskie zabarwione chorobliwym błękitem biegły i rozbijały się o ultramarynową skałę, w której z dziwnym uczuciem rozpoznawałem Rocher de la Vierge, Biarritz, przypływ mego międzynarodowego dzieciństwa i przez czas, gdy to morze pluskało się w farbce niczym bielizna, specjalna maszyneria zajmowała się naśladowaniem dźwięku wydając syczenie, które nie wiedzieć czemu nigdy nie kończyło się jednocześnie z obrazem morza i które zawsze trwało jeszcze dwie albo trzy sekundy, kiedy już przemykał Obraz następny: dziarski pogrzeb podczas deszczu w Paryżu albo wymizerowani. obdarci jeńcy wojenni z naszymi ostentacyjnie strojnymi dzielnymi żołnierzami, którzy ich zagarnęli. Dość często ż jakiegoś powodu tytuł przeboju stanowił cały cytat, jak na przykład „Chryzantemy już dawno przekwitły w ogrodzie“ albo „I sercem bawiąc się jak lalką, rozbił jak lalkę serce jej“, albo wreszcie „Nie zadawajcie jej pytań na próżno“ (zaczynało się od tego, że dwaj nazbyt ciekawscy inteligenci z przyprawionymi brodami zrywali się nagłe z ławki przy nabrzeżu imienia raczej Dostojewskiego niż Bloka, i gestykulując napierali na jakąś przestraszoną damę, co znaczyło, że na próżno zadawali pytania). W owych latach gwiazdy płci żeńskiej miały niskie czółka, wspaniale brwi i mocno podczernione oczy. Jednym z ulubieńców ekranu był aktor Mozżuchin. Jakieś rosyjskie towarzystwo filmowe nabyło elegancki dom pod miastem, z białymi kolumnami (podobny trochę, co mnie wzruszało, do domu wuja) i ten dwór pojawiał się we wszystkich filmach tego towarzystwa. Po fotogenicznym śniegu podjeżdżał do niego wytwornym powozikiem Mozżuchin w płaszczu z karakułowym szalowym kołnierzem, w karakułowej czapce i z ciemno ołowianej źrenicy kierował jasnostalowe spojrzenie na rozświetlone okno, podczas gdy słynna żuchwa grała mu pod skórą ciasno opinającą kości policzkowe.

Gdy minęły chłody wędrowaliśmy często w księżycowe wieczory po klasycznych pustkowiach Petersburga. Na rozległościach cudownego placu dźwięcznie wyłaniały się przed nami różne architektoniczne widma: zachowuję słownictwo, które mi się wówczas

podobało. Spoglądaliśmy w górę, na gładki granit slupów wypolerowanych niegdyś przez niewolników, które teraz ponownie polerował księżyc i słupy te powoli, obracając się nad nami w wypolerowanej pustce nocy, płynęły w górę, aby podeprzeć tam tajemnicze wyokrąglenia soboru. Zatrzymywaliśmy się na samym skraju - jakby to była otchłań, a nie wysokość - groźnych, kamiennych masywów i w lilipucim uwielbieniu zadzieraliśmy głowy, napotykając po drodze coraz to nowe wizje - kilku atlasów albo gigantyczną urnę kolo żeliwnego ogrodzenia, albo ową kolumnę uwieńczoną czarnym aniołem, który w księżycowym blasku beznadziejnie próbował dosięgnąć podnóżka puszkinowskiego wiersza.

Później, w rzadkich chwilach przygnębienia Tamara mówiła, że nasza miłość nie podołała owemu trudnemu petersburskiemu okresowi, i że pojawiło się na niej długie, delikatne pęknięcie. Przez te miesiące stale pisałem wiersze do niej, dla niej i o niej - po dwa, trzy tygodniowo; w roku 1916 wydałem zbiorek i byłem zdumiony, kiedy uzmysłowiła mi, że większość tych wierszy mówi o rozłące i utracie, bowiem, choć to dziwne, stało się tak, że nasze pierwsze spotkania w lirycznych alejach, w wiejskiej głuszy, w szeleście listowia i szemraniu deszczu wydawały się nam już owej bezdomnej zimy bezpowrotnym rajem, zaś ta zima - wygnaniem. Spieszę tu dodać, że mój pierwszy tomik wierszy był wyjątkowo kiepski i w żadnym razie nie należało go wydawać. Natychmiast i zasłużenie zmasakrowali go ci nieliczni recenzenci, którzy dziełko dostrzegli. Dyrektor Szkoły Teniszewa, W. Gippius, piszący (pod pseudonimem Bestużew) wiersze, które wydawały mi się wówczas genialne (zresztą i teraz niektóre pamiętne do dziś wersy jego zdumiewającego poematu o synu sprawiają, że po grzbiecie przebiega mi dreszcz), przyniósł kiedyś egzemplarz mojego zbiorku do klasy i dokładnie go zjechał, wywołując powszechną albo niemal powszechną wesołość. Wielkim był drapieżcą ten rudobrody, płomienisty mężczyzna w dziwacznie wąskiej dwurzędowej kamizelce, pod zawsze rozpiętą marynarką jakby polutującą wokół niego, gdy wsunąwszy jedną rękę do kieszeni spodni i unosząc jedno ramię, szybkim krokiem przemierzał salę rekreacyjną. Jego o wiele sławniejsza, ale mniej utalentowana kuzynka Zinaida. spotkawszy na posiedzeniu Fundacji Literackiej mego ojca, który był zdaje się jej prezesem, powiedziała mu: „Niech pan powtórzy synowi, że nigdy nie będzie pisarzem“ - i swego proroctwa nie mogła mi później zapomnieć przez niemal trzydzieści lat. Niejaki L., dziennikarz, człowiek porządny, ubogi, niekulturalny, pragnąc podziękować memu ojcu za jakąś zapomogę, napisał entuzjastyczny artykuł o moich marnych wierszykach, około pięciuset linijek ociekających mdłymi pochlebstwami; ojciec zdążył przechwycić artykulik i nie dopuścić do jego wydrukowania, ja zaś pamiętam żywo, jak czytaliśmy pisarczykowatym charakterem napisany manuskrypt i wydawaliśmy dźwięki - połączenie zgrzytania zębów i cichego jęku - czym w naszej rodzinie należało reagować na bezguście, niezręczność, trywialność. Historia ta na zawsze uleczyła mnie ze wszelkiego zainteresowania dla aktualnej sławy literackiej i stalą się zapewne przyczyną owej niemal patologicznej obojętności wobec „recenzji“ złych i dobrych, mądrych i głupich, obojętności, która w dalszym życiu pozbawiła mnie wielu mocnych przeżyć, właściwych podobno naturze autora.

Ze wszystkich moich petersburskich wiosen tamta wiosna 1916 roku jawi mi się jako najbarwniejsza, przypominam sobie bowiem takie oto obrazy: złocistoróżowa twarz mojej pięknej, mojej milej Tamary w nie znanym mi dużym białym kapeluszu wśród widzów meczu piłki nożnej, podczas którego sprzyjało mi jako bramkarzowi wyjątkowe szczęście; wścibski wiatr i pierwszą pszczole na pierwszym mleczu o dwa kroki od siatki mojej bramki; dudnienie dzwonów i ciemnobłękitną, drobną falę wolnej od lodu Newy, pstre od confetti błocko bulwaru Gwardii Konnej w Wielkim Tygodniu, piski i stukot „amerykańskich

mieszkańców“[11], którzy wznosili się i opadali w liliowym spirytusie w szklanych rurkach przypominających windy w przejrzystych, oświetlonych na wylot drapaczach chmur Nowego Jorku; motyla żałobnika - rówieśncgo naszej miłości - który wyfrunął po przezimowaniu i w promieniu kwietniowego słońca na oparciu ławki w Ogrodzie Taurydzkim grzał swoje podrapane czarne skrzydła z wypłowiałym do białości brzeżkiem; i jakieś przyjmujące drżenie w powietrzu, upojenie, słabość, nieprzeparte pragnienie zobaczenia znowu lasu i pola - w takie dni nawet Siewierianin wydawał się poetą. Tamara i ja przez całą zimę marzyliśmy o tym powrocie, ale dopiero pod koniec maja. kiedy my, to jest Nabokowowie, przenieśliśmy się już do Wyry, matka Tamary uległa wreszcie jej perswazjom i wynajęła znowu domek w naszych stronach, przy czym, jak pamiętam, postawiła córce jeden warunek, który ta przyjęła z łagodnym hartem andersenowskiej syrenki. Natychmiast po jej przyjeździe upajająco ogarnęło nas młode łato i oto widzę ją wspinającą się na palcach, aby pociągnąć w dól gałązkę czeremchy z pomarszczonymi owockami, drzewo, niebo i życie lśnią w jej śmiejących się oczach, a wesołe zmagania w palącym słońcu sprawiają, że na żółtej czesuczy sukni, pod uniesioną ręką rozrasta się ciemna plama. Docieraliśmy bardzo daleko w las, za Rożdżestwieno. w omszałą głąb boru, kąpaliśmy się w nikomu nie znanej zatoce, przysięgaliśmy sobie wieczną miłość i zbieraliśmy kolcowowskie kwiaty na wianki, które ona, jak każda rosyjska syrenka, tak dobrze umiała splatać, zaś pod koniec lata ona wróciła do Petersburga, aby podjąć pracę (taki właśnie postawiono jej warunek), a potem przez kilka miesięcy w ogóle jej nie widywałem, pochłonięty, w wewnętrznej nieporadności i tępocie serca, różnymi przygodami, które, jak sądziłem, miody literat powinien miewać, aby nabrać doświadczenia. Te przeżycia i komplikacje, te kobiece cienie i zdrady, i znowu wiersze, i kłopoty z płucami, i ośnieżone sanatoria - wszystko to teraz, gdy odbudowuję przeszłość, nie tylko nie przydaje mi się do niczego, ale powoduje ponadto jakieś przesunięcia soczewki i choć manipuluję przy śrubie wycelowanej pamięci, wielu rzeczy nie mogę już rozróżnić i nie wiem, na przykład, jak i gdzie rozstaliśmy się z Tamarą. To zmącenie wynika też z czegoś innego: w pełni spotkań nazbyt długo graliśmy na strunach rozłąki. Tego ostatniego naszego lata jakby się do niej zaprawiając, żegnaliśmy się na wieki po każdym spotkaniu; co nocy. na popielnej ścieżce albo na starym moście z kładącymi się na nim cieniami poręczy, pomiędzy księżycem nieba i rzeki całowałem jej cieple, mokre powieki i wilgotną od deszczu twarz, a odszedłszy, znów wracałem, żeby pożegnać się z nią jeszcze raz, a później długo wjeżdżałem po stromym wzniesieniu w kierunku Wyry, zgięty w pałąk, wtłaczając pedały w ustępliwy, straszliwie wilgotny mrok, który nabierał symbolicznego znaczenia grozy i nieszczęścia, jakiejś złowrogo nadciągającej siły, której nie mogłem stratować.

Z rozdzierającą serce ponurą wyrazistością pamiętam wieczór początku następnego lata, 1917 roku, przy ostatnich rozbłyskach jeszcze wolnej, jeszcze znośnej Rosji. Po całej zimie niepojętej rozłąki nagle, w letniskowym pociągu, znów zobaczyłem Tamarę. Przez kilka zaledwie minut od stacji do stacji staliśmy obok siebie w tamburze łomoczącego wagonu. Czułem rozterkę, jakiej nigdy przedtem nie doznawałem; ściskała mnie za gardło mieszanina dręczącej miłości do niej. współczucia, zdumienia, wstydu, wygadywałem więc fantastyczne głupstwa, ona zaś spokojnie jadła czekoladę, starannie ułamując kwadratowe cząstki z grubej tabliczki, i opowiadała coś o biurze, gdzie pracowała. Z jednej strony torów, nad sinawym bagnem, ciemny dym płonącego torfu zlewał się z dogasającymi ruinami rozległego, oranżowego zachodu. Ciekawe, czy mógłbym udowodnić, powołując się na wydrukowane gdzieś świadectwo, że tego właśnie wieczoru Aleksander Błok odnotował w swym dzienniku ów dym i te kolory. Wszyscy wiedzą, jakie zachody słońca proroczo roztaczały się w owym

[11] Zabawka, składająca się ze szklanych rurek, wypełnionych denaturatem, w których umieszczone są drobiny szkła (przyp. tłumacza).

roku nad dymiącą Rosją, więc później w na wpół autobiograficznej opowieści, poczułem się uprawniony do powiązania tego ze wspomnieniem o Tamarze, wtedy jednak nie miałem do tego głowy; żadna poezja nie była w mocy przydać piękna cierpieniu. Pociąg zatrzymał się na chwilę. Rozległo się prostoduszne granie konika polnego i Tamara odwróciwszy się spuściła głowę i zeszła po stopniach wagonu w nasycony jaśminami mrok.

3

W amerykańskim wydaniu tej książki musiałem wyjaśniać zdziwionemu czytelnikowi, że era rozlewu krwi, obozów koncentracyjnych i zakładników zaczęła się niezwłocznie po tym, gdy Lenin i jego adherenci zagarnęli władzę. Zimą 1917 roku demokracja jeszcze wierzyła, że bolszewickiej dyktaturze można zapobiec. Mój ojciec zdecydował się pozostać w Petersburgu dopóty, dopóki to tylko będzie możliwe. Rodzinę wysłał jednak na Krym, nadający się jeszcze do zamieszkania. Pojechaliśmy dwiema partiami: bral i ja jechaliśmy osobno od matki i trojga młodszych dzieci. Miałem osiemnaście lat. W przyspieszonym trybie, na miesiąc przed formalnym terminem, zdałem końcowe egzaminy i zamierzałem kształcić się dalej w Anglii, a potem zorganizować entomologiczną ekspedycję w góry Chin Zachodnich: wszystko wydawało się bardzo proste i prawdopodobne i wiele się z tego, na ogół biorąc, spełniło. Bardzo długa podróż do Symferopola zaczęła się w dość przyzwoitej jeszcze atmosferze, w wagonie pierwszej klasy było dobrze napalone, lampy były cale, w korytarzu stała bębniąc w szybę aktorka, ja zaś miałem z sobą cały stos białych tomików wierszy w całej gamie ówczesnych tytułów, to jest od niewymyślnego Nokturny do wyrafinowanego Ponowa. Gdzieś w środku Rosji nastrój się zepsuł: do pociągu z naszym sypialnym wagonem włącznie, wpakowali się żołnierze, wracający do domu z któregoś frontu. Obaj z bratem, nie wiem czemu, uznaliśmy, że będzie zabawnie, jeśli zamkniemy się w naszym przedziale i nie wpuścimy tam nikogo. Kilku żołnierzy, nie ustając w szturmie, wdrapało się na dach wagonu i próbowało z niejakim powodzeniem użyć wentylatora naszego przedziału jako klozetu. Kiedy puścił zamek u drzwi, Sergiusz, obdarzony zdolnościami aktorskimi, zaczął symulować tyfus, zostawiono nas więc w spokoju. Trzeciego chyba ranka o samym świcie skorzystałem z postoju, aby wyjść i odetchnąć świeżym powietrzem. Niełatwo było przejść korytarzem poprzez ręce, twarze i nogi śpiących pokotem ludzi. Nad peronem stacji bez nazwy wisiała biaława mgła. Byliśmy gdzieś w pobliżu Charkowa. Miałem na głowie, aż śmiech wspomnieć, melonik, na nogach białe getry, zaś w ręku trzymałem laskę z kolekcji pradziadka - laskę z jasnego, ślicznego, piegowatego drewna, z okrągłą kolorową rękojeścią, w złotej podobnej do korony oprawie. Wyznam, że na miejscu jednego z tych tragicznych włóczęgów w żołnierskim płaszczu nie pohamowałbym się - złapałbym spacerującego po peronie franta i utłukł go. Ledwie zdecydowałem się wejść z powrotem do wagonu, gdy pociąg szarpną), a laseczka wyśliznąwszy mi się z rąk, spadla pod jadący już wagon. Nie byłem do niej szczególnie przywiązany (w pięć lat później w Berlinie zgubiłem ją przez niedbalstwo), ale patrzono na mnie z okien i żar młodej ambicji skłonił mnie do uczynku, na który dziś bym się żadną miarą nie zdobył. Przepuściłem wolno Sunący wagon, zaspane albo kpiące twarze, następny wagon, trzeci, czwarty, wreszcie caiy skład (rosyjskie pociągi, jak wiadomo, bardzo powoli nabierały szybkości) i gdy wreszcie odsłoniły się szyny, podniosłem leżącą między nimi laskę i rzuciłem się, aby dopędzić zmniejszające się jak w koszmarnym śnie bufory. Mocna, proletariacka ręka, wedle reguł sentymentalnych powieści, a wbrew poduszczeniom marksizmu, pomogła mi wspiąć się na platformę ostatniego wagonu. Gdybym jednak nie dopędził pociągu, albo został umyślnie wypuszczony z tych wesołych objęć reguły gatunku, być może, nie zostałyby naruszone,

znalazłbym się bowiem w pobliżu Tamary, która przeniosła się już na południe i mieszkała w chutorze o mniej więcej sto wiorst od miejsca mojej głupiej przygody.

4

O miejscu jej pobytu dowiedziałem się nieoczekiwanie w miesiąc po tym, gdy osiedliśmy w Gasprze koło Koreizu. Krym wydał mi się zupełnie obcym krajem: wszystko było nierosyjskie, zapachy, dźwięki, potiomkinowska flora w parkach nabrzeża, rozlany w powietrzu slodkawy dym tatarskich wsi, ryk, osła wołanie muezina, jego turkusowa wieżyczka na tle brzoskwiniowego nieba, wszystko to bardzo przypominało Bagdad, toteż zanurzyłem się niezwłocznie w puszkinowskie orientalia. Widzę więc siebie, jak stoję na krzemiennej ścieżce nad białym jak kreda korytem strumienia, którego poszczególne strugi, opływając jajokształtne kamienie, oplatały je przejrzystymi, drżącymi pasemkami - i trzymam w ręku list od Tamary. Spoglądałem na strome urwisko Jaiły, aż po same skały korony porośniętej karakułem sosny, na magnoliowe krzewy i dębinkę pomiędzy górą a morzem; na wieczorne perłowe niebo, gdzie z perską jaskrawością płonął sierp księżyca, obok zaś gwiazda, i nagle z siłą nie mniejszą niż w latach, które przyszły później, odczułem gorycz i natchnienie wygnania. Był to wpływ nie tylko puszkinowskich elegij i importowanych cyprysów, było w tym coś prawdziwego; rękojmią tego był rzeczywisty list realnej Tamary i od tej pory przez kilka lat utrata ojczyzny była dla mnie równoznaczna z utratą ukochanej, aż do czasu, kiedy pisanie, dość zresztą nieudanej książki (*Maszeńka*), nie ukoiło tęsknoty.

Tymczasem życie rodziny uległo całkowitej odmianie. Z wyjątkiem niektórych kosztowności zabranych przypadkowo i chytrze ukrytych w puszkach z talkiem, nie mieliśmy nic. Nie to jednak, rzecz oczywista, było najistotniejsze. Lokalny tatarski rząd zmieciony został przez nowiuteńkie sowiety, z Sewastopola przybyli doświadczeni erkaemiści i oprawcy, a my znaleźliśmy się w najbardziej nudnej i poniżającej sytuacji, w jakiej można się w ogóle znaleźć - w sytuacji, kiedy dookoła krąży przez cały czas, idiotyczna, przedwczesna śmierć, krąży dlatego, żc sprawują władzę człekokształtni, którzy wpadają w rozdrażnienie, gdy tylko coś im nie w smak. Owo otępiałe niebezpieczeństwo wlokło się za nami do kwietnia 1918 roku. Na jałtańskim molo, gdzie Dama z pieskiem zgubiła kiedyś lornetkę bolszewiccy marynarze przywiązywali aresztowanym ludziom ciężary do nóg i ustawiwszy ich plecami do morza, rozstrzeliwali; w rok później nurek raportował, że na dnie znalazł się w gęstym tłumie trupów stojących na baczność. Ojciec, uniknąwszy na północy różnorakich niebezpieczeństw, przyłączył się już podówczas do nas, więc pewnie i do niego prędzej czy później by się dobrali; życie przesycała jakaś dziwna atmosfera lekkomyślności. W swojej Gasprze hrabina Panin oddała nam do dyspozycji osobny domek po drugiej stronie ogrodu, w dużym domu zaś mieszkali jej matka i ojczym. Iwan Iljicz Pielrunkiewicz. stary przyjaciel i współpracownik mego ojca. Na tarasie tak niedawno, może zaledwie piętnaście lat temu, siadywali Tołstoj i Czechow. Czasami nocą, kiedy pogłoski o grabieżach i egzekucjach stawały się szczególnie uporczywe, ojciec, brat i ja nie wiedzieć czemu wychodziliśmy, aby pełnić wartę w ogrodzie. Pewnego razu. chyba w styczniu, podkradl się do nas zbójeckiej postury osobnik, który okazał się naszym byłym szoferem Cyganowem: nie wahał się przejechać na buforach od samego Petersburga, przez cały obszar zlodowaciałej i zezwierzęconej Rosji jedynie po to. aby dostarczyć nam pieniądze przysłane przez przyjaciół. Przywiózł również listy, które nadeszły na nasz petersburski adres (zawsze olśniewała mnie niezniszczalność poczty), a między nimi byl ów pierwszy list od Tamary, który czytałem pod kroplą gwiazdy. Spędziwszy u nas około miesiąca, Cyganow oświadczył, że znudziły mu się

krymskie widoki i tą samą drogą wyruszył na północ dźwigając na grzbiecie duży worek wyładowany rozmaitymi przedmiotami, które oddalibyśmy mu z przyjemnością, gdybyśmy tylko wiedzieli, że upodobał sobie wszystkie te nocne koszule, pikowane kamizelki, pantofle tenisowe, podróżne zegarki, żelazko, nieporęczną prasę do spodni i jeszcze jakieś rupiecie: dokładny spis lego dobra dostaliśmy od pokojówki, której bladym wdziękom też zdaje się nie przepuścił. Ciekawe, że odgadłszy od razu tajemnicę talku namówi) matkę, by przeniosła te pierścionki i perły w miejsce bardziej klasyczne i sam wykopał w tym celu dół w ogrodzie, gdzie po jego wyjeździe znaleźliśmy je nie tknięte.

Nabrzeżne zbocza ożywiła już różowa mgiełka kwitnącego migdałowca, a ja od dawna zajmowałem się pierwszymi motylami, kiedy bolszewicy znikli i dyskretnie pojawili się Niemcy. Podreperowali oni to i owo w willach, z których ewakuowali się komisarze, po czym również znikli. Na ich miejsce pojawiła się armia ochotnicza. Ojciec wszedł jako minister sprawiedliwości do lokalnego rządu krymskiego i wyjechał do Symferopola, my zaś przenieśliśmy się do Liwadii. Jałta ożyła. Jak to, nie wiedzieć czemu, było w zwyczaju w owych latach, natychmiast rozkwitły różne antrepryzy teatralne, poczynając od rozpaczliwie wulgarnych kabaretów, a kończąc na filmowaniu *Hadżi Murata*. Pewnego razu. wchodząc na Ali-Petri w poszukiwaniu lokalnego podgatunku hiszpańskiej satyrydy. spotkałem na górskiej ścieżce dziwnego jeźdźca w czerkiesce. Twarz mial dziwacznie pomalowaną na żółto: niezręcznie i gniewnie szarpał bez ustanku wodze swego konia, który nie zwracając najmniejszej uwagi na jeźdźca, schodził w dól stromą ścieżką, ze skupionym wyglądem gościa, opuszczającego z powodów osobistych hałaśliwe przyjęcie. W nieszczęsnym Hadżi rozpoznałem lak dobrze znanego nam z Tamarą aktora Mozżuchina. którego koń właśnie unosił z planu. „Niech pan przytrzyma“przeklęte bydlę“ - powiedział zobaczywszy mnie. ale w tej właśnie chwili z chrzęstem i łoskotem osypiska dwóch prawdziwych Tatarów dopędziło fałszywego Hadżi. ja zaś ze swoją siatką ruszyłem dalej przez bór i bukowy las ku blankowanym skałom.

Przez całe lato korespondowałem z Tamarą. O ileż piękniejsze od pokrętnych i banalnych wierszyków, które jej kiedyś poświęcałem, były jej zdumiewające listy; z jaką siłą i wyrazistością wskrzeszała północną wieś! Słowa jej byry ubogie, styl właściwy osiemnastoletniej panience, ale intonacja... intonacja była przeczysta i tajemniczym sposobem przemieniła jej myśli w osobliwą muzykę. „Mój Boże, gdzież się podziało to wszystko dalekie, jasne i kochane!“ Ten właśnie ton pamiętam dokładnie z jednego jej lislu, i nigdy później nie udało mi się lepiej od niej wyrazić tęsknoty za przeszłością.

Tym jej listom, tym ówczesnym marzeniom o niej. zawdzięczam szczególny odcień, którego od tamtego czasu nabrała moja tęsknota do ojczyzny. Tęsknota ta wrosła w jeden niewielki skrawek ziemi i oderwać ją można dopiero z życiem. Dziś, jeśli wyobrażam sobie skołtunioną trawę Jałty, albo wąwóz uralski, albo solniska za morzem Aralskim, jestem patriotycznie i nostalgicznie równie chłodny, jak wobec, powiedzmy, piołunej strefy Newady albo rododendronów Gór Błękitnych; proszę mi jednak dać na dowolnym kontynencie las, pole i powietrze przypominające gubernię petersburską, a wówczas wszystko się we mnie wywraca. Jak by to było, gdybym znowu zobaczył Wyrę i Rożdżestwieno, trudno mi sobie, mimo dużego doświadczenia, wprost wyobrazić. Często myślę: zbiorę się i pojadę tam z fałszywym paszportem pod nazwiskiem Knickerbocker.[12] To by się dało załatwić.

[12] Pseudonim Washingtona Irvinga (przyp. redakcji)

Wątpię jednak, czy zrobię to kiedykolwiek. Zbyt długo, zbyt próżniaczo, zbyt rozrzutnie o tym marzyłem. Roztrwoniłem marzenie. Przyglądając się dręczącym miniaturom, wpatrując w drobny druk, podwójne światło, beznadziejnie zepsułem sobie wewnętrzny wzrok. Zupełnie tak samo wyeksploatowałem się, kiedy w roku 1918 marzyłem, że zimą, gdy skończę z entomologicznymi spacerami, zaciągnę się do armii Denikina i dotrę do chutorku Tamary; ale zima minęła, a ja nadal wybierałem, się w marcu zaś Krym zaczął pękać pod naporem czerwonych i zaczęła się ewakuacja. Na niewielkim greckim statku „Nadzieja", który z ładunkiem suszonych owoców wracał do Pireusu, wypłynęliśmy w początkach kwietnia z zatoki sewastopolskiej. Port zagarnęli już bolszewicy, rozlegała się bezładna strzelanina, jej odgłos, ostatni odgłos Rosji, zaczął zamierać, ale brzeg wciąż jeszcze jarzył się ni to wieczornym słońcem w szybach, ni to bezdźwięcznymi, odległymi eksplozjami, ja zaś starałem się skoncentrować na partii szachów, którą rozgrywałem z ojcem (jeden koń nie miał głowy, zaś brakującą wieżę zastępował pokerowy żetonik) i nie wiem, co się później stało z Tamarą.

Rozdział dwunasty

1

Latem 1919 roku zamieszkaliśmy w Londynie. Ojciec bywał już w Anglii uprzednio, a w lutym 1916 jeździł tam z pięcioma innymi, wybitnymi działaczami prasy (byli wśród nich Aleksy Tołstoj, Niemirowicz-Danczenko, Czukowski) na zaproszenie rządu brytyjskiego, który pragnął przedstawić im swoje poczynania militarne, niedoceniane przez rosyjską opinię publiczną. Były przyjęcia i przemówienia. Podczas audiencji u Jerzego V Czukowski, wyolbrzymiający, jak wielu Rosjan, znaczenie literackie autora *Doriana Graya*, zaczął nagle w swojej nieprawdopodobnej angielszczyźnie wypytywać króla, czy podobają mu się utwory – „dzy works“ Oscara Wilde'a. Nieśmiały i tępawy król, który Wilde'a nie czytał, a poza tym nie rozumiał, jakie to słowa Czukowski wymawia z takim staraniem i mordęgą, wysłuchał go uprzejmie i zapytał po francusku - francuszczyzną niewiele lepszą od angielszczyzny rozmówcy - jak mu się podoba angielska mgła - „bruar“? Czukowski zrozumiał tylko, że król zmienia temat i później z triumfem przytaczał to jako przykład angielskiej pruderii - przemilczania geniuszu pisarza, ponieważ prowadził niemoralne życie.

O tym i innych zabawnych nieporozumieniach ojciec cudownie opowiadał przy obiedzie, ale w jego książce *Z walczącej Anglii* (Piotrogród 1916) odnajduję mało śladów cechującego go humoru: nie był pisarzem i nie słyszę na przykład jego głosu, kiedy opisuje, jak odwiedzał okopy angielskie we Flandrii, gdzie gościnność kazała gospodarzom uprzejmie włączyć do programu wizyty nawet wybuch niemieckiego pocisku w pobliżu gości. Sprawozdanie to było najpierw drukowane w „Rieczi"; w jednym z artykułów ojciec opisywał z nieco staroświecką prosloduszności, jak podarował swe wieczne pióro *Swan* admirałowi Jellicoe, który po śniadaniu zawładnął nim, ażeby złożyć autograf na menu i pochwalił jego miękkość. Natychmiastową reakcją na niewczesne spopularyzowanie marki pióra było ogromne ogłoszenie zamieszczone w gazetach przez firmę Mabic, Todd and Co., Ltd., która cytowała ojca i przedstawiała go na rysunku, gdy wręcza jej wyrób dowódcy floty pod chaotycznym niebem bitwy morskiej.

Teraz jednak, w trzy lala później, nie było ani przemówień, ani bankietów. Po roku pobytu w Londynie ojciec z matką i trojgiem młodszych dzieci przeniósł się do Berlina (gdzie, aż do swej śmierci w dniu 28 marca 1922 roku. redagował wraz z I. W. Hessenem antysowiecką gazetę „Rul" - „Ster"), podczas gdy brat mój i ja wstąpiliśmy jesienią 1919 roku na Uniwersytet w Cambridge - on do Christ's College, a ja do Trinity.

2

Pamiętam zmętniały, wilgotny i ponury październikowy dzień, kiedy z niezręcznym uczuciem, że uczestniczę w jakiejś błazenadzie, ubrałem po raz pierwszy cienko tkaną granatowo-czarną pelerynę średniowiecznego kroju, kwadratowe nakrycie głowy z chwastem, ażeby przedstawić się Harrisonowi, mojemu „tutorowi", wychowawcy, czuwającemu nad postępami studenta. Obszedłszy pusty i mglisty dziedziniec college'u wszedłem po wskazanych mi schodach i zapukałem w lekko uchylone masywne drzwi. Odległy glos ostro zaprosił do wejścia. Przeszedłem przez nieduży przedpokój i znalazłem się w obszernym gabinecie. Zmierzch wyprzedził mnie; w gabinecie nie było światła oprócz ognia buzującego w dużym kominku, przy którym siedziała ciemna postać. Podszedłem ze słowami „Moje nazwisko" - i wdepnąłem w przybory do herbaty stojące na dywanie przy niskim wyplatanym folelu Harrisona. Ten z niechętnym stęknięciem pochylił się i zaczerpnął z dywanu w niewybredną dłoń, a następnie wrzucił z powrotem do czajnika czarny szlam herbacianych listków. Tak więc studencki cykl mego życia rozpoczął się od niezgrabiaszoslwa, które przesądziło o długiej serii niezręczności, pomyłek i wszelkiego rodzaju niepowodzeń i głupstw, z romantycznymi włącznie, prześladujących mnie w ciągu trzech czy czterech następnych lat.

Harrison uznał, że postąpi znakomicie przydzielając mi jako wspóllokalora innego *White Russian*; tak więc mieszkanko przy Trinity Lane dzieliłem początkowo z zakłopotanym nieco rodakiem, który wciąż doradzał mi, abym celem uzupełnienia niepojętych luk w swym wykształceniu poczytał *Protokoły mędrców Syjonu* i jakąś inną jeszcze książeczkę, która mu się w życiu nastręczyła, zdaje się *L'homme qui* Assaxsina Farrene'a. Gdy pod koniec roku nie zdał egzaminów, musiał zgodnie z regulaminem opuścić Cambrigde i przez pozostałe lata mieszkałem sam. Apartamenty, które zajmowałem, zdumiewały mnie swym ubóstwem w porównaniu z pomieszczeniami mego rosyjskiego dzieciństwa, bowiem - jak to sobie teraz wyraźnie uświadamiam - wybierając się do Anglii chciałem znaleźć nie jakąś niewiadomą kontynuacją młodości, lecz cofnąć się w barwne dzieciństwo, któremu właśnie Anglia, jej

język, książki i przedmioty przydawały odświętności i baśniowości. Zamiast tego znalazłem wysiedzianą, tchnącą kurzem kanapę, mieszczańskie poduszeczki. talerze na ścianach, muszle na kominku, zaś na widocznym miejscu starą pianolę cierpiącą na przepuklinę; gospodyni domu nie tylko pozwalała, lecz wręcz prosiła o wyduszanie z niej okropnych, przeszywających i żmudnych dźwięków każdego dnia oprócz niedziel. Tak nowe było dla mnie, że ktoś całkiem obcy mógł mi na coś pozwalać lub czegoś zabraniać, że początkowo przekonany byłem, iż grzywny, którymi dozorcy college'u o grubych pyskach i w melonikach grozili, powiedzmy za chodzenie po trawnikach, to po prostu tradycyjny żart. Pod moim oknem prowadził do pomieszczeń gospodarskich piećsetletni zaułek, wzdłuż którego szarzał ślepy mur. W sypialni nie palono. Ze wszystkich szczelin wiało, pościel przypominała lodowiec, w dzbanku w ciągu nocy tworzył się lód. nie było ani wanny, ani nawet bieżącej wody: rankami więc musiałem odbywać ponurą pielgrzymkę do łaźni przy college*u w mglistym zimnie przechodzić moim zaułkiem ubrany w cienki szlafrok nałożony na piżamę, trzymając pod pachą gąbkę w ceratowym worku. Często się przeziębiałem, ale nic na świecie nie było w stanie zmusić mnie do noszenia owych ciepłych rzeczy z wełny niedźwiedziej, które Anglicy wkładali pod koszulę zdumiewając cudzoziemca tym, że zimą spacerowali bez płaszczy. Przeciętny student Cambridge nosił buciki na gumowych podeszwach, ciemnoszare flanelowe spodnie, brunatną, dzianą kamizelkę z rękawami (dżemper) i sportową marynarkę z patką. Przestrzegający mody woleli marynarkę od dobrego garnituru, jaskrawożółty dżemper, jasnoszare flanelowe spodnie i stare balowe pantofle. Okres moich onieginowskich trosk trwał niedługo, pamiętam jednak dokładnie z jaką przyjemnością odkryłem, że istnieją koszule z przyszywanymi kołnierzykami, i że można nie nosić szelek. Nie będę przedłużał opisu tych maskaradowych wrażeń. Prawdziwą historią mego pobytu na uniwersytecie angielskim jest historia moich wysiłków nad zatrzymaniem Rosji. Miałem poczucie, że Cambridge i wszelkie jego słynne osobliwości - majestatyczne wiązy, kolorowe szyby, kurantowe zegary na wieżach, arkady, szaroróżowe mury pokryte pikowymi asami bluszczu - nie mają same przez się żadnego znaczenia, istniejąc wyłącznie po to, ażeby ujmować w ramy i wspierać moją nieznośną nostalgię. Byłem jak człowiek, który utraciwszy niedawno niewyciągającą, czule do niego usposobioną starą krewną, zdaje sobie naraz sprawę, że przez swoiste lenistwo serca uśpionego narkotykiem codzienności, nigdy nie znalazł czasu, aby naprawdę poznać nieboszczkę i nigdy nie okazał jej tak mało podówczas świadomej miłości, dla której teraz nie może już znaleźć ujścia ani ulgi. Pod brzemieniem tej miłości przesiadywałem całymi godzinami przy kominku, a do oczu napływały mi łzy z wezbranych uczuć, z przejmującej banalności tlących się węgli, z samotności, dźwięku odległych kurantów, jednocześnie zaś dręczyła mnie myśl o tym, ile w Rosji zmarnotrawiłem, ile bogactw - gdybym przewidział rozłąkę - zdążyłbym poupychać po wszystkich kieszeniach duszy i zabrać ze sobą.

Dla niektórych z moich współbraci w wygnaniu były to uczucia tak oczywiste i znajome, że mówienie o nich nawet z tą surdyną, jaką usiłuję utrzymać teraz, wydałoby się zbędne i nieprzyzwoite. Kiedy zaś w Anglii zdarzało mi się rozmawiać o tym i owym z najbardziej nieoświeconymi i reakcyjnymi spośród tamtejszych Rosjan spostrzegałem, że patriotyzm i polityka sprowadzały się u nich do zwierzęcej nienawiści, skierowanej raczej do Kiereńskiego niż do Lenina, i zależnej wyłącznie od materialnych niedogodności i strat. Tu już nie było o czym mówić; o wiele bardziej złożona była sprawa z tymi spośród moich angielskich znajomych, których uważano i których ja uważałem za kulturalnych, subtelnych humanistów, za liberałów, ale którzy mimo swego duchowego wyrafinowania, gdy tylko zaczynali mówić o Rosji, wygadywali przygnębiające bzdury. Szczególnie dobrze pamiętam pewnego studenta, który przeżył wojnę i był starszy ode mnie o mniej więcej cztery lata: uważał się za socjalistę, pisał wiersze bez rymów i był doskonałym znawcą historii

(powiedzmy) Egiptu. Był to tyczkowaty olbrzym o zaczątkach łysiny i końskiej szczęce, a jego powolne i skomplikowane manipulacje z fajką drażniły rozmówcę, gdy się z nim nie zgadzał, kiedy indziej jednak pociągały swą komfortowością. Dziwnie mi, gdy wspominam, że w owych latach „kłóciłem się o politykę", że długo z udręką dyskutowałem z nim o Rosji, w której oczywiście nigdy nie był; gorycz znikała, gdy tylko zaczynał mówić o naszych ulubionych angielskich poetach; dziś jest on w swojej ojczyźnie wybitnym uczonym; nazwę go Bomstone, jak Rousseau nazwał swego baśniowego lorda.

Podobno za czasów Lenina angielskie i amerykańskie koła postępowe akceptowały bolszewizm odwołując się do racji polityki wewnętrznej. Wydaje mi się, że wynikało to w znacznym stopniu ze zwykłej ignorancji. Te nieliczne wiadomości, jakie mój Bomstone i jego przyjaciele mieli o Rosji, dotarły na zachód z mętnych źródeł komunistycznych. Kiedy pytałem niezwykle humanitarnego Bomstone'a, czym może usprawiedliwić haniebny, odrażający terror, wprowadzony przez Lenina, tortury, egzekucje i wszelkie inne obłędne ekscesy - Bomstone wystukiwał fajkę o żeliwo paleniska, zmieniał pozycję swych olbrzymich skrzyżowanych nóg i mówił, że gdyby nie blokada Ententy, nie byłoby terroru. Wszystkich rosyjskich emigrantów, wszystkich wrogów Sowietów, od mienszewików po monarchistów, z całym spokojem pakował do worka „procarskich elementów" i choćbym zdarł sobie gardło, obstawał, że książę Lwow jest krewnym cara, a Milukow byłym carskim ministrem. Nigdy nie przychodziło mu do głowy, że gdyby on i inni idealiści z zagranicy byli Rosjanami w Rosji, reżim leninowski niezwłocznie by ich unicestwił. Jego zdaniem to, co dosyć pretensjonalnie określał jako „pewną monotonię przekonań politycznych" pod rządami bolszewików wynikało z „braku tradycji wolnej myśli" w Rosji. Szczególnie drażnił mnie stosunek Bomstone'a do samego Iljicza, który jak o tym wie każdy wykształcony Rosjanin, był, jeśli chodzi o poglądy na sztukę, absolutnym filistrem, znał Puszkina według Czajkowskiego i Bielińskiego i „nie pochwalał modernistów", przy czym „modernistami" byli dla niego Łunaczarski i jacyś hałaśliwi Włosi; dla Bomstone'a i jego przyjaciół jednak, tak subtelnie rozprawiających o Johnie Donne'ie i Hopkinsie, tak doskonale wyznających się na różnych uroczych szczegółach w wydrukowanym właśnie rozdziale o kuszeniu Leopolda Blooma, nasz ubożuchny Lenin był najwrażliwszym, najbardziej przenikliwym znawcą i obrońcą najnowszych prądów w literaturze i Bomstone uśmiechał się tylko pobłażliwie, kiedy wywrzaskując nadal swoje argumenty, dowodziłem mu, że związek między tym, co postępowe w polityce, a tym, co postępowe w poetyce jest związkiem wyłącznie werbalnym (co oczywiście radośnie wykorzystywała sowiecka propaganda) i że w gruncie rzeczy im radykalniejszy bywa Rosjanin w swych poglądach politycznych, tym bardziej konserwatywny jest w sprawach sztuki.

Spokój Bomstone'a zdołałem zmącić nieco dopiero wówczas, gdy zacząłem rozwijać przed nim myśl o tym, że na historię Rosji można spojrzeć z dwóch punktów widzenia: po pierwsze, jako na swoistą ewolucję policji (dziwnie bezosobowej i jakby nawet wyabstrahowanej siły, działającej niekiedy w pustce, niekiedy bezradnej, a niekiedy przewyższającej rząd w bestialstwach, siły, która obecnie doszła do niebywałego rozkwitu); po drugie zaś, na rozwój zdumiewającej kultury umiłowania wolności. Angielscy inteligenci przyjmowali te truizmy ze zdziwieniem, irytacją i kpiną, podczas gdy młodzi angielscy ultrakonserwatyści (jak na przykład dwaj dobrze urodzeni kuzyni Bomstone'a) chętnie mi przytakiwali, czynili to jednak z tak prymitywnie reakcyjnych pobudek i operowali tak prostackimi czarnosecinnymi pojęciami, że ich żałosne poparcie tylko mnie krępowało. Nawiasem mówiąc czuję się dumny, że już wówczas w mojej mglistej, ale niezależnej młodości dostrzegłem symptomy tego, co z taką straszliwą wyrazistością ujawniło się dziś, kiedy stopniowo wytworzyła się swoista rodzina składająca się z przedstawicieli różnych

narodowości: jowialnych budowniczych, wznoszących imperia na przesiekach, które wyrąbali w dżungli, niemieckich mistyków i oprawców, doświadczonych słowiańskich specjalistów od pogromów, żylastego Amerykanina - egzekutora linczu, i powiększających krąg owej rodziny jednakowych, wyblakłych i nalanych ludzi-automatów o kwadratowych barach i szerokich pyskach, których, po przeszło trzydziestu latach selekcji, władza sowiecka produkuje w takiej obfitości.

3

Bardzo szybko porzuciłem politykę i poświeciłem się bez reszty literaturze. Z mojego angielskiego kominka rzucały na mnie odblask ciemnoczerwone tarcze i granatowe błyskawice, od których rozpoczęła się rosyjska literatura. Na czterech rogach mego świata stanęli Puszkin i Tołstoj, Tiutczew i Gogol. Zaczytywałem się wspaniałą opisową prozą wielkich rosyjskich przyrodników i podróżników, którzy odkrywali nowe ptaki i owady w Azji Środkowej. Pewnego razu na rynku w centrum Cambridge znalazłem u bukinisty wśród podniszczonych Homerów i Horacych czterotomowy *Słownik* Dala. Kupiłem go za pół korony i czytałem co wieczór po kilka stron, zapamiętując prześliczne słowa i wyrażenia: „oljał“ - budka na barce (teraz już za późno, nigdy mi się nie przyda). Lęk przed tym, że zapomnę albo zaśmiecę to jedyne, co zdążyłem wydrapać z Rosji dość zresztą mocnymi pazurami, stał się wręcz chorobliwy. Otoczony ni to romantycznymi ruinami, ni to stosownym dla Don Kichota spiętrzeniem tomów (był tu i Mielnikow-Pieczerski, i stare rosyjskie pisma w marmurkowych oprawach), kleiłem i lakierowałem martwe rosyjskie wiersze, które wyrastały i twardniały wokół jakiegoś słownego obrazu niczym lśniące opuchlizny. Jakże bym się przeraził, gdybym wówczas zobaczył to, co dziś widzę tak wyraźnie - stylistycznie uzależnienie moich rosyjskich konstrukcji od owych angielskich poetów, od Marvella do Housmana, którymi zarażone było samo powietrze mojej ówczesnej egzystencji. Ale mój Boże, jakżesz pracowałem nad swymi jambami, jak pielęgnowałem ich peony i jakże się teraz cieszę, że tak niewiele ze swych ówczesnych wierszy wydrukowałem. Nagle o mglistym, listopadowym świcie przytomniałem, dostrzegając naraz jak jest cicho i zimno. Mdliło mnie od dwudziestu tureckich papierosów, które wypaliłem. A mimo wszystko długo jeszcze nie mogłem zmusić się do tego, by przejść do sypialni, lękając się nie tyle bezsenności, co arytmii serca i owej rzadkiej, choć zarazem błahej choroby, na którą zawsze zapadałem - anxietas tibiarum - kiedy w nogach czuje się znany kobietom ciężarnym ciągnący ból. W kominku pod popiołem coś się jeszcze tliło: złowrogi zachód poprzez liszaje boru; i podrzuciwszy jeszcze węgla robiłem „cug“ zasłaniając paszczę kominka od góry do dołu podwójną płachtą londyńskiego „Timesa“. Za papierem, napiętym jak skóra bębna i pięknym jak pergamin pod światło, zaczynało się przyjemne huczenie. Huczenie przechodziło w dudnienie, a potem w potężny ryk, pośrodku strony pojawiała się ciemnooranżowa plama eksplodująca nagle płomieniem i olbrzymi płonący arkusz z furkotliwym hałasem uwolnionego Feniksa ulatywał przez komin ku gwiazdom. Jeśli władzom doniesiono o tym ognistym ptaku, musiałem płacić kilka szylingów grzywny.

Literacka konfratermia, Bomstone i jego nieco dekadenckie kółko oraz jacyś młodzi ludzie piszący triolety odnosili się z ogromnym zrozumieniem do moich nocnych prac, nie pochwalając za to mnóstwa innych moich zainteresowań jako to: entomologia, miejscowe piękności i sporty. Szczególnie pasjonowałem się piłką nożną, tym, co nazywano futbolem w Rosji i w starej Anglii, a co w Ameryce zwie się soccer. Tak jak są urodzeni huzarzy, tak ja urodziłem się na bramkarza. W Rosji, a w ogóle na kontynencie, zwłaszcza we Włoszech i Hiszpanii, rycerska sztuka bramkarska otoczona jest od dawien dawna aureolą szczególnej

romantyczności. Samotność i niezależność bramkarza ma w sobie coś bajronicznego. Na ulicy za znanym bramkarzem wypatrują oczy dzieci i dziewczęta. Zagadkowością uroku współzawodniczy z matadorem i wyścigowcem. Ma własny mundur; jego luźny sweter, czapeczka, mocno obciśnięte ochraniaczami kolana, rękawice sterczące z tylnej kieszeni spodenek, odróżniają go zdecydowanie od dziesiątki pozostałych jednakowo pasiastych członków drużyny. Jest białym krukiem, jest żelazną maską i ostatnim obrońcą. Podczas meczu, gdy zbliża się decydująca chwila, fotografowie, przyklęknąwszy z nabożeństwem na jedno kolano fotografują go, nurkującego jak jaskółka, aby jakimś cudem dotknąć piłki końcami palców i błyskawicznie odparować, kierując piłkę w róg uderzenie - *shot,* albo kiedy, ażeby objąć piłkę, rzuca się głową naprzód pod rozpędzone nogi atakujących - i jakże potężny ryk wydaje stadion, gdy bohater leży rozpostarty na ziemi przed swą niepokalaną bramką.

Niestety, w Anglii, ojczyźnie futbolu, pewnego rodzaju chmurna, sprzężona z każdym sportem powaga, ogólnonarodowa niechęć do finezji na pokaz oraz przypisywanie zbytniego znaczenia solidnemu zgraniu całej drużyny niezbyt korzystnie wpływały na rozwój ekscentrycznej sztuki bramkarskiej. Tymi przynajmiej względami usiłowałem wytłumaczyć sobie własny, nie tak fortunny, jak to sobie wymarzyłem, udział w uniwersyteckim futbolu. Nie szczęściło mi się, a ponadto wszyscy natarczywie stawiali mi za uciążliwy wzór mego poprzednika i rodaka Chomiakowa, istotnie zdumiewającego bramkarza - tak mniej więcej, jak krytycy przyganiali czechowowskiemu Trigorinowi odwołując się do Turgieniewa. Oczywiście, zdarzały mi się na piłkarskim boisku świetne, pełne dzielności dni, zapach ziemi i trawy, podniecenie ważnego meczu - oto wybiega i zbliża się znakomity napastnik przeciwnika prowadząc nową, żółtą piłkę, oto z siłą armaty wali w moją bramkę, i w palcach tętni ogień odpartego ciosu. Zdarzały się jednak inne, bardziej pamiętne, bardziej ezoteryczne dni, pod ciężkim zimowym niebem, kiedy przestrzeń przed moją bramką stanowiła jedną wielką kałużę czarnego błota, piłka zaś była jak wysmarowana sadłem, a po bezsennej nocy poświęconej układaniu wierszy, rano już martwych, bolała mnie głowa. Zawodziło oko i przepuściwszy drugiego gola wyjmowałem piłkę z tylnej siatki z poczuciem, że życie jest idiotyzmem. Potem nasza drużyna przechodziła do ataku i gra przenosiła się na drugi kraniec boiska. Monotonnie siąpił deszcz ustawał jak w *Skąpym rycerzu* i znowu padał. Kawki gospodarując w bezlistnym wiązie wrzeszczały z jakąś gruchającą czułością. Gęstniała mgła. Gra sprowadzała się do niejasnego migania sylwetek przy ledwie widocznej bramce przeciwnika. Dalekie, niewyraźne odgłosy uderzeń, gwizdek, znowu niejasne postacie - wszystko to nie miało ze mną nic wspólnego. Skrzyżowawszy ręce na piersiach i oparłszy się o lewy słupek bramki pozwalałem sobie na luksus zamknięcia oczu i w takiej pozycji słuchałem mocnego łomotu serca, czułem na twarzy ślepe siąpienie, i słyszałem odgłosy wciąż jeszcze dalekiej gry, i myślałem sam o sobie jako o egzotycznej istocie przebranej za angielskiego futbolistę i układającej wiersze o zamorskim kraju w nikomu nie znanym narzeczu. To oczywiste, że moi koledzy z drużyny nie żywili dla mnie najlepszych uczuć.

Dziwne jednak: w Cambridge było coś takiego... nie piłka nożna, nie nawoływania w gęstniejącym mroku, nie mocna herbata z różowymi i zielonymi ciastkami - słowem nie przemijająca moda i nie szczegóły dostępne zmysłom, ale ulotna istota wszystkiego, którą określiłbym teraz jako przestwór czasu i rozległość stuleci. Gdy spojrzało się na cokolwiek dokoła, nic nie było przytłoczone ani zasłonięte w wymiarze czasu. Przeciwnie, wszędzie otwierały się prześwity prowadzące w jego błękitny żywioł, tak że myśl przyzwyczajała się do pracy w szczególnie czystej i swobodnej atmosferze. Ze względu na to, że w przestrzeni fizycznej działo się inaczej, tj, ciało krępował wąski zaułek, obstawiony murami gazon, ciemne podcienia i arkady, duch szczególnie żywo odbierał swobodne dale czasu i stuleci.

Historia. Cambridge albo Anglii nie interesowała mnie w najmniejszym stopniu i przekonany byłem, ze duch Cambridge w żaden sposób nie oddziaływuje na moją psychikę; jednakże właśnie on nadawał mnie i mojej rosyjskiej zadumie nie tylko ramy, ale i rytm. Na niezależnego młodego człowieka środowisko wpływa jedynie wówczas, jeśli ma on już w sobie cząstkę nastawioną na odbiór, taką cząstką była we mnie cała angielskość, którą syciło się moje dzieciństwo. Po raz pierwszy uzmysłowiłem to sobie wyraźnie ostatniej wiosny w Cambridge, kiedy poczułem, że z otaczającym mnie bezpośrednio środowiskiem współżyję tak naturalnie, jak współżyłem z moją rosyjską przeszłością, a ów stan harmonii osiągnąłem w chwili, kiedy to, czym zajmowałem się właśnie wyłącznie przez trzy lata, żmudna restauracja mojej być może sztucznej, ale pełnej uroku Rosji została wreszcie ukończona, tj, wiedziałem już, że na zawsze utrwaliłem ją w duszy. Jednym z niewielu „utylitarnych" grzechów obciążających moje sumienie jest spożytkowanie (co prawda bardzo niedużej) części tego drogocennego materiału na łatwe i pomyślne zdanie egzaminów. Najbardziej chyba skomplikowanym pytaniem było, jak wyglądał ogród Pluszkina - ów ogród, który Gogol tak malowniczo wypełnił wszystkim, co wziął z pracowni rosyjskich malarzy w Rzymie.

4

Nie wstydzę się czułości, z jaką wspominam senne przesuwanie się wąską i krętą rzeką Cambridge, słodkie hawajskie zawodzenie gramofonów płynące poprzez cień i światło, i leniwą rękę tej czy innej Violetty, obracającej swój kolorowy parasol, gdy leży wsparta na poduszkach osobliwej gondoli, którą powoli sterowałem przy pomocy żerdzi. Bujnie kwitły białe i różowe kasztany: masywy ich tłoczyły się nad brzegami wypierając z rzeki niebo, a szczególne połączenie ich liści i slożkowatych kwiatostanów stanowiło obraz jakby wytkany en escalier. Cieple powietrze przesycone było zdumiewająco krymskimi zapachami, nieomal zapachem nicszpułki. Trzy luki kamiennego mostku w stylu weneckim, przerzuconego przez wąską rzeczkę, tworzyły w połączeniu z jego odbiciami w wodzie trzy czarodziejskie owale, ti woda z kolei rzucała migotliwy odblask na wewnętrzną stronę sklepienia, pod którym prześlizgiwała się moja gondola. Czasami płatek uroniony przez kwitnące drzewo spadał powoli, i z dziwnym uczuciem, że wbrew zakazom kapłanów podglądam coś, czego ani pobożny pątnik, ani turysta wiedzieć nie powinien, usiłowałem pochwycić spojrzeniem odbicie owego płatka, które wznosiło mu się naprzeciw o wiele szybciej, niż on spadał; ogarniał lęk, że sztuczka się nie uda, że pobłogosławiona przez kapłanów oliwa nie zapłonie, że odbicie nie trafi i płatek bez niego popłynie z prądem: za każdym razem jednak czarowne połączenie udawało się - z doskonałością słów poety, które spotykają się w pół drogi z jego własnym wspomnieniem albo ze wspomnieniem czytelnika.

Odwiedziwszy znowu Anglię po siedemnastu latach przerwy popełniłem wielki błąd, a mianowicie udałem się do Cambridge nie w pełen spokojnego blasku dzień majowy, ale w lutowy, lodowaty deszcz, który przypominał mi jedynie starą tęsknotę do ojczyzny. Milord Bomstone, obecnie profesor Bomstone, z roztargnionym wyrazem twarzy poprowadził mnie na śniadanie do restauracji, którą dobrze znalem i która powinna była owionąć mnie wspomnieniami, ale zmieniło się całe umeblowanie, przemalowano nawet sufit, i okno pamięci nie otwarło się. Bomstone rzucił palenie. Rysy jego złagodniały, a myśli wypłowiały. Tego dnia zajmowała go jakaś zupełnie uboczna sprawa (chodziło, o ile pamiętam, o jego niezamężną siostrę, która prowadziła mu dom - zdaje się, że zachorowała i tego właśnie dnia miała być operowana), pochłonięty więc, jak ludzie tego typu, wyłącznie jednym problemem,

nie mógł skupić się na tej bardzo ważnej i pilnej kwestii, w której tak liczyłem na jego radę. Meble były inne, kelnerki miały inne stroje, bez owych fiołkowych kokard we włosach, i żadna z nich nie była nawet w połowie tak ładna, jak tamta, w przesyconym kurzem promieniu przeszłości, którą pamiętam tak żywo. Rozmowa się nie kleiła i Bomstone uchwycił się polityki. Było to już pod koniec lat trzydziestych i byli poputczycy z kategorii estetów wymyślali teraz na Stalina (do którego zresztą serca ich miały zwrócić się znowu w latach drugiej wojny światowej). Swego czasu, na początku lat dwudziestych, Bomstone w swej ignorancji bral własny entuzjastyczny idealizm za element romantyzmu i humanizmu w odrażającym reżimie leninowskim. Teraz zaś, za nie mniej odrażającego władztwa Stalina, mylił się również, ilościowe poszerzenie swych wiadomości brał bowiem za rodzaj jakościowej przemiany na gorsze w ewolucji władzy radzieckiej. Piorun „czystek", który uderzył w „starych bolszewików", bohaterów jego młodości, wstrząsnął Bomstonem do głębi duszy, czego w młodości nie zdołały sprawić żadne jęki dochodzące z Sołówek i Łubianki. Ze zgrozą i wstrętem wypowiadał teraz nazwiska Jeżowa i Jagody, zupełnie jednak nie pamiętał ich poprzedników, Urickiego i Dzierżyńskiego. Czas skorygował jego pogląd na bieżące sprawy sowieckie, jednakże ani mu postało w myśli zrewidować, a być może nawet potępić entuzjastyczne i ignoranckie przesądy własnej młodości: wspominając krótką epokę leninowską wciąż jeszcze dostrzegał w niej coś w rodzaju *quinquennium Neronis*.

Bomstone spojrzał na zegarek i ja też spojrzałem na zegarek, a kiedy rozstaliśmy się, poszedłem powłóczyć się w deszczu po mieście, potem wstąpiłem do słynnego parku mego byłego college'u i w czarnych wiązach odnalazłem znajome kawki, a w mgliście perlącej się trawie pierwsze krokusy, jakby namalowane wielkanocnymi farbami. Spacerując ponownie pod tymi tak opiewanymi drzewami, nadaremnie usiłowałem doznać wobec swych studenckich lat owego przejmującego, przesyconego wzruszeniem poczucia przeszłości, którego wówczas, w tamtych latach, doznawałem wobec własnego chłopięctwa.

Gdy słotny dzień zwęził się do bladoróżowego pasemka na czarnym zachodzie, zdecydowałem się odwiedzić przed wyjazdem mego starego tutora Harrisona i ruszyłem przez znajomy dziedziniec, gdzie we mgle przesuwały się widma w czarnych pelerynach. Wszedłem po znajomych schodach rozpoznając szczegóły, o których przez siedemnaście lat nie pamiętałem i automatycznie zapukałem do znajomych drzwi. Dopiero wtedy pomyślałem, że powinienem był dowiedzieć się od Bomstone'a czy Harrison nie umarł - ale nie umarł, na moje pukanie odezwał się z daleka znajomy głos. „Nie wiem, czy pan mnie pamięta" zacząłem idąc przez gabinet ku miejscu, gdzie siedział przy kominku. „Kim pan jest?" zapytał, obracając się powoli w swym niskim fotelu. „Jakoś niezupełnie...". W tym momencie z wstrętnym łoskotem i chrzęstem nastąpiłem na tacę z przyborami do herbaty, stojącą na dywanie przy jego fotelu. „Tak, oczywiście" powiedział Harrison, „Oczywiście, że pana pamiętam".

Rozdział trzynasty

1

Spirala jest uduchowieniem koła. Otwarłszy się i wyzwoliwszy z płaszczyzny, koło przestaje być zaklętym kręgiem. Przyszło mi to do głowy w latach gimnazjalnych i wtedy również wymyśliłem, że tak popularna niegdyś w Rosji heglowska triada wyraża jedynie naturalną, spiralność rzeczy w stosunku do czasu. Zwoje następują jeden po drugim i każda synteza stanowi tezę przyszłej potrójnej serii. Weźmy najprostszą spiralę, to jest taką. która składa się z trzech zakrętów, czyli luków. Nazwijmy tezą pierwszy luk, z którego spirala wychodzi jakby ze środka. Antytezą będzie wówczas łuk większy, przeciwstawny pierwszemu i kontynuujący go; syntezą zaś będzie ten jeszcze większy łuk, który kontynuuje poprzedni, zakręcając wzdłuż zewnętrznej strony pierwszego zwoju.

Barwna spirala w szklanej kulce stanowi model mojego życia. Łukiem tezy jest mój dwudziestoletni okres rosyjski (1899-1919), antytezą jest czas emigracji (1919-1940), spędzony w Europie Zachodniej, Owe czternaście lat (1940-1954), które spędziłem już w swej nowej ojczyźnie, stanowią jakby zarys zapoczątkowanej syntezy. Pozwolą państwo, że zajmę się antytezą. Spoglądając na tamte lata swobodnego życia za granicą widzę siebie i tysiące innych Rosjan prowadzących trochę dziwne, ale nie pozbawione uroków życie w materialnej nędzy i psychicznym błogostanie pośród pozbawionych wszelkiego znaczenia, zaledwie zwidujących się nam, wygnańcom, obcokrajowców, w których miastach egzystowaliśmy fizycznie. Tubylcy owi byli niczym przejrzyste, płaskie postacie z celofanu i choć korzystaliśmy z ich budynków, wynalazków, ogrodów, winnic i rozrywek itd., między nimi a nami nie było nawet śladu owych ludzkich stosunków jakie łączyły ze sobą większość emigrantów. Niestety jednak fantomy narodów, wśród których my i rosyjskie muzy prześlizgiwaliśmy się beztrosko, zaczynały nagle ohydnie otrząsać się i twardnieć; galareta przeistaczała się w beton i wyraźnie wskazywała nam, kto tu właściwie jest bezcielesnym jeńcem, a kto tłustym chanem. Nasza beznadziejna zależność fizyczna od tego albo innego państwa stawała się szczególnie dotkliwa, kiedy trzeba było zdobyć albo przedłużyć jakąś głupią wizę, jakąś błazeńską carte duicntiti; wówczas bowiem zachłanne biurokratyczne piekło usiłowało niezwłocznie wessać petenta, który dręczył się i niknął w oczach, podczas gdy na półkach wszelkiego rodzaju konsulów i urzędników policji puchły jego dossiers. Bladozielony, nieszczęsny paszport nansenowski był gorszy od wilczego biletu, przejazd z jednego kraju do drugiego łączyl się z fantastycznymi kłopotami i utrudnieniami. Władze angielskie, niemieckie, francuskie gdzieś w mętnej głębi swych gruczołów kryły niesłychanie ciekawą koncepcyjkę, według której, choćby kraj pochodzenia był jak najgorszy (w tym wypadku była to sowiecka Rosja), każdego, kto uszedł ze swego kraju należy a priori uważać za osobę godną pogardy i podejrzaną, istnieje on bowiem poza jakąkolwiek administracją narodową. Nie wszyscy rosyjscy emigranci, rzecz oczywista, zgadzali się pokornie na rolę wypędków i widm. Niektórzy z nas wspominają z rozkoszą, jak braliśmy szturmem albo

oszukiwaliśmy różnego rodzaju wyższych urzędników, paskudne szczury w różnych ministerstwach, prefekturach i urzędach policji.

2

Moi amerykańscy przyjaciele najwyraźniej mi nie wierzą, kiedy opowiadam, że przez piętnaście lat życia w Niemczech nie zawarłem bliższej znajomości z żadnym Niemcem, nie przeczytałem żadnej niemieckiej gazety czy książki i nigdy nie odczuwałem najmniejszej niedogodności z powodu nieznajomości języka niemieckiego. Dokonując w pamięci przeglądu moich bardzo niewielu najzupełniej przypadkowych spotkań z berlińskimi tubylcami, wyróżniłem w angielskiej wersji tych notatek niemieckiego studenta, któremu zdaje się poprawiałem jakieś listy do kuzynki w Ameryce. Był to cichy, przyzwoity, dobrze sytuowany człowiek w okularach, studiujący na uniwersytecie przedmioty humanistyczne. Któż tylko nie naśmiewał się w *Epoce Rozumu* ze zbieraczy motyli - jest tu La Bruyère w szóstym wydaniu (1691) swych *Charakterów*, stwierdzający, że bywają modnisie kochające owady i łkające na umarłą gąsienicą, są pudrowani Anglicy Gay i Pope, niedbale wspominający w wierszach o głupawych filozofach, co doprowadzają naukę do absurdu uganianiem się za ładnymi owadami, które tak cenią ciekawi wszystkiego Niemcy. Interesujące, co powiedzieliby owi moraliści o zbierackiej pasji młodego Niemca z mojego połowu w 1930 roku: kolekcjonował on fotografie egzekucji. Już podczas drugiego spotkania pokazał mi kupioną właśnie serię („Ein bisschen retouchiert“ - powiedział ze smutkiem marszcząc piegowaty nos), przedstawiającą różne fazy pospolitej dekapitacji w Chinach; z dużym znawstwem zwracał mi uwagę na piękno wyrocznego miecza i na cudowną atmosferę doskonałego współdziałania między oprawcą a pacjentem, które na niezbyt wyraźnym zdjęciu kończyło się fenomenalnym gejzerem popielatoszarej krwi. Niewielki mająteczek pozwalał młodemu kolekcjonerowi na liczne podróże. Uskarżał się zresztą, że ma pecha. Na Bałkanach obecny był przy dwóch czy trzech niezbyt interesujących powieszeniach, a na bulwarze Aragon w uroczym Paryżu, na szeroko rozreklamowanej, ale w rzeczywistości bardzo skromnej i mechanicznej „gilotynadzie“ (jak się wyrażał sądząc, że to po francusku), tak się zawsze jakoś składało, że źle widział, przepadały mu szczegóły i nie udawało się nic ciekawego sfotografować drogim aparacikiem ukrytym w rękawic płaszczu. Nie bacząc na okropne przeziębienie jeździł niedawno do Ratyzbony, gdzie kaźni dokonywano wedle starego obyczaju przy pomocy topora; spodziewał się wiele po tym widowisku, ale ku jego ogromnemu rozczarowaniu skazańcowi dano najwidoczniej jakiś narkotyk, na skutek czego dureń ledwie reagował, bezwolnie tylko padając na ziemię, gdy zmagał się z niezręcznymi, napierającymi na niego pomocnikami kata. Dietrich, jak nazywał się młody amator egzekucji, spodziewał się, że znajdzie się kiedyś w Ameryce, żeby obejrzeć elektrocution i chmurnie rozmarzony zadawał sobie pytanie, czy to istotnie prawda, że podczas tej operacji z naturalnych otworów drgającego ciała wydobywają się sensacyjne obłoczki dymu. Za trzecim i niestety ostatnim spotkaniem (ileż jeszcze miał ten Dietrich rysów, które chciałem wychwycić i zmagazynować na pisarskie potrzeby!) bez złości - choć było się na co złościć - przeciwnie, z łagodnym smutkiem, opowiedział mi, że spędził niedawno całą noc cierpliwie obserwując przyjaciela, który postanowił popełnić samobójstwo i po pewnych perswazjach zgodził się dokonać tego w obecności Dietricha, niestety jednak przyjaciel okazał się pozbawionym honoru oszustem i zamiast strzelić sobie w usta, upił się prostacko i nad ranem był już w najbczczelniej dobrym humorze - ryczał ze śmiechu i golił się. Dawno straciłem z oczu przyjemniaczka Dietricha, ale bardzo dokładnie wyobrażam sobie wyraz pełnej satysfakcji i ulgi („...nareszcie...“) w jego jasnych oczach pstrąga, kiedy w przytulnym niemieckim miasteczku, które uniknęło bombardowania, w kręgu innych weteranów

hitlerowskich wypraw i doświadczeń, demonstruje przyjaciołom bijącym się dłońmi po udach, z rechotaniem dobrodusznego podziwu („dieser Dietrich!“), owe absolutnie *wunderbar* zdjęcia, które lak niespodziewanie tanim kosztem udało mu się zdobyć w owych latach.

3

Niemal wszystko, co mogę powiedzieć o berlińskim okresie mego życia (1922-1937) spotrzebowałem w powieściach, które wówczas pisałem. Emigracyjne honoraria nie mogły początkowo wystarczyć na życie. Gorliwie udzielałem lekcji angielskiego i francuskiego, a także lekcji tenisa. Wiele tłumaczyłem - począwszy od *Alice in Wonderland* (za której rosyjską wersję otrzymałem pięć dolarów), a kończąc na wszystkim co się dało, aż do handlowych opisów jakichś dźwigów. Pewnego razu w hitach dwudziestych ułożyłem dla „Steru“ nowalijkę - szaradę w rodzaju tych, które pojawiały się w gazetach angielskich i wtedy właśnie wymyśliłem nowe słowo *kriestosłowica* (krzyżówka), które tak trwale weszło do języka.

O „Sterze“ wspominam z wielką wdzięcznością. Josif Władimirowicz Hessen był moim pierwszym czytelnikiem. Na długo przedtem, zanim w jego właśnie wydawnictwie zaczęły ukazywać się moje książki, pozwalał mi z ojcowską pobłażliwością karmić „Ster“ niedojrzałymi wierszami. Granat berlińskich zmierzchów, namiot kasztanu na rogu, lekki zawrót głowy, ubóstwo, zakochanie, mandarynkowy odcień zbyt wcześnie zapalonej reklamy świetlnej i fizyczna tęsknota do świeżej Rosji wszystko to w jambicznym kształcie taszczyłem do gabinetu redakcyjnego, gdzie J. W. podnosił arkusik blisko twarzy. Już pod koniec lat dwudziestych prawa wydawnicze na przekłady moich książek zaczęły przynosić przyzwoite pieniądze, zaś w roku 1929 ty i ja pojechaliśmy łowić motyle w Pirenejach. W końcu lat trzydziestych opuściliśmy ostatecznie Niemcy, a przedtem w ciągu kilku lat odwiedzałem Paryż, aby wygłaszać tam publiczne odczyty, zatrzymując się zazwyczaj u Ilii Fondaminskiego. Jego zainteresowania polityczne i religijne były mi obce, charakter i przyzwyczajenia mieliśmy zupełnie odmienne, moje pisarstwo przyjmował raczej na wiarę, ale wszystko to nie miało żadnego znaczenia. Każdy, kto trafił w orbitę blasku tego najbardziej ludzkiego spośród ludzi, nabierał dla niego niezwykłej czułości i szacunku. Kiedyś mieszkałem u niego w małym buduarku obok jadalni, gdzie często wieczorami odbywały się zebrania, na które gospodarz rozsądnie mnie nie wpuszczał. Zapóźniwszy się. mimo woli znajdowałem się czasami w sytuacji uwięzionego podsłuchiwacza; pamiętam jak pewnego razu dwaj literaci, którzy wczesnym rankiem pojawili się obok w jadalni, zaczęli mówić o mnie. „No cóż, był pan wczoraj na wieczorze Sirina?“ „Byłem“. „No i jak?“ „Tak sobie, wie pan.“ Dialog ten przerwał niestety trzeci gość, który wszedł ze słowami: „Bonjour messieurs-dames“ - nie wiadomo czemu wyrażenia charakterystyczne dla francuskich listonoszy wydawały się naszym poetom subtelnością paryskiego stylu. Za granicą znalazło się bardzo wielu rosyjskich literatów, i spotkałem wśród nich ludzi bezinteresownych i bohaterskich. Były jednak w Paryżu szczególnego rodzaju ugrupowania i nie wszystkich można było traktować jak Aloszów Karamazowów. Utalentowany, ałe nieodpowiedzialny przywódca pewnego takiego ugrupowania łączył w sobie liryzm i wyrachowanie, intuicję i ignorancję, bladą niemoc sztucznych katakumb i wspaniałą antyczną melancholię. W tym światku, gdzie panowały smutek i atmosferka dekadencji, od poezji wymagano, by tworzyła jakąś wspólnotę, zamknięty krąg, była swoistym zespołem pogrążonych w martwocie liryków, aby pozostawała banalna zachowując pozór poetycznej plejady - mnie zaś wcale to nie pociągało. Oprócz beletrystyki i wierszy pisałem przez pewien czas dość przeciętne

artykuły krytyczne - przy okazji chciałbym się pokajać, że zbyt czepiatem się uczniowskich niedostatków Popławskiego i nie doceniłem jego cudownych zalet. Widywałem niewielu pisarzy. Pewnego razu, chyba w roku 1923, odbyłem z Cwietajewą liryczny spacer przy silnym wiosennym wietrze po jakichś wzgórzach Pragi. Z lat trzydziestych pamiętam Kuprina, gdy idąc w deszczu, pod opadającymi żółtymi liśćmi, z daleka unosił powitalnym gestem flaszkę czerwonego wina. Remizowa, który niezwykłą powierzchownością przypominał mi szachową wieżę po niewczesnej roszadzie, spotykałem nie wiadomo czemu tylko w kołach francuskich, na niezwykle nudnych zgromadzeniach *Nouvelle Revue Française*, zaś pewnego razu Paulhan zaciągnął jego i mnie do podmiejskiej willi jakiegoś mecenasa, jednego z tych nieszczęsnych, dojnych jegomościów, którzy, ażeby drukować własne rzeczy, muszą opłacać się w nieskończoność.

Tylko nieliczni z moich współbraci wzbudzali we mnie wewnętrzną życzliwość i poczucie psychicznego komfortu. Przenikliwy umysł i sympatyczna powściągliwość Aldanowa miały dla mnie zawsze wiele uroku. Dobrze znalem Eichenwalda. człowieka o łagodnym usposobieniu i niezachwianych zasadach, którego szanowałem jako krytyka nękającego w przeszłości Briusowów i Gorkich. Bardzo zbliżyłem się z Chodasiewiczem. którego poetycki geniusz nie został jeszcze prawdziwie zrozumiany. Gardząc sławą i ze straszliwą siłą atakując sprzedajność, trywialność i podłość pozyskał sobie wielu wpływowych wrogów. Tak wyraźnie go widzę, gdy siedzi przy stole ze skrzyżowanymi chudymi nogami i długimi palcami nakłada do fajki „Caporal Vert".

Książki Bunina lubiłem w latach chłopięcych, później zaś przedkładałem nad ową złotem zahartowaną prozę, z której słynął, jego zdumiewające, przelewne wiersze. Kiedy poznałem go na emigracji, otrzymał właśnie nagrodę Nobla. Chorobliwie pochłaniała go płynność czasu, starość i śmierć - z zadowoleniem też stwierdził, że trzyma się prościej ode mnie, choć jest o trzydzieści lat starszy. Pamiętam, że zaprosił mnie do restauracji, zapewne drogiej i dobrej, na serdeczną pogawędkę. Niestety nie znoszę restauracji, wódeczki, zakąsek, muzyczki i serdecznych rozmów. Bunin zakłopotany był moją obojętnością wobec jarząbka i rozdrażniony tym, że nie chcę otworzyć przed nim serca. Pod koniec obiadu było nam już ze sobą nieznośnie nudno. „Umrze pan w straszliwej udręce i zupełnej samotności" powiedział mi, kiedy skierowaliśmy się do szatni. Szczuplutka dziewczyna w czerni, odnalazłszy nasze ciężkie płaszcze, upadła trzymając je w objęciach na niską barierę. Chciałem pomóc smukłemu, staremu człowiekowi nałożyć płaszcz, ale powstrzymał mnie ruchem dłoni. Wśród uprzejmej szamotaniny usiłował pomóc z kolei mnie i tak wypłynęliśmy powoli w bladą chmurność zimowego dnia. Mój towarzysz zamierzał właśnie zapiąć kołnierz, kiedy twarz jego wykrzywił wyraz zdumienia i irytacji. Wspólnym wysiłkiem wyciągnęliśmy mój długi, wełniany szalik, który panienka wsunęła do rękawa jego płaszcza. Szalik wypełzał bardzo powoli, było to jak rozwijanie mumii, my zaś powoli obracaliśmy się jeden wokół drugiego. Zakończywszy tę egipską operację, w milczeniu doszliśmy do rogu. gdzieśmy się pożegnali. Później spotykaliśmy się publicznie dość często i nie wiedzieć czemu ustalił się między nami jakiś nużąco żartobliwy ton, w sumie zaś nigdy nie doszliśmy w naszych rozmowach do spraw sztuki, a teraz jest już za późno i bohater wychodzi do kolejnego ogrodu i widać błyskawice: potem on odjeżdża na dworzec, gwiazdy groźnie i tajemniczo płoną na trumiennym aksamicie, od pól pachnie czymś gorzkawym, a w nieskończonym echem odzywającej się dali naszej młodości opiewają noc koguty.

4

Przez dwadzieścia lat emigracyjnego życia w Europie poświęcałem potwornie wiele czasu na układanie zadań szachowych. Ta złożona, cudowna i bezużyteczna sztuka jest czymś samoistnym: z normalną grą, z walką na szachownicy związana jest tylko o tyle, o ile, powiedzmy, tymi samymi właściwościami kuli posługuje się zarówno żongler, aby ukształtować w powietrzu swój kruchy, artystyczny kosmos, jak tenisista, aby możliwie najszybciej i najgruntowniej rozgromić przeciwnika. Znamienne jest, że szachiści - zarówno zwykli amatorzy jak arcymistrzowie - niezbyt interesują się tymi wdzięcznymi i dziwacznymi łamigłówkami i, choć przeczuwają uroki podstępnego zadania, nie są absolutnie zdolni czegoś takiego ułożyć.

Autorstwo w tej dziedzinie wymaga nie tylko wyrafinowanego doświadczenia technicznego, ale także natchnienia swoiście muzyczno-matematyczno-poetyckiego. Zdarzało się, że w ciągu zwyczajnego dnia pomiędzy dwiema błahymi sprawami w kilwaterze przypadkowo przepływającej myśli czułem nie poprzedzone żadnym ostrzegawczym sygnałem przyjemne drgnięcie mózgu, w którym zarysował się początek kompozycji szachowej zapowiadającej mi noc pracy i radości. Nagły przebłysk mógł odnosić się, na przykład, do nowego sposobu zespolenia w strategiczny schemat takiej a takiej zasadzki przy takiej a takiej obronie; albo też przed oczami w stylizowanym i dlatego niepełnym kształcie pojawiał się układ figur, który miał wyrazić niezwykle trudny, przedtem, zdawało się, niemożliwy do zrealizowania temat. Najczęściej jednak było to po prostu poruszenie we mgle, manewr widm. szybka pantomima, w której uczestniczyły nie toczone figury, lecz bezcielesne jednostki sił wibrujących i wchodzących w niezwykle kolizje i sojusze. Odczucie tego było niebywałą rozkoszą, a moja niechęć do kompozycji szachowych wynika jedynie stąd, że zmarnotrawiłem na nie tyle godzin, które wówczas w mych najbardziej owocnych i wrzących energią latach beztrosko odbierałem pisarstwu.

Znawcy rozróżniają w sztuce zadań kilka szkól: angielsko-amerykańska łączy czystość konstrukcji z oślepiającą fantazją tematów. Osobliwe i monstrualne trójchodówki szkoły gotyckiej zdumiewają czymś swoiście baśniowym; pomysły czeskich kompozytorów, którzy narzucili sobie ograniczenie sztucznych reguł nieprzyjemnie rażą pustką i fałszywą elegancją; swego czasu Rosja wynalazła genialne etiudy, obecnie zaś pilnie zajmuje się mechanicznym piętrzeniem uderzająco nijakich tematów w ramach przekraczania przez przodowników planu realizacji nijakich zadań. Mnie osobiście pociągały w zadaniach miraże i diabolicznie wysubtelnione złudy i choć w konstrukcji starałem się w miarę przestrzegać klasycznych reguł, takich jak zasada jedności, jasności czy oszczędności sił, gotów byłem zawsze poświęcić czystość rozumnej formy dla wymogów fantastycznej treści.

Dać się porwać pomysłowi zadania, a zbudować je na szachownicy to zupełnie co innego. Napięcie umysłowe sięga granic maligny; zatraca się świadomość czasu: dlori konstruktora wymacuje w pudelku potrzebny pionek, ściska go póki myśl się waha czy potrzebny jest szpuncik. czy można obejść się bez przegrody - i kiedy pięść się rozwiera okazuje się, że upłynęło około godziny, która spopieliła się w rozpalonym do białości mózgu ukladacza. Stojąca przed nim szachownica stopniowo staje się polem magnetycznym, wygwieżdżonym niebem, skomplikowanym i precyzyjnym przyrządem, systemem przycisków i eksplozji. Gońce suną przez nią niczym reflektory. Koń przemienia się w dźwignię, którą wypróbowuje się, dopasowuje i znowu wypróbowuje, doprowadzając kompozycję do tego punktu, kiedy poczucie niespodzianki musi zespolić się z poczuciem estetycznej satysfakcji. Jakże męcząca była nieraz walka z hetmanem białych, kiedy, ażeby nie dopuścić do ewentualnego pata, należało ograniczyć jego siły! Rzecz w tym, że w zadaniach szachowych współzawodniczą ze sobą nie białe i czarne, ale ukladacz i przyszły odgadywacz zadania (podobnie jak w

dziełach sztuki pisarskiej prawdziwa walka toczy się nie między bohaterami powieści, ale między powieściopisarzem a czytelnikami) i dlatego walory zadania zależą w znacznej mierze od liczby i jakości „iluzorycznych rozwiązań“ wszelkich złudnie niezawodnych pierwszych ruchów, fałszywych tropów i innych podstępów chytrze i z zamiłowaniem przygotowanych przez autora, ażeby tego, kto wszedł do labiryntu, omotać podrobioną nitką fałszywej Ariadny. Bez względu jednak na to, co mogę powiedzieć o układaniu zadań, nie zdołałbym chyba całkowicie objaśnić uszczęśliwienia, stanowiącego istotę tego zajęcia. Twórczość ta ma punkty styczne z tworzeniem fikcji literackiej, a zwłaszcza pisaniem tych niesłychanie złożonych w zamyśle opowiadań, w których autor, w stanie jasnego, lodowatego szaleństwa, ustanawia sam dla siebie jedyne w swoim rodzaju reguły i przeszkody, ich przezwyciężenie zaś stanowi właśnie cudotwórczy impuls ożywiający cały utwór, pozwalający graniom jego kryształu przeistoczyć się w komórki. Kiedy zaś układanie zadania zbliża się do końca i toczone figury już widzialne i strojne pojawiają się na próbie generalnej autorskiego marzenia, męka ustępuje doznaniu niemal fizycznej rozkoszy, na którą składa się między innymi owo niemożliwe do nazwania poczucie „uładzenia“, tak znajome dziecku, kiedy w łóżeczku powtarza w myśl nie lekcję, ale dokładną wizję jutrzejszej zabawy i czuje, jak zarysy wyobrażanej zabawki zdumiewająco ściśle i przyjemnie dopasowują się. do odpowiednich zakątków i szczelinek mózgu. Rozpisywanie zadania jest równie przyjemne: jedna figura gładko i zręcznie staje za drugą, aby w cieniu i tajemnicy subtelnej zasadzki wypełnić kwadrat, i jest w tym przyjemny ślizg dobrze naoliwionej i wypolerowanej części maszyny, lekko i dokładnie poruszającej się w różne strony pod palcami, które unoszą i stawiają figurę.

Przypominam sobie pewne zadanie, moje najlepsze dzieło, nad którym pracowałem przez dwa czy trzy miesiące, na wiosnę 1940 roku w zaciemnionym Paryżu. Nadeszła wreszcie noc, kiedy udało mi się nadać kształt dziwacznemu tematowi, nad którym się biedziłem. Spróbuję objaśnić ten temat nie znającemu się na szachach czytelnikowi.

Ci, którzy rozwiązują zadania szachowe, dzielą się na prostaczków, mądralów i mędrców, albo innymi słowy, na rozwiązywaczy początkujących, doświadczonych i wyrafinowanych. Moje zadanie zaadresowane było do wyrafinowanych. Początkujący prostaczek przegapiłby całkowicie jego pointy i dość szybko znalazłby rozwiązanie przechodząc obok skomplikowanych męczarni, oczekujących tam na doświadczonego mądralę, ten doświadczony mądrala bowiem zlekceważyłby prostotę i uwikłał się w ornament iluzorycznego rozwiązania, w „olśniewającą“ pajęczynę ruchów opartych na temacie bardzo modnym i „postępowym“ w sztuce zadań (polegającym na tym, aby w trakcie pokonywania czarnych biały król paradoksalnie został zaszachowany), to „postępowe rozstrzygnięcie“, które autor bardzo pracowicie z wieloma interesującymi wariantami podsuwał rozwiązującemu zadanie, przekreślał jednak zupełnie absurdalnie skromny ruch ledwie dostrzegalnego pionka czarnych. Mądrala przeszedłszy przez ten piekielny labirynt stawał się mędrcem i dopiero wówczas docierał do prostego klucza otwierającego zadanie, tak jak gdyby ktoś, kto szuka najkrótszej drogi z Pittsburgha do Nowego Jorku został przez żartownisia posłany tam przez Kansas, Kalifornię, północną Afrykę i Wyspy Azorskie. Interesujące wrażenia z podróży, sekwoje, tygrysy, gongi, wszelkie barwne obyczaje lokalne (na przykład, zwłaszcza dla etnografa, wesele gdzieś w Indiach, kiedy pan młody i narzeczona okrążają po trzykroć święty ogień płonący w glinianym palenisku), z naddatkiem wynagradzają postarzałemu podróżnikowi jego irytację i po wszystkich przygodach zwyczajny klucz daje mędrcowi radość artysty.

Pamiętam, jak powoli wypłynąłem z bezprzytomności szachowych rozmyślań i oto na olbrzymiej, angielskiej, safianowej szachownicy w białawą i czerwoną kratę, bezbłędny układ został zrównoważony niczym konstelacja. Zadanie działało, zadanie żyło. Moje Stauntonowskie szachy (w roku 1920 stryj Konstanty podarował je mojemu ojcu), wspaniałe masywne figury na flanelowych podeszwach, obciążone ołowiem, z pionkami sześciocentymetrowej wysokości i królami wysokimi prawie na dziesięć centymetrów, lśniły dostojnie lakierowanymi okrągłościami, jakby świadome swej roli na szachownicy. Przy takiej samej szachownicy, która dokładnie mieściła się na niskim stoliku, siedział Lew Tołstoj i A. B. Goldenweiser 6 listopada 1904 roku według starego kalendarza (szkic Morozowa, obecnie w Muzeum Tołstoja w Moskwie), obok nich zaś na okrągłym stole pod lampą widać nie tylko otwartą skrzyneczkę na figury, ale również papierową etykietkę z napisem Staunton przyklejoną do wewnętrznej strony pokrywy. Niestety, jeśli przyjrzeć się moim dwudziestoletnim (w roku 1940) figurom, można było zauważyć, że jednemu koniowi odpadł koniec ucha, zaś podstawy dwóch czy trzech pionków są trochę nadłamane, jak skraj grzyba, wiele bowiem i daleko je woziłem, zmieniwszy w moich europejskich latach ponad pięćdziesiąt mieszkań; na szczycie jednak królewskiej wieży i na czole królewskiego konia trwał wciąż jeszcze rysunek czerwonej korony niczym okrągły znak na czole szczęśliwego Hindusa.

Mój zegarek - strumyczek czasu w porównaniu z jego zlodowaciałym jeziorem na szachownicy - wskazywał wpół do trzeciej rano. Było to w maju - około 19 maja 1940 roku. Poprzedniego dnia po kilku miesiącach starań, próśb i awantur udało się wstrzyknąć łapówkę odpowiedniemu szczurowi w odpowiednim wydziale i w ten sposób zmusić go do odpowiedniej visa de sortie, która z kolei umożliwiała uzyskanie zezwolenia na wyjazd do Ameryki. Spoglądając na moje szachowe zadanie poczułem nagle, że wraz z zakończeniem pracy nad nim skończył się szczęśliwie cały okres mego życia. Europa nie wzbudzała we mnie żadnych uczuć prócz nudy i wstrętu. Dookoła było bardzo cicho. Ulga, której doznawałem, przydawała ciszy pewnej czułości. Spod kanapy sterczała mała ciężarówka. W sąsiednim pokoju ty i nasz synek spaliście spokojnie. Lampa na stole miała czepek z niebieskiego papieru od cukru (zaciemnienie wojenne) i wskutek tego światło elektryczne barwiło na księżycowo powietrze rzeźbione przez dym tytoniowy. Od przygasłego Paryża oddzielały mnie nieprzenikalnc zasłony. Leżąca na kanapie gazeta oznajmiała wielkimi czcionkami o napaści Niemiec na Holandię.

Leży przede mną arkusz kiepskiego papieru, na którym owej fiolkowoczarnej paryskiej nocy wyrysowałem diagram mego zadania. Białe: król a7, królowa b6, wieże f4 i h5; gońce e4 i h8; konie d8 i e6; pionki b7 i g3. Czarne: król e5, wieża g7; goniec h6; konie e2 i g5; pionki c3, c6, d7. Białe zaczynają i dają mata w dwóch posunięciach. Rozwiązanie znajduje się w rozdziale następnym. Fałszywy zaś ślad i iluzoryczna kombinacja jest taka: pionek idzie na b8 i przemienia się w konia, po czym białe w trzech różnych olśniewających matach odpowiadają na trzy rozmaicie otwarte szachy czarnych; czarne jednak niweczą catą tę świetną kombinację tym, że zamiast szachów robią mały, nieważny na pozór, wyczekujący ruch w innym punkcie szachownicy. W jednym rogu arkusza z diagramem widnieje ten właśnie stempel, jakim czyjaś niezmordowana i próżniacza ręka przyozdobiła książki i wszystkie papiery, które wywiozłem z Francji w maju 1940 roku. Ta okrągła pieczątka w kształcie guzika i jej kolor to ostatnie słowo świetlnego widma: violet de bureau. Pośrodku widoczne są dwie litery - wielkie „R“ i wielkie „F“ - inicjały Republiki Francuskiej. Z innych liter, nieco mniejszego formatu, układają się na otoku pieczęci interesujące słowa: „Contrôle des Informations“. Tę tajną informację mogę obecnie ogłosić.

Rozdział czternasty

1

„O, jakże gasną na stepie, na stepie, oddalające się lata!“ Lata gasną, moja droga, i kiedy całkiem się oddalą, nikt nie będzie wiedzieć tego, co wiemy ty i ja. Nasz synek podrasta. róże Paestum, mglistego Paestum, przekwitły; ludzie niemądrzy, o wybitnych zdolnościach matematycznych, chwacko dobierają się do tajemniczych sił natury, które przepowiedzieli (ku swemu tajonemu zdumieniu) łagodni, w aureoli siwizny i też niezbyt mądrzy fizycy. Dlatego chyba, moja droga, czas już przejrzeć prastare zdjęcia, jaskiniowe rysunki pociągów i aeroplanów, złoża zabawek w składziku.

Zajrzyjmy jeszcze dalej, a mianowicie powróćmy do majowego ranka 1934 roku w Berlinie. Spodziewaliśmy się dziecka. Odwiozłem cię do szpitala przy Bayerischer Platz i o piątej rano poszedłem do domu do Grünewaldu. Wiosenne kwiaty przyozdabiały kolorowe fotografie Hindenburga i Hitlera, umieszczone na wystawach kwiaciarni i sklepów ramiarskich. Lewackie grupy wróbli odbywały hałaśliwe wiece w ogródkowych bzach i lipach przy trotuarach. Przejrzysty świt obnażył całkowicie jedną stronę ulicy, druga zaś wciąż jeszcze siniała z zimna. Różnej długości cienie powoli się skracały i rześko pachniało asfaltem. W czystości i pustce nieznajomej godziny cienie kładły się od strony, do której nie przywykłem, co spowodowało całkowite przemieszczenie wszystkiego, nie pozbawione przy tym pewnej gracji, jak gdyby w lustrze u fryzjera odbijał się fragment chodnika z przechodniami beztrosko odchodzącymi w świat abstrakcji - świat, który nagle przestaje być zabawny, a zaczyna budzić grozę. Kiedy myślę o swej miłości do kogoś wyprowadzam od niej, od czułego rdzenia własnego uczucia linię prostą ku przerażająco umykającym punktom wszechświata. Coś każe mi - tak świadomie jak to tylko możliwe - przymierzać własną miłość do bezosobowych i niewymiernych wielkości - do pustki między gwiazdami, do mgławic (których samo oddalenie stanowi już rodzaj szaleństwa), do przerażających matni wieczności, do całej owej bezradności, zimna, zawrotu głowy, stromizn, czasu i przestrzeni, niepojętym sposobem przemieniających się jedne w drugie. Tak właśnie bezsenną nocą drażni się delikatny koniuszek języka, bez końca namacując ostrą krawędź ułamanego zęba, albo też, dotykając czegokolwiek - framugi drzwi albo ściany - przez całą konstrukcję dotknięć przechodzi się mimo woli do różnych płaszczyzn w pokoju, zanim przywróci się swe życie do poprzedniej równowagi. Nie ma na to rady, muszę uzmysłowić sobie plan miejscowości i jakby sam siebie na nim zaznaczyć. Kiedy następuje we mnie ten spowolniony i bezdźwięczny wybuch miłości, rozpościerając swe płynne pogranicza i owiewając mnie świadomością czegoś o wiele prawdziwszego, o wiele bardziej niezniszczalnego i potężnego niż cały zasób substancji i energii zawartych w dowolnym kosmosie, wtedy muszę uszczypnąć się w myśli, aby sprawdzić, czy mój rozum nie śpi. Muszę dokonać błyskawicznej inwentaryzacji świata, uczynić z całej przestrzeni i czasu współuczestników mego śmiertelnego uczucia miłości, ażeby ową śmiertelność osłabić niczym ból i wspomóc samego siebie w walce z głupotą i zgrozą tej poniżającej sytuacji, w jakiej ja, człowiek, którego istnienie jest ograniczone, zdołałem rozwinąć w sobie uczucia i myśli bez granic.

Ponieważ w kwestiach metafizycznych jestem przeciwnikiem wszelkich ugrupowań i nie mam ochoty uczestniczyć w organizowanych wycieczkach po antropomorficznych paradyzach, muszę myśląc o swych najlepszych przeżyciach polegać wyłącznie na własnych, słabych siłach; muszę to robić, gdy myślę o żarliwej trosce przechodzącej nieomal w kuwadę[13], z jaką przyjąłem nasze dziecko od pierwszej chwili, gdy pojawiło się na świecie. Przypomnijmy sobie wszystkie nasze odkrycia (istnieje taka *idée reçue*: „wszyscy rodzice dokonują takich odkryć"): idealny kształt miniaturowych paznokietków na niemowlęcej rączce, którą pokazywałaś mi w milczeniu na własnej dłoni, gdzie leżała niczym pozostawiona przez przypływ mala rozgwiazda; epidermę nogi albo policzka, którą zalecałaś mej uwadze mgławo dalekim głosem, jakby czułość dotyku mogła zostać oddana tylko przez czułość malowniczego oddalenia; coś umykającego, o zatartych kształtach, o granatowym odcieniu tęczowej obwódki oka, co zachowywało jakby cienie wchłonięte w prastarych, baśniowych lasach, gdzie było więcej ptaków niż tygrysów, więcej owoców niż kolców i gdzie w wielobarwnej głębi narodził się ludzki rozum; a także pierwszą podróż niemowlęcia w następny wymiar, nową więź, powstałą pomiędzy okiem a przedmiotem, tajemniczą więź. którą robiące „karierę naukową" beztalencia usiłują wyjaśniać przy pomocy labiryntów, gdzie poruszają się tresowane szczury.

Najbliższe podobieństwo do kształtowania się rozumu (zarówno w rodzaju ludzkim jak w osobniku) można, jak się wydaje, odnaleźć w tym cudownym impulsie, który sprawia, że spoglądając na plątaninę sęczków i liści rozumie się nagle, iż to, co postrzegało się dotychczas jako część zawikłań, to w istocie ptak albo owad. Ażeby wyjaśnić pierwsze kwitnienie ludzkiego rozumu należy, jak mi się zdaje, przyjąć, iż w ewolucji natury nastąpiła pauza - życiodajna chwila lenistwa i cudownej bezsiły. Jaką bzdurą jest walka o byt! Przekleństwo pracy i bitew zawraca człowieka do stanu dzikiej świni. Często wraz z tobą spostrzegaliśmy ze śmiechem maniakalny błysk w oku gospodarnej paniusi, kiedy pełna aprowizacyjnych i dystrybucyjnych zamysłów wodzi szklistym spojrzeniem po trupiarni sklepu rzeźniczego. Proletariusze rozłączajcie się! Stare książki są w błędzie. Świat stworzony został w dniu spoczynku.

W latach dzieciństwa naszego chłopczyka, w Niemczech hałaśliwego Hitlera i we Francji milczącego Maginota, wiecznie potrzebowaliśmy pieniędzy, ale dobrzy przyjaciele pamiętali o zaopatrywaniu naszego syna we wszystko najlepsze, co można było zdobyć. Chociaż sami byliśmy bezsilni, baczyliśmy z niepokojem, aby nie zarysował się rozziew między materialnymi dobrami w jego dzieciństwie i w naszym. Zresztą wiedza o pielęgnowaniu niemowląt poczyniła niewiarygodne postępy: ja, na przykład, mając dziewięć miesięcy nie dostawałem na obiad całego funta przetartego szpinaku, nie dostawałem jednego dnia soku z tuzina pomarańczy; wprowadzona przez ciebie rutyna pediatryczna miała w sobie nieporównanie więcej artyzmu i staranności niż wszystko, co zdołały wymyślić niańki i bony naszego dzieciństwa.

Wyabstrahowany *bourgeois* dawnych, czasów, *pater familias* starego pokroju nie rozumiałby chyba takiego stosunku do dziecka u wolnego, szczęśliwego i żyjącego w nędzy emigranta. Kiedy czasami podnosiłaś je, nasycone ciepłą kaszką, poważne jak drewniane bóstwo, i trzymałaś oczekując na beknięcie, uczestniczyłem - zanim pionowe dziecko przemieniłaś w poziome - zarówno w cierpliwości twojego czekania, jak w skrępowaniu jego nasycenia, wyolbrzymiając jedno i drugie, i dlatego doznawałem cudownej ulgi, kiedy tępy pęcherzyk

[13] Kuwada - prastary zwyczaj u wielu niecywilizowanych ludów, według którego mąż rodzącej kobiety naśladuje jej zachowanie podczas porodu; syndrom kuwady (med.) – dolegliwości fizyczne, jakie niektórzy mężowie odczuwają w czsie ciąży żony.

wznosił się i pękał, a ty z gratulacyjnym szeptaniem pochylałaś się nisko, ażeby ułożyć niemowlę w białym mroku łóżeczka. Dotychczas czuje w przegubach dłoni pogłosy zawodowej zręczności, owego ruchu, jakim należało lekko i umiejętnie przycisnąć poręcz, ażeby przednie koła wózka, w którym woziłem go po ulicach, uniosły się z asfaltu na chodnik. Najpierw miał cudowny, mysiego koloru belgijski powozik o grubych, prawie samochodowych oponach, tak duży, że nie mieścił się w naszej wąskiej windzie, i ten powozik płynął po chodniku ze zniewolonym niemowlęciem, leżącym na wznak pod puchem, jedwabiem i futrem: tylko jego źrenice poruszały się wyczekująco, a czasami zwracały, się ku górze z szybkim trzepotem strojnych rzęs. aby odprowadzić prześlizgujący się w ornamencie gałęzi błękit, po czym rzucał na mnie podejrzliwe spojrzenie, jakby pragnąc dowiedzieć się, czy te drażniące ornamenty listowia i nieba należą do tego samego porządku rzeczy, co jego grzechotki i humor rodziców. Później nastał lżejszy, biały powozik i w nim właśnie próbował stanąć, naciągając pasy do granic wytrzymałości. Dopełzał do ścianki i z ciekawością filozofa spoglądał na poduszkę, którą wyrzucił, a pewnego razu, kiedy rzemień pękł - wypadł. Później jeszcze woziłem go w specjalnym krzesełku na dwóch kółkach (karetce pocztowej): z pierwotnych sprężynujących i niezawodnych wysokości dziecko zeszło zupełnie nisko i teraz, mając półtora roku, mogło dotknąć ziemi, zjeżdżając z siedzenia karetki i postukując po chodniku obcasikami w przedsmaku chwili, gdy w miejskim parku wypuszczone zostanie na wolność. Nowa fala ewolucji wypiętrzyła się i znowu zaczęła go wznosić. Mając dwa Jata dostał na urodziny pomalowany srebrzystą farbą aluminiowy model wyścigowego mercedesa długości dwóch arszynów, poruszany przy pomocy dwóch miechowych pedałów pod stopami i w tym lśniącym wozie cudownego lata, na wpół nagi, opalony, złocistowłosy, pędził po chodnikach Kurfürstendammu wydając dźwięki pompowania, z łoskotem pracując nóżkami i po wirtuozowsku operując kierownicą, ja biegłem za nim, a ze wszystkich otwartych okien rozlegał się ochrypły ryk dyktatora, który walił się w piersi i bełkotliwie przemawiał w Dolinie Neandertalskiej, którą wraz z synem zostawiliśmy daleko za sobą.

Zamiast kretyńskich i niedobrych freudowskich doświadczeń z domami lalek i laleczkami w środku („co twoi rodzice robią w sypialni, Żorżyku?“) psycholodzy powinni być może przyłożyć się do wyjaśnienia historycznych faz owej namiętności, którą dzieci czują dla kół. Wszyscy oczywiście wiemy, jak wiedeński szarlatan tłumaczył zainteresowanie chłopców pociągami. Pozostawmy jego i jego towarzyszy, aby trzęśli się w trzeciej klasie nauki, przemierzając totalitarne państwo zmitologizowanej płci (jakże wielką omyłkę popełniają dyktatorzy ignorując psychoanalizę, przy której pomocy można by było zdemoralizować całe pokolenia). Dzieciństwo, pęd myśli, stromizmy krwiobiegu, wszelkie rodzaje żywotności - to odmienny pęd i nic w tym dziwnego, że rozwijające się dziecko chce prześcignąć naturę i wypełnić minimalny odcinek czasu maksymalną rozkoszą przestrzeni. W duszy ludzkiej ugruntowana jest głęboko zdolność odczuwania przyjemności z przezwyciężania przyciągania ziemskiego. Bez względu jednak na to, czym tłumaczy się miłość do kół, ty i ja zawsze będziemy wytrwale bronić na takim czy innym polu bitwy owych mostów, na których spędzaliśmy całe godziny z dwuletnim, trzyletnim i czteroletnim synem w oczekiwaniu pociągu. W swym bezgranicznym optymizmie miał zawsze nadzieję, że szczęknie semafor i z punkcików oddali, gdzie między czarnymi grzbietami domów splatało się tyle szyn, wyrośnie nagle lokomotywa, Kiedy było zimno miał na sobie jagnięce futerko i taką samą czapeczkę z nausznikami, jedno i drugie nierównomiernie brązowe, z odcieniem szronu, a owo ubranko i żarliwość jego wiary w parowóz sprawiały, że było mu ciepło, i ciebie one również grzały, bowiem, aby palce nie marzły, wystarczyło zacisnąć w swej dłoni to jedną, to drugą piąstkę, i zdumiewaliśmy się. jak ogromną ilość ciepła może wytworzyć ów piecyk - ciało dużego dziecka.

3

Istnieje także w każdym dziecku dążenie do ziemi, bezpośredniego formowania tego. co sypkie. Dlatego właśnie dzieci tak lubią grzebać w piasku, budować dla ulubionych zabawek szosy i tunele. Miał ponad sto małych samochodzików i brał ze sobą na skwerek to jeden, to drugi: słońce przydawało miodowego odcienia jego obnażonym plecom, na których krzyżowały się szeleczki dzianych granatowych spodenek (gdy zanurzał się w wieczornej kąpieli, ten iks szeleczek i spodenki odcinały się odpowiednim kształtem białości). Nigdy przedtem nie siadywałem tak wiele na tylu ławkach i krzesełkach w parkach, na kamiennych słupkach i stopniach, na parapetach tarasów i obramowaniach basenów. Współczujące Niemki brały mnie z bezrobotnego. Sławetny sosnowy las wokół jeziora Grünewald odwiedzaliśmy rzadko: zbyt wiele było tam śmieci i odpadków i nie łatwo było zrozumieć, kto napracował się tak bardzo, ażeby na tę odległość przytaszczyć owe ciężkie przedmioty - żelazne łóżko stojące pośrodku leśnej polanki albo sparaliżowane gipsowe popiersie widniejące pod krzewem dzikiej róży. Pewnego razu znalazłem nawet w zagajniku ścienne lustro, nieco zeszpecone, ale jeszcze krzepkie, oparte o pień i jakby zamroczone mieszaniną słońca i zieleni, piwa i chartreuse. Być może te surrealistyczne inwazje na mieszczańskie tereny wypoczynku stanowiły urywkowe prorocze wizje przyszłego zamieszania i eksplozji w rodzaju owej sterty głów, którą Cagliostro przewidział przy ogrodzeniu Wersalu. Bliżej jeziora w letnie niedziele wszystko wypełnione było ciałami w różnych stadiach obnażenia i opalenizny, tylko wiewiórki i niektóre gąsienice pozostawały w płaszczach. Szaronogie kobiety w bieliźnie siedziały na tłustym, szarym piasku, mężczyźni w powalanych iłem kąpielówkach gonili jeden drugiego. Na miejskich skwerach nie wolno było się rozbierać, ale dozwolone było rozpięcie dwóch czy trzech guzików koszuli, toteż na każdej ławce widywaliśmy młodych mężczyzn o wyraźnie aryjskim typie, którzy zamknąwszy oczy podstawiali pryszczate czoła pod zaakceptowane przez rząd promienie słoneczne. Uczucie obrzydzenia i być może przesadna odraza, która odbiła się na tych spostrzeżeniach, wynikały z naszego nieustannego lęku, żeby się nasze dziecko czymś nie zaraziło. Nie tylko utrzymywałaś go w idealnej czystości, ale nauczyłaś od małego lubić czystość. Gniewał nas zawsze powszechnie przyjęty i nie pozbawiony posmaku mieszczańskości pogląd, że prawdziwy chłopak powinien nienawidzić mycia się.

Chciałbym przypomnieć sobie wszystkie te skwery, gdzie z nim siadywaliśmy. Wywołując w pamięci jakiś obraz potrafię często określić położenie geograficzne ogródka według dwóeh czy trzech orientacyjnych cech. Bardzo wąskie ścieżki wysypane żwirem, obramione karłowatym bukszpanem i spotykające się wszystkie razem niczym postacie z komedii; niska ciemnogranatowa ławka w sześciokącie cisowego żywopłotu; kwadratowy klomb róż otoczony heliotropem - te szczegóły związane są wyraźnie z niedużymi skwerami na berlińskich skrzyżowaniach. W sposób równie oczywisty krzesełko z cienkiego żelaza z pajęczym, lekko scentrowanym cieniem przy nim i wdzięczna wirująca polewaczka z własną tęczą, zawisłą nad zwilżoną trawą oznaczającą dla mnie park w Paryżu; jak jednak dobrze rozumiesz, oczy Mnemosyne tak uważnie skupione są na drobnej postaci (siedzącej w kucki, napełniającej kamyczkami mały samochodzik albo oglądającej lśniącą, wilgotną liszkę interesująco nakrapianą przywartym do niej kolorowym żwirem, po którym właśnie przepełzla), że nasze rozmaite miejsca zamieszkania - Berlin, Praga, Franzensbad, Paryż, Riwiera itd., zatracają swą suwerenność, składają do wspólnych magazynów swych generałów oraz swe martwe liście, jednakim cementem wiążą zespół swych ścieżek i łączą

się w federację błysków i cieni, przez które wdzięczne dzieci z gołymi kolankami toczą się marzycielsko na bzyczących wrotkach.

Nasz chłopaczek miał około trzech lat, kiedy w Berlinie - gdzie oczywiście nikt nie mógł uniknąć znajomości z wszechobecnym portretem führera - zatrzymałem się z nim pewnego wietrznego dnia kolo klombu bladych bratków: na twarzyczce każdego kwiatka widniała ciemna plama niczym kleks wąsów i za moim głupawym podszeptem rozpoznał w nich z rajskim śmiechem tłum szalejących na wietrze małych hitlerków. Było to na Fehrbellinerplatz. Mogę też wymienić ów kwitnący ogród w Paryżu, gdzie spostrzegłem cichutką, mizerną dziewczynkę bez żadnego wyrazu w oczach, ubraną w ciemną, biedną, nieodpowiednią na lato sukienkę, jakby uciekła z sierocińca (rzeczywiście, nieco później zobaczyłem, jak ciągnęły ją za sobą dwie płynnie poruszające się mniszki), która zręcznymi paluszkami uwiązała żywego motyla na nitce i z chmurnym wyrazem twarzy prowadziła słabo pod fruwającego, nieco uszkodzonego owada na tej smyczy (w swoim sierocińcu zajmowała się zapewne żmudnym haftowaniem). Oskarżałaś mnie często o okrucieństwo w moich entomologicznych badaniach w Pirenejach i Alpach; w istocie, jeśli tak starałem się oderwać uwagę naszego dziecka od tej chmurnej Tytanii zrobiłem to nie. dlatego, że poczułem litość dla jej admirała, ale dlatego, że przypomniałem sobie nagle, jak I. I. Fondaminski opowiadał mi o bardzo prostym i staromodnym sposobie, jakiego używają francuscy policjanci, kiedy prowadzą na posterunek buntownika albo pijaka: przemieniają go w pokornego satelitę trzymając biedaka na niedużym haczyku, przypominającym haczyk na ryby, a wetkniętym w jego niepielęgnowane, ale bardzo wrażliwe ciało. Usiłowaliśmy, ty i ja. stuoką czułością osłonić ufną czułość naszego chłopczyka. Wiedzieliśmy jednak, że jakieś ohydne paskudztwo umyślnie zastawione przez chuligana na placyku dziecięcych zabaw było jeszcze najmniejszym złem i że okropności, które minione pokolenia odsuwały w myślach jako anachronizmy albo jako coś, co zdarza się wyłącznie bardzo daleko, w na wpół uczłowieczonych chanatach i imperiach mandarynów, dzieją się w gruncie rzeczy dokoła nas.

Kiedy zaś cień rzucony przez ogłupiałą historię zaczął wypełzać nawet na słoneczne zegary, a my zaczęliśmy niespokojnie wędrować po Europie, mieliśmy uczucie, że to ogrody i parki wędrują razem z nami. Rozpierzchające się aleje Lô Notre'a i jego kwietniki zostawały za nami jak przesunięte na zapasowy tor pociągi. W Pradze, dokąd wstąpiliśmy, by pokazać naszego syna mojej matce, bawił się on na Stromowce, gdzie za boskietami wabiła spojrzenie niezwykle rozległa dal. Przypomnij sobie również te ogrody ze skałami i roślinami wysokogórskimi, które przeniosły nas jakby w Alpy Sabaudzkie. Drewniane dłonie w mankietach, przygwożdżone do pni drzew w starych parkach uzdrowisk wskazywały stronę, z której docierały przytłumione dźwięki dętej orkiestry. Mądra ścieżka towarzyszyła alei będącej ulicą: nie wszędzie szła równolegle, ale wszędzie uznawała jej przywództwo, jak dziecko w podskokach powracające od stawu z kaczkami albo basenu z liliami wodnymi, ażeby przyłączyć się znowu do procesji platanów w punkcie, gdzie ojcowie miasta wykosztowali się na posąg. Korzenie, korzenie czegoś zielonego w pamięci, korzenie wonnych roślin, korzenie wspomnień zdolne są do pokonania ogromnych przestrzeni, przezwyciężając rozmaite przeszkody, przenikając przez inne, wślizgując się w każdą szczelinę. Tak właśnie te ogrody i parki szły z nami przez Europę: piaszczyste ścieżki stawały kołem, ażeby przyglądać się, jak schylałaś się po piłkę, która umknęła pod ligustry, ale tam, na ciemnej wilgotnej ziemi nie było nic prócz przedziurkowanego, fioletowego biletu autobusowego. Okrągłe siedzisko wyruszało w drogę po obwodzie grubego pnia dębu i znajdowało po drugiej stronie smutnego, starego człowieka, czytającego gazetę w języku niedużego narodu. Lakierowane laury zamykały łączkę, gdzie nasz chłopczyk znalazł swoją pierwszą żywą żabkę, a ty powiedziałaś, że będzie deszcz. Dalej, pod nie tak już ołowianym

niebem zaczynał się potrójny szereg róż, przemieniając się nieomal w pergole spowite winem, i prowadzi) do kokieteryjnej, acz niezbyt schludnej publicznej ubikacji, gdzie dyżurująca na progu kobieta w czerni robiła na drutach czarną pończochę. Ścieżka ozdobiona płaskimi kamieniami, schodząc zboczem w dół i wysuwając naprzód wciąż tę samą nogę, przedostała się przez zarośla irysów i włączyła się w drogę, której miękki grunt cały pokryty był śladami podków. W miarę, jak wydłużały się nogi naszego chłopczyka, ogrody i parki zaczynały poruszać się szybciej, miał już trzy lata, gdy pochód kwitnących krzewów zdecydowanie skręcił ku morzu. Tak jak widzi się samotnie stojącego na peronie niewielkiej stacji smętnego zawiadowcę, obok którego przejeżdża pędem uwożący nas pociąg, tak samo ten czy ów szary dozorca parku oddalał się stojąc w miejscu, podczas gdy nasze ogrody sunęły pociągając nas ku południowi, ku pomarańczowym gajom, ku kurczącemu puchowi mimoz i póle tundro bezchmurnego nieba. Przez szereg tarasów, po stopniach - a z każdego z nich skakał jaskrawy konik polny - ogrody zeszły ku morzu, przy czym oliwki i oleandry niemal wywracały się nawzajem, tak niecierpliwie spieszyły, by zobaczyć plażę. Tam klęczał, trzymając waflowy bukiet Sodów, i tak został sfotografowany na migocącym tle: morze przemieniło się na fotografii w bielmo, w rzeczywistości jednak było srebrzystobłękitne z fiołkowymi tu i ówdzie ściemnieniami. Były tam podobne do landrynek, wylizane przez fale zielone, różowe i niebieskie szkiełka i czarne kamyczki z białą przepaską, i muszelki rozpadające się na dwie połówki, i skorupki glinianych naczyń, które zachowały jeszcze kolor i polewę: te właśnie skorupki przynosił nam, byśmy je oszacowali, i jeśli były na nich granatowe paseczki albo małe koniczynki, albo jakiekolwiek inne błyszczące emblematy, z delikatnym podzwanianiem spadały do dziecinnego wiaderka. Nie wątpię, że między tymi lekko wklęsłymi odłamkami majoliki była również skorupka, której wzorzysty szlaczek kontynuował jak w układance wzór skorupki, znalezionej przeze mnie w 1903 roku na tym właśnie brzegu a te dwie skorupki kontynuowały wzór trzeciej, znalezionej tu, na plaży Mentony przez moją matkę w 1885 roku i czwartej znalezionej przez jej matkę sto lat temu, itd“ tak, że gdyby można było zebrać całą tę serię ceramicznych odłamków powstałaby z nich misa rozbita przez włoskie dziecko Bóg raczy wiedzieć gdzie i kiedy, teraz jednak scalona przy pomocy tych właśnie miedzianych drucików.

Prawda, żebym nie zapomniał: rozwiązanie zadania szachowego w poprzednim rozdziale brzmi: goniec przechodzi na c2.

W maju 1940 roku znowu zobaczyliśmy morze, tylko już nie na Riwierze, ale w Saint Nazare; tam ostatni, mały skwerek otoczył ciebie i mnie, i sześcioletniego idącego między nami syna. kiedy kierowaliśmy się ku przystani, gdzie zasłonięty jeszcze przez domy oczekiwał „Champlain“, aby nas uwieźć do Ameryki. Ten ostatni ogródek pozostał mi w pamięci jak bezbarwny geometryczny rysunek albo krzyżówka, którą mógłbym łatwo wypełnić kolorami i słowami, mógłbym łatwo wymyślić dla niego kwiaty, ale byłoby to równoznaczne ze złamaniem niedbale czystego rytmu Mnemosyne, którego słuchałem pokornie od początku tych notatek. Wszystko, co pamiętam o tym bezbarwnym skwerze, to jego dowcipny, tematyczny związek z transatlantyckimi ogrodami i parkami; nagle bowiem w chwili, gdy dotarliśmy do krańca ścieżki, ty i ja zobaczyliśmy coś takiego, na co nie od razu zwróciliśmy uwagę syna, nie chcąc zepsuć mu zdumionej radości odkrycia samemu tuż przed sobą ogromnego prototypu wszystkich stateczków, które popychał siedząc w wannie. Przed nami, tam gdzie przerywany szereg domów oddzielał nas od zatoki i gdzie spojrzenie napotykało wszelkiego rodzaju kamuflaże, jak na przykład niebieskie i różowe bluzki tańczące na sznurze albo damski rower dzielący, nie wiadomo czemu, żelazny balkonik z pasiastym kotem, można było już dostrzec, wśród chaosu ostrych i prostych kątów, wyrastające spoza bielizny wspaniale kominy parowca niewątpliwe i tak nierozłączne, jak na

rysunkowych zagadkach, gdzie wszystko zostało umyślnie zawikłane („znajdź, co schował marynarz“). To, co raz zostało zobaczone, już nigdy nie może powrócić do chaosu.